HISTORYA
O PRA-PRA-PRA.... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA.... DZIADKU.

HISTORYA
O PRA-PRA-PRA.... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA.... DZIADKU.

POWIEŚĆ

we Dwóch Częściach

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PRA-PRA-PRA.... WNUK.

Tom II.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1863.

Za pozwoleniem Cenzury, 15 Września 1862 roku. Wilno.

VII.

Ile razy przychodzą mi na myśl piérwsze chwile wystąpienia Jasia po za domem rodzicielskim, zawsze zdaje mi się, jakobym widział nad niemi rozpostarte opiekuńcze skrzydła Jegomościnego ducha.

Pozornie Jegomość oddał syna na wolę Opatrzności, jakby powiedział sobie:

— Ha!.. co ma z nim stać się, niech się stanie...

Pozornie puścił mu wodze i nie troszczył się o niego.

A jednakże czuwał nad nim.

Mam jeden dokument w ręku, usprawiedliwiający poniekąd powyższe »zdaje mi się.« Jest to list Ruchli do Chorążego.

Kiedy zdarzył się Jasiowi wypadek, w poprzednim opisany rozdziale, to, pomimo tak wyraźnego, zwyczajowego prawa: »choćby cię pieczono i smażono w smole, nie mów co się dzieje w szkole,« doszedł on do wiadomości Szlomy, Ruchli i całéj ich rodziny. Szloma porwał się ręką za brodę i zawołał:

— Ach wéj zmir!.. té!.. té!..

Ruchla obiema rękami schwyciła się za twarz i zawołała:

— Té!.. té!.. Ach wej zmir!..

Synowie, zięciowie, wnuki i prawnuki, córki, synowe, wnuczki i prawnuczki, nawet dwoje wychowanków, miszurys i pomywaczka, wszyscy rozmaitemi tonami i głosami wołali i po kilkakrotnie powtarzali:

— Ach wéj zmir!..

I cykali językami, i kręcili głowami, gładząc się po brodach i pejsach, i poprawiając jarmułki.

Szloma mruknął powoli pod nosem:

— A di... a szwarcjur!..

I wszyscy »szwarcjur« zaintonowali po cichu.

Była chwila ciszy. Aż padło zapytanie.

— Co robić?..

Zapytanie to wywołało istną zawieruchę szwargotania. Trzydzieścioro bez mała żydów, żydówek i żydziąt przemówiło na raz i poczęło trzepać coraz szybciéj i coraz głośniéj, aż trzepanie to zamieniło się w końcu w chór śpiewu, ale takiego, w ktorym każdy co innego śpiewał i każdy usiłował przekrzyczeć wszystkich. Słychać więc w nim było i głosy ludzkie, i wycie wilcze, i kozie beczenie, i psie szczekanie. Jeden tylko Szloma milczał, gładził poważnie brodę i pokaszliwał. W domostwie zrobiło się jak w szkole żydowskiéj. We wrzasku nie podobna było nic zrozumieć, wyjąwszy wyrazów; »sztil«, »sza» i »bucher«, powtarzających się coraz częściéj i coraz głośniéj. Nakoniec, jednogłośnie zabrzmiało:

— Sztil!..

Dała się słyszeć Ruchla, która z mocném odsapywaniem powtarzała co chwila:

— Sztil!.. bucher!.. Cyt że-nu!.. Cyt!.. Nu!..

I uciszyło się.

— Ja pójdę...— rzekła Ruchla.

— Po co?..— zapytał Szloma.

— Nu!.. po co?.. jak-to, po co?..— z pewném oburzeniem mówiła Ruchla.— Kiedy *człowiek* (zapewne Chorąży) był tu, toś mnie przed nim zamykał, a teraz pytasz się: po co?, kiedy chcę jego dziecko w nieszczęściu odwiedzić...

Szloma pokaszlał i odrzekł kiwając głową.

— *Wus!..* Czyż dla tego pytałem się: po co?.. Czyż nie dla tego może, że ty tam sama, bez Abramsona, nic nie poradzisz!..

Ruchla klasnęła w dłonie i zawołała:

— Ach!.. *richtig!..* Abramson!..

A zwracając się do najbliżéj stojącego żydka, wymówiła prędko:

— *Géj-że, lubuniu!.. géj gicher!.. zug dem Abramson*, aby jak najprędzéj szedł do Mimowolego.

Żydek ruszył pędem.

Ruchla to samo polecenie dała drugiemu żydkowi.

I drugi ruszył.

Posłała jeszcze trzeciego, potém czwartego, piątego, szóstego i siódmego, i wszyscy, jeden po drugim, pogonili po lekarza, który posiadał zaufanie niemirowskich żydów, nie tylko dla tego, że sam był żydem, ale że łączył naukę z doświadczeniem i uczciwością. Udawali się do niego licznie i chrześcijanie. A dzieciom znanym był z tego głównie powodu, że trzymał w ogrodzie swoim jedyne na cały Niemirów pawie.

Wraz z ostatnim posłańcem wyszła i sama Ruchla, i sapiąc a odpoczywając po drodze, udała się spiesznie do państwa Mimowolich.

— Czego chcesz, moja kochana?..— temi słowy spotkała ją w progu pani Mimowolowa.

— Ny!.. czego ja chcę?.. gdzie *wono?..*

— Co za ono?..

— Co za wono?.. A cóż za wono, jeżeli nie to dziecko, które pobili?..

— Cóż tobie do tego?..

— Jakto!.. co do tego!.. Herste di!.. Ta ja jemu niby mątka... Ta wono mnie niby moje własne dziecko... Ja chcę *gie* widzieć!..

— Jeszcze czego nie stało!..— rzekła pani Mimowol z akcentem oburzenia.— Żydów puszczać do chorego!...

— Co to, nie puszczać!.. Jak-to!.. Ny!.. Ach wej!..— z krzykiem mówiła Ruchla.— Ja muszę widzieć!.. Ja!.. ja!.. nie pójdę, póki nie będę widziała!..

— Co to za krzyki!.. Loli!.. moje życie!..— odezwał się z głębi domu głos pana Mimowolego.

— Jakaś tłusta żydowica drze się gwałtem, żeby widzieć Jasia..— odparła pani.

Na tę odpowiedź wyszedł pan Mimowoli i przemówił do Ruchli tonem pojednawczym:

— Nie można, moja kochana... Ciebie tu bynajmniéj nie potrzeba.. Idź precz!..

I zamknął drzwi.

— Idź precz!..— krzyknęła Ruchla— precz!..

I podstąpiła ku drzwiom z zaciśniętemi pięściami, chcąc w nie walić kułakami. Lecz synowa powstrzymała ją.

Ruchla sapała, stojąc przed drzwiami. Nogi pod nią drżały. Lica jéj zbladły.

— *Kim*, *mama..*— namawiała ją synowa i targała zlekka za rękaw— *Kim-że...*

— Nie!.. nie pójdę ztąd, póki nie będę dziecka widziała...— odparła Ruchla po żydowsku. A podnosząc głos, wołała po polsku:

— Ja poszlę po Chorążego!.. Poszlę siedmiu posłańców na koniach i z listami!.. I napiszę, żeby przyjechał!.. Napiszę! gwałtu!.. niech przyjeżdża, jak najprędzej.. I poskarżę się przed nim, że mnie do jego dziecka nie puścili!.. Aj!.. A!.. *A richende a tate!..* Mnie wun zna:.. zna... zna!.. Wie wun, że ja jego dziecko kocham jak matka!.. I ja go znam... Oj! znam kiedy jeszcze był młody!.. Dziś wun stary... Ale wun zawsze, taki *wid* (od) 'pałaszą!.. Nie taki gałgan, jak wy!.. Wun ujmie się za mną... starą... jakąś... tłustą... żydowicą!..

Wysiliła się. Usiadła w ganku i ciężko sapała. Oddech, z jakimś rodzajem podmuchów i poświstów, wydzierał się jej z piersi.

Kiedy przyszedł Abramson, to Ruchla z zadyszania nie mogła ani jednego wymówić wyrazu. Wyręczała ją synowa. W krótkich wyrazach opowiedziała lekarzowi, co je sprowadziło i jakie spotkało przyjęcie. Staruszek pokiwał smutnie głową.

Za zbyt szanowanym był stary Abramson, aby przed nim nie otworzyły się jakie drzwi w Niemirowie. Sam pan Mimowoli, ujrzawszy go przez okno w ganku, wyszedł pośpiesznie i zaprosił go grzecznie.

Ruchla chciała z tego korzystać i wraz z doktorem wedrzeć się do wnętrza domu. Lecz za nim zdołała powstać, drzwi były już zamknięte. Usiadła więc napowrót i czekała.

I czekała nie długo, bo wkrótce wyszedł Abramson, wyprowadzony przez pana Mimowolego. Ten ostatni że-

gnał go zawiesistemi na progu ukłonami, cofnął się, i zamknął za sobą drzwi.

— Jakże z chorym?..— zapytała Ruchla.

— Najmniejszego nie ma niebezpieczeństwa...— odparł doktor.— Potłuczony i podrapany... We trzy dni od zimnéj wody wyzdrowieje...

— Ja poszlę po ojca..-

— Nie ma potrzeby... Nabawiłabyś go tylko trwogi... Lepiéj nie posyłać...

— To odwiedzaj-że go, panie Abramson, przynajmniéj po dwa razy na dzień...— przemówiła żydówka błagającym głosem.— Licz wizyty na mój rachunek...

Abramson skinął głową na znak potwierdzenia i odszedł. Po nim dźwignęła się i Ruchla, i powróciła do siebie, w towarzystwie wszystkich siedmiu żydków, którzy posłani byli po doktora i odeskortowali go do *Mimowolego*.

W kilka dni późniéj, znowu szwargot i wrzask napełniły Szlomowe domostwo. Był to rezultat wieści o tém, że Jaś dostał w skórę. Tym razem szwargot żydowski nastrojonym był wysoko na ton oburzenia. Cóś w nim pomrukiwało niby zgroza, a okrzykami dominującemi były klątwy.

Ze szwargotu wyrodziło się postanowienie wysłania do Hrynenek umyślnego. Nie siedmiu ale tylko jednemu, i nie konnemu, ale pieszemu żydowi powierzonym został list, podyktowany w obecności Szłomy i całéj rodziny przez Ruchlę, a napisany przez Srula, wnuka cioteczno-rodzonéj Ruchlinéj siostry, który był jednym z pary rzadkich w Niemirowie żydów, umiejących pisać po polsku. List ten w dosłównem przepisaniu,

z zachowaniem ortografii i znaków pisarskich, brzmiał jak następuje:

— «Wieymozny Panie Dobrozieyu;—

— Synyg pańskie ten mali kochani iasio bił wibity i podrapany od hinszi uczni i miali pełni gudzi i siniaki tak rże aż dochtorz musiał iemu kurować i ja prosiłim pana abrahamzona i chciałim iemu abym gie sama widziałim ali mnie nie chcieli przypusztczać te pani Mimowola od tzego barco sie panu skarsze, ale pan dyrechtorz dal dla niegie potym wielki ruzgi aż strach za moie rzyto ieszcze mene bito i tak sie skondżyło ali ia teraz wieymoznemu panu donosze i prosie aby wieymozny pan dobroziej powiedzieli temu mimowoli zeby mnie oni pusztczali jak kiedy od tiegie niech buh zachowa kochani iasio zachoruye bo co- to za wielgie państwie a z panem dyrechtorzem niech sie wieymozny pan sam rozmuwio bo tak nie gozi sie bić ziecka daremnie tegie i z nasymi rzydżkami u szgoli nie robio moia prawnuka malienkie ryftkie ciogle wieymoznego pana wypomina kiedy to pan do nas bidnich rzydziów przyjado a z tym slowym niech pan wieymozny bedo zdrowi z laski boski klaniam się pokornie i mui szloma i moie zieci ruchla szlomowa.«

List ten złożony porządnie i zaadresowany, zapieczętowanym był lakiem, na którym, zamiast herbu i dewizy, widzieć się dawał plan epidermy, odciśnięty z ostateczności wielkiego palca.

Co Chorąży odpisał i czy odpisał?— nie wiem. To jednakże wiem, że nie przyjechał sam do Niemirowa, a tylko, posyłając jak zwykle posłańca z bielizną (panna Ewa bowiem wymogła, aby bielizna Jasia opierała się w domu, i z tego powodu, co miesiąc jechał z Hryne-

nek posłaniec do Niemirowa), polecił mu dowiedzieć się o szczegółach tego wypadku, a okrom tego zażądał od pana Mimowolego pisemnego objaśnienia. A gdy Jaś przyjechał do domu, przypomniał mu o tém, i powiedział:

— Bardzo dobrze zrobiłeś... Spodziewałem się tego po tobie... Bardzo się tém cieszę... Przebaczenie krzywdy osobistéj jest najpiękniejszą cnotą obywatelską...

Pochwalne książki przyjął obojętnie a wzięcie *rózgami* pochwalił... Co mogło być powodem takiego postępowania?... Którzyż-to z rodziców wbrew przeciwnieby nie postąpili?..

Może to dla tego, że do Chorążego czułem pewną słabość, która mi jego postępki zawsze w dobrém świetle przedstawiała, zdaje mi się, że i w tym razie zrobił on dobrze. Zdaje mi się bowiem, że tak on tę rzecz rozumiał:

Musiał zapewne brać na uwagę trzy rzeczy: obowiązek, cnotę i występek. Obowiązek postawił po środku, po prawéj jego stronie cnotę a po lewéj występek. Pełnić obowiązek, jest to postępować prostą drogą warunków społecznych, drogą utartą, łatwą, wytkniętą, zależącą głównie na tém, aby czynić zadość wymagalnościom stanowiska jakie się zajmuje; aby nie krzywdzić drugich i nie dopuszczać krzywdzić siebie; pomagać drugim i pamiętać o sobie. Urzędnik co nie kradnie i nie sprzedaje się, kapłan co nie daje złego przykładu, rzemieślnik i kupiec co nie oszukuje, żołnierz co nie tchórzy, student co nie osłuje, czynią dobrze sobie i drugim, pełnią tylko obowiązek i za to nie należy się im ani pochwała, ani nagana. Obowiązek nie jest jeszcze ani cnotą, ani występkiem. Wytrwałe onego pełnienie daje miarę stałości i wytrawności charakteru i staje się

zasługą, którą społeczność opłaca zaufaniem, szacunkiem i pieniędzmi. Z pełnieniem obowiązku graniczy przekroczenie onego, mogące się odbyć w dwie strony: na prawo, albo na lewo. Pierwsze zależy głównie na poświęceniu siebie dla społeczności, i jest cnotą; drugie— na poświęceniu społeczności dla siebie, i jest występkiem. Za cnotę dopiero i występek należy się nagroda: za pierwszą w sensie dodatnim— pochwała, za drugą w sensie ujemnym— nagana. Ta więc pomiędzy obowiązkiem a cnotą i występkiem zachodzi różnica, że pierwszy opłaca się sposobem wzajemnej zamiany, drugie zaś opłacać się powinny sposobem nadzwyczajnym, z rezerwowych kapitałów społeczeństwa, i to tem hojniej, im w cnocie więcej bezinteresowności, im w występku więcej interesowności osobistej. Bywają bowiem różne stopnie *wykroczenia po za obręb obowiązku*; człowiek stać się może *aniołem* lub szatanem na ziemi; może wznieść się aż do uwieńczenia skroni cierniową za prawdę koroną, albo zniżyć się aż do upodlenia. Cechą spolną cnocie i występkowi jest to, że ani jedna ani drugi nie upominają się same o zasłużoną nagrodę.

Jeżeli w taki sposób rozumiał Chorąży pochwały, to nic dziwnego, że obojętnie przyjął nagrody, jakie syn jego za nauki otrzymał. W dobrem bowiem uczeniu się Jasia widział tylko pełnienie obowiązku. Pochwalił go zaś za rózgi, bo widział w tem przekroczenie obowiązku na stronę prawą.

Jaś na rózgach wyszedł doskonale. M.....ski zapomniał się, uniósł, wydało się mu że ma do czynienie z prostym uporem. Chciał więc upór złamać. I niechcący ugruntował stałość charakteru, która w bohaterze naszym poczęła się szybko i szeroko rozwijać. W owej

chwili Jaś sprobował się niejako i stał się śmielszym i pewniejszym siebie.

Sprobował się jednakże pod jednym tylko względem: oparł się niebezpiecznéj tentacyi zemsty osobistéj, i jeszcze niebezpieczniejszéj— uciekania się pod skrzydła przełożonych, szukania protekcyi mocniejszych i stawiania siebie pod nią. Pozostawały mu inne jeszcze próby.

Z człowiekiem świat obchodzi się jak z *mułem*. Na słabego mniéj wali ciężarów. Mocniejszego objucza i najczęściéj przejucza. A gdy muł dźwiga, to go głaszcze i zachęca: «ho, kosiu!» Gdy zaś pod ciężarem się ugina i ze znużenia przysiada, to go biczem zacina.

To samo spotkało Jasia. Pokazało się, że jest mocnym. Więc obarczono go wymagalnościami, które przedstawiły się mu z rozmaitych stron i pod rozmaitemi postaciami.

Jaś *mocnym był w naukach*. Więc professorowie wymagali, aby uczył się dobrze i sprawował po ich myśli.

Jaś był hartownéj duszy i odważnego serca. Więc koledzy wymagali, aby był »dobrym koleżką.«

A wziąwszy te dwie tylko wymagalności, to najczęściéj się zdarza, że czyniąc zadość jednéj, nie można uczynić zadość drugiéj.

Bo w szkołach jest tyle stron i odcieni co w świecie. Szkoły są wizerunkiem świata w miniaturze. W nich jest góra i dół— władza i gmin. W nich zaród wszystkiego złego i dobrego, zbiegają się i ścierają ze sobą wszystkie namiętności i rozmaite charaktery, które— działając z góry na dół, oddziaływują z dołu do góry, a w tém działaniu i oddziaływaniu łączą się, dzielą,

gruppują, kombinują, godzą, kłócą, przenikają, wpływają, wypływają, rozpływają, słowem, tak samo funkcyonują, jak w świecie, tylko w szczuplejszym zakresie i na mniejsze rozmiary. Świat dla nich jest jeszcze zagadką, a one są światem w sobie.

Zwykle dobrzy, chwaleni uczniowie, odstrychają się od koleżeństwa. Wymagalności bowiem koleżków takiego bywają często rodzaju, że zadośćuczynienie im naraża na utratę pochwał.

Być dobrym uczniem nie zawsze znaczy być dobrym kolegą. Nie tylko bowiem za naukę dają się kreski. Wpływa na nie i konduita. A konduita młodzieży takie miewa tajemnicze osłony, za które nie można dozwolić zaglądać przełożonym. Ten więc kogo chwalą także za nie niezagląda, nie dla tego, aby nie miał ciekawości, ale dla tego jedynie, że przełożeni mogą się o tém dowiedzieć, nie grzeszy— przez bojaźń. Dobry to na młodych hamulec, ale tę ma złą stronę, że urabia bierność, nie dozwala rozwinąć się dostatecznie samodzielności charakterów.

Jaś nasz— czy z natury, czy może z Hrynenek— wyniósł tę samodzielność i nie zaprzepaścił jéj w dymie pochwał. Przez cały czas pobytu w gimnazyum uczył się dobrze. Wyjąwszy jednakże piérwszéj i drugiéj klassy, już więcéj nie celował, a to nie dla tego, że przestał się uczyć, lecz że zobojętniał na pochwały. Do egzaminu stawał zawsze bardzo dobrze; lecz z lekcyami zdarzało się rozmaicie: raz umiał doskonale, innym razem wcale nie umiał. Pochodziło to ztąd, że na egzamin przygotowywał się ryczałtem z całego przedmiotu, a w ciągu roku zbywał naukę, byle ją zbyć. I dla te-

go, gdy celujące kreski, otrzymane na egzaminie, dodano do miernych z całego roku, w rezultacie wydało: że mu ani pierwszeństwo, ani pochwała się nie dostawały.

Na czémże Jaś rok spędzał?— Na dwóch rzeczach: na zaglądaniu za tajemnicze zasłony, i na czytaniu nie objętych szkolnemi przepisami książek.

Pod tym ostatnim względem był niezmordowanym. Czytał, pożerał wszystko, co mu się do rąk nawinęło. Druk nabrał dla niego nieopisanego jakiegoś uroku. Chęć czytania zniewoliła go do szybkiego nauczenia się obcych języków. W czwartej klassie, już w księgozbiorze pana Mimowolego nie było dla niego ani jednego nieprzystępnego dzieła. W klassie miał zawsze jakąś przy sobie książeczkę, którą cichaczem, z pod ławki, przebiegał oczami i myślą; a wyrwany przez professora, gdy w interesującém znajdował się miejscu, odpowiadał «nie umiem», dla tego jedynie aby nie przerwać sobie czytania. Nieraz książeczki te odbierano mu; nieraz odsiadywał za to w karceresie;— wszystko to jednakże nic nie skutkowało: odkładał naukę do egzaminu, skracał sobie czas dla niej z roku na jeden miesiąc, a tymczasem— czytał.

Słusznie bardzo czytanie uważa się jako niebezpieczeństwo. Lecz jak mu zapobiedz?— Podług mnie, jest jeden tylko sposób, a to— wyborowe książki zostawić, a inne wszystkie— spalić. Książki bowiem takiej w naszych czasach nabrały subtelności, że krążą, jak powietrze. Ileż to razy w rękach dziesięcioletniego chłopca, albo, co gorzéj, panienki, widzieć się zdarzy: ody Pirona lub Dziewicę Orleańską Woltera!.. kto im je dał?—

Nikt.... Jak one się do nich dostały? — Nie wiadomo jak...

Czytanie nawiewało Jasiowi do głowy rozmaite idee które umysłem jego miotały jak burza okrętem, którego rudel rzuconym jest na wolę fal. Często przy rudlu tym nie było sternika. Często Jaś zapędzał się tak, że ot... ot— zdawało się— już rozbije się... I byłby się może gdzie rozbił, jak tylu innych, gdyby nie Hrynenki, do których zawijał, jak do bezpiecznéj przystani, i w których rozumny ojciec, czasem kilku wyrazami, czasem samém tylko spojrzeniem, nawracał go do steru.

W trzeciéj klassie dostał mu się przypadkiem Dykcyonarz filozoficzny Woltera. Z niego to szczególnie nauczył się on po francuzku bo go przeczytał kilkakrotnie, i każdy nieznany wyraz, każdy wątpliwego znaczenia frazes, rozwiązywał sam pracowicie i pilnie, przy pomocy słowników i grammatyk. Ale z niego także stał się w trzeciéj klassie ateuszem. A wyrwawszy ten ateizm ze środka, bez pełnéj wiedzy o całości pracy rozumu ludzkiego na drodze wolnego myślenia, wyegzagierował sam wolteryanizm, i w czternastym roku życia swego przestał wierzyć. Z tém usposobieniem przyjmował wszystko, tak to co usłyszał z katedry, jak to co wyczytał w elementarnych książkach. Z tém także usposobieniem zaglądał za tajemnicze zasłony.

Z zaglądania tego wypadło, że podczas bytności Jasia w klassie czwartéj, znowu jak niegdyś po jego chorobie, obdarty żydek poniósł list od Ruchli do Chorążego. Przygotowania do tego listu nie były już hałaśliwe. Pisania jednakże było więcéj. Nie przytoczymy go w całości, dla tego, że nie możemy podawać go za wzór

stylu. Musimy jednakże treść onego powtórzyć w skróceniu.

Ruchla donosiła Chorążemu, że synek jego «ten kochani iasio« (nie dodawała «mali», bo Jasio znacznie urósł) straszliwie się rozłajdaczył: że robi długi (wyliczyła, ile komu winien, co wszystko razem wyniosło na 13 rubli sr. 4 złote i groszy 10); że zastawia swoje rzeczy (wymieniła wszystkich zastawników), że pije piwo, miód, likier i wino, że zjada mnóstwo makagig i makaroników; że pali fajkę; że się po nocach włóczy. W końcu wzywała Chorążego, żeby jak najśpieszniéj przyjechał i zaradził złemu, bo jak pisała »ziecko zginie.« Podawała i radę, a to: oćwiczyć po ojcowsku.

Chorąży nie pośpieszył na wezwanie Ruchli, i nie wiem czy jéj co odpisał.

Każdéj niedzieli, kiedy uczniowie ordynkiem szli do kościoła, Ruchla wychodziła przed domostwo, szukała oczami Jasia i pilnie mu się przypałrywała. Jéj zaś wnuki i prawnuki, rodzeni, cioteczni i stryjeczni, uwiadamiali ją skrupulatnie o każdym jego kroku. Jeden z nich, handlujący owocami, był jego kredytorem na summę pięciu złotych za gruszki, jabłka i orzechy, i oprócz tego, pożyczył mu trzy złote gotówką, z procentami grosz na tydzień od każdego złotego, na co wziął w zastaw kamizelkę.

Wyjazd Jasia z czwartéj klassy na wakacye nader był smutnym. Odłużył się po uszy i nie miał czém zapłacić, a pod względem garderoby posiadał już tylko to, co miał na grzbiecie. Dłużnicy, jakby zmówieni, gdy on z promocyą w kieszeni powracał na stancyę, obskoczyli go na ulicy.

— Panie Janie!... Ny!... Co to z tego będzie!...— powtarzali wszyscy na raz i każdy z osobna.

Jaś nie śmiał patrzeć im w oczy.

— Zapłać pan!..— i szarpali go za poły.

Jasiowi krew uderzyła do głowy.

— Zapłacę... po wakacyach... — odpowiedział nieśmiało.

— A jeżeli pan nie zapłaci?..

— Zapłacę!..— odparł stanowczo.— Ojciec da mi pieniędzy... Gdyby był teraz przyjechał, to bym mu powiedział, poprosiłbym go, i uiścił się z długów... Ale widzicie sami, że nie przyjechał... Bądźcie cierpliwi...

— Nu... a jak pan nie zapłaci...— odezwał się jeden żyd— to udam się do pańskiego ojca, albo do dyrektora, i powiem, że pan u mnie wziął na kredyt dwie półbutelki *dońskiego*...

— A ja powiem, że pan u mnie siedm kieliszków likieru wypił...— dodał drugi...

— A u mnie wziął pieprzowy cybuszek...

— A ja sprzedam pańskie spodnie...

— A ja zlicytuję pański płaszcz...

— A ja w pańską kamizelkę ubiorę mego Szmula...

— A ja...— wołał długi Lejba, cukiernik— pokażę rewers na trzy ruble...

— A ja!..— wołał krótki Mordko, także cukiernik— upomnę się o siedmnaście złotych...

Cukierki wolterzystę naszego najwięcej kosztowały.

Jaś stał, jak na rozpalonych węglach, i odpowiadał:

— Zapłacę... Po wakacyach zapłacę...

— Ny!.. Niech już i tak będzie¡..— powiedział jeden z dłużników, a za nim wszyscy, i rozeszli się.

Bohater nasz pojechał do domu, lżéj jak zwykle, bo kuferek jego był prawie próżny.

Przez całą drogę bił się z myślami: jak i co ojcu powiedzieć?..

Przed samemi Hrynenkami stanęło na tém, że wszystko wyzna przed ciotką i poprosi ją o pośredniczenie. Bo pomimo całego niedojrzałego swego wolteryanizmu czuł, że źle zrobił i nie mógł przypuścić do głowy, aby godziło się podejść ojca kłamstwem. Wolał raczéj cynizm usprawiedliwienia postępowania swego.

— Cóż tak bardzo zdrożnego popełniłem!..— myślał sobie.— Odłużyłem się... wielka rzecz!.. Byłbym się nie odłużał, gdybym nie spodziewał się, że ojciec zapłaci... Zrobiłem może źle, ale nie popełniłem żadnéj zbrodni... Zresztą, zobaczymy co mi ojciec powie...

Nie wiedział Jaś, że na pochyłości złego dość jest, a szczególnie w czternastym roku życia, jeden krok postawić, aby spaść aż na łeb, na same dno.

Gdy zajeżdżał przed ganek starego dworu, serce mu biło niespokojnie. Gdy nie spotkał ani ojca, ani ciotki, którzy zazwyczaj spieszyli na jego spotkanie, opanowała go jakaś trwoga. W ganku powitały go psy. Wbiegł do sieni: w sieni było pusto; w pierwszym pokoju także pusto. Szukał ojca i znalazł go w kancellaryi, opartego łokciami na stole, nad jakąś książką. Siedział i ani ruszył się na wejście syna, tak, zdawało się, zatopionym był w czytaniu. Jaś zbliżył się, wziął go za rękę, chcąc złożyć na niéj powitalny pocałunek; ale ręka ojcowa nie dała się odchylić od czoła. Postał Jaś jeszcze przez chwilę i wyszedł na palcach. Serce mu się ścisnęło.

Udał się do ciotki. U niej także podobnego doświadczył przyjęcia. Robiła ona pończochę i była zamyśloną, i chociaż pozwoliła pocałować się w rękę, ale nie pocałowała synowca w głowę, a ręka jej tak była sztywną i twardą, jak drewniana. Cóś Jaś powiedział. Panna Ewa nie odpowiedziała; robiła w milczeniu pończochę, z lekka ruszała ustami i ani patrzała na niego. Jaś i od ciotki wyszedł na palcach.

Wyszedł i poczuł się obcym w własnym domu. Nic nie może być przykrzejszego nad to uczucie. Zbierało się mu na płacz. Postał przez chwilę, pomyślał. W głowie mu się cóś jakby przewracało i kłębiło.

Poszedł na tok do Hryhora. Stary Hryhor, który dawniej, zajrzawszy go z daleka, natychmiast czapkę przechylał na bakier i serdecznie się uśmiechał, tym razem odwrócił się, powitał go obojętnie i rzekł:

— *Cóś ty tam synku namalował... Hm!..* To kiepsko... Za to świętej pamięci nieboszczyk mój ojciec wsypnąłby mi jakich ze sto rózeg, ażbym nosem orał podłogę a zębami gryzł ziemię pod sobą... Cóż mówił Jegomość?..

Jaś opowiedział o przyjęciu, jakiego doznał. Ale jak tylko usta otworzył, natychmiast po policzkach popłynęły mu łzy, jakby pierwszy wyraz przerwał tamę, która je za powiekami zatrzymywała.

— Nie masz co beczeć, tylko trzeba poprawić się...— powiedział gumienny.— Bo z naszym starym żartować niebezpiecznie... Dla niego wyrzec się syna, to jak chleba z masłem zjeść...

Na te dopiero słowa strach istotny zakołatał bohaterowi naszemu do serca. Wiedział on już o Stanisławie i miał wstręt do drogi, którą starszy brat poszedł. Za

żadne zaszczyty, za żadną najświetniejszą karyerę nie chciałby narazić się na utratę ojca, którego nie tylko jako ojca, ale jako człowieka rozumnego poważał i szanował. Chorąży, chociaż bynajmniéj nie był wyznawcą Woltera, ale nie było w nim ani cienia fanatyzmu religijnego, a zapatrywanie się jego na wszystko tak było jasne i zdrowe, sąd o rzeczach miał tyle decydującej wytrawności, że Jaś uważał ojca jako ostatnią instancyę w kwestyach filozofii praktycznéj.

— No... no!..— rzekł Hryhor.— Nie masz czego płakać... Idź lepiéj do pokoju pana Stanisława, który dla ciebie przygotowali, ta rozmyślaj...

Był w officynach pokój osobny, w którym onego czasu przemieszkiwał Stanisław, ile razy zjeżdżał do Hrynenek. Stał on zamknięty. Nikt w nim od dawna nie mieszkał. Zawsze jednakże nosił nazwę pokoju pana Stanisława. Ten to pokój przeznaczonym został tym razem dla Jasia, który po raz pierwszy osobno zamieszkał. Okoliczność ta także go nie mało zafrasowała.

Smutno, bardzo smutno upływały mu całe wakacye. Rozrywki jego zależały na czytaniu Reja z Nagłowic, Łukasza Górnickiego, Frycza Modrzewskiego i Sebastyana Klonowicza, których znalazł na stoliku. Książki te położył tam Chorąży, zapewne w jakimś celu, że wybrał te a nie inne.

Z ojcem i ciotką widywał się Jaś po dwa razy na dzień: podczas obiadu i podczas wieczerzy, do których wzywano go temi słowy:

— Panna Ewa prosi do stołu...

Przy stole traktowano go prawie jak nieproszonego gościa. Twarz ojca była zawsze poważnie surową. A wiedzieć należy, że twarz Jegomości była z rodzaju tych

czysto-polskich typów, co to jeżeli złagodniała, to całe z niej niebo dobroci przeglądało; ale jeżeli się schmurzyła, to zdawało się, że lada chwila tysiącami piorunów strzeli. Panna Ewa milczała. A jeżeli kiedy i toczyła się jaka pomiędzy nią a Chorążym rozmowa, to zawsze taka, w której tylko oni oboje udział brali. Nawet obecność gości nie zmieniła oblicza ojca i postępowania ciotki.

Jasiowi gorzkim i coraz bardziej gorzkim stawał się każdy kawałek chleba i każdy moment. Ciężką była dla niego kara. Rozmyślał.

Rozmyślanie, po wielu a wielu zmianach i rozmaitych rezultatach, w ostatecznym wyniku swoim przedstawiło mu ojca, jako żywe upostaciowanie wszystkiego, co jest najcnotliwszem i najrozumniejszém, i jako konieczny warunek postawiło mu: odzyskanie jego szacunku.

Ale— jak tu ten szacunek odzyskać?.. Gdyż trzeba było nie tylko o szacunek, ale jeszcze i zapłacenie długów kołatać.

Uznał już Jaś w sumieniu swojém, że robiąc długi, robił źle; lecz nie śmiał o nich jeszcze ani ojcu, ani ciotce wspominać. Wstydził się. Odkładał z dnia na dzień, i wlókł tak, że wakacye się skończyły, bryczka zajechała, a on jeszcze nie powiedział.

Jegomość pożegnał syna czulej nieco, jak powitał. Jasiowi zebrało się na płacz. Chciał coś mówić. Coś bąknął o «ciężkiem przewinieniu« o »nadziei przebaczenia.» Lecz ojciec zbył go krótko:

— Spodziewam się, że inaczej będę cię mógł powitać i pożegnać na Boże Narodzenie... Bądź zdrów!..

Jaś wsiadł do bryczki. Ojciec zrobił nad nim z ganku znak krzyża. Bryczka ruszyła.

Długi, niby widmo jakie straszliwe, prześladowały go przez całą drogę. Jedyny tylko przedstawiał się mu środek wyjścia z nich, a tym środkiem było: napisanie do ojca.

— Nie miałem odwagi powiedzieć, więc trzeba zdobyć się na odwagę napisać...— myślał sobie nasz filozof— i przyznać się tatkowi do wszystkiego... przyrzec poprawę, i dotrzymać...

»Przyrzec i dotrzymać:»— na tem zależała cała rzecz. Jaś zapytywał sumienia swego:

— Przyrzeknę— ale czy zdołam dotrzymać?..

I spowiadał się przed sobą, i z Woltera, i ze wszystkich zasad, i ze wszystkich idei, i przymierzał do nich siły swoje: i tak Wolter, jak każda z zasad i idei powiedziały mu jednogłośnie:

— Zostaniesz podłym jeżeli obiecasz i niedotrzymasz!..

Wyraz *»podły«* takim jakimś obrzydliwym zgrzytem napełnił duszę jego, że aż sam siebie się przeląkł.

Ale nie było wyboru. Nie pisać i nie przyrzekać znaczyło nie uiścić się z długów. Pisać i nie przyrzekać znaczyło także nie uiścić się z długów. Pisać i przyrzec było dopiero uczynieniem uiszczenia się prawdopobnem, ale bynajmniej nie pewnem.

Więc przyjechał do Niemirowa, i nic nie postanowił. Brzmiało mu tylko w uszach ojcowskie »bądź zdrów,« jakoś sucho i krótko wymówione. Z dłużnikami jednakże nie wiedział co począć.

Za to dłużnicy wiedzieli co począć z bohaterem naszym. Zaledwie bowiem pokazał się, po odesłaniu bryczki, na ulicy, natychmiast został obskoczony do koła. Żydzi pozdrawiali go z powrotem i kłaniali się mu z uśmiechem, który Jasiowi wydał się drwiącym.

— Ny, panie Janie...— mówił jeden— Jakże się pan ma?...

— Jak pańskie zdrowie?..— pytał drugi.

— Jak pan przepędził wakacye?..— dodał krótki Mordko.

— Panu coś kieszonki odymają się?..— powiedział długi Lejba.

— Strzelał pan bekasy?..

— O!.. pan Jan polował na coś lepszego, jak bekasy: na ruble!..— wyrwał się jeden.

— Na wróble!..— podchwycił któryś z tyłu.

— Ba na ruble!..— krzyknął pierwszy i dodał:

— Dla nasich bidnich zidków ruble są lepszą zwierzyną, jak bekasy i wróble...

Żydzi głośno śmieli się z podobizny brzmienia wyrazu rubel i *wróbel*...

— *Ot*, zaraz *będziemy dowiedzieć się*— odezwał się któryś— jak powiedło się ną wakacyach polowanie panu Janowi... Bo wun polował dla nas... Nie prawdaż, panie Janie?..

— Z czém pan do nas przyjechał: z wróblami w głowie, czy z rublami w kieszeni?..

Żydzi w śmiech. Jasiowi aż gorąco się zrobiło.

— Aby ino tatuńcio był zdrów, to znajdą się i rubelki... Nie prawdaż, panie Janie?..— zapytał ten sam, który już raz podobne zadał pytanie.

— Nie mam ani grosza!..— krzyknął Jaś z rozpaczy.

— Jak-to, nie mam!..— odkrzyknęli naraz chórem dłużnicy.

Twarze ich przedłużyły się i sposępniały. Zbiegli się przed Jasia ciasną kupą i z téj kupy szybko jeden po drugim, padały wykrzykniki:

— Herste-di!..

— Ny!..

— Co to, nie mam!..

— Co to będzie!..

— Wus!..

— Jak-to!..

— A moje pięć złotych!..

— A moje pół rubla!..

— A moje siedm złotych!..

Żydówka jakaś pisnęła przeraźliwie:

— A moje dwa złote i groszy piętnaście!..

Młody jakiś żydek lamentującym zawołał głosem:

— A moje dwadzieścia pięć groszy!..

Mordko tylko i Lejba trzymali się na stronie. Antagoniści z rzemiosła, pałali ku sobie nieprzyjaźnią, i dla tego zapewne jeden drugiemu nie chciał pomagać w nacieraniu na Jasia.

Jasiowi wyschło w gębie. Chciał przemówić; lecz wyrazy mu się nie składały, i przytem musiałby mocno krzyczeć, aby głos jego wzniósł się po nad hałas w którym najczęściej powtarzały się!..

— Herste!.. Ny!.. Co to będzie!..

Nakoniec zdobył się na zawołanie błagającym tonem:

— Bądźcie cierpliwi!.. Napiszę do ojca!..

— Ojca!.. do ojca!.. ojca!..— zabrzmiało na rozmaite głosy.

— Co to, ojca!..

— Jak to, ojca!..

— Co to, napiszę!..

— Jak to, napiszę!..

— Czemu pan nie powiedział!..

— Musiał powiedzieć, ale tatunio zamiast rubelków dał mu z kilka kułaków...

— To parszywiec nie tatunio!..

Na ten ostatni wyraz Jasiowi pociemniało w oczach. Coś go aż niby podniosło. Krew zawrzała. Ręka sama niechcący skoczyła, zacisnęła się w kułak i poniosła sztusaka w zęby najbliżej stojącemu żydowi.

— Aj-waj!.. gwalt!.. — wrzasnął uderzony przeraźliwie.

— Bije się!..— podchwycili inni— i sypnęli gradem obelg.

I ścisnęli bohatera naszego gęstem kółkiem. Ruszali się i wrzeszczeli. A przed nim deptał w miejscu żyd z zakrwawioną od sztusaka twarzą.

Położenie stało się krytycznem. Po za kółkiem dłużników sformowało się już koło widzów, i z pięćdziesiąt przynajmniej pejsatych twarzy, z wyrazem najwyższego oburzenia i groźby spoglądało ku bohaterowi naszemu. On zacisnął zęby i pięści i stał we środku nie wiedząc co począć. Czuł się bezsilnym w obec tłumu. Jakaś tylko potężna dywersya mogła go uratować.

Jakoż znalazła się dywersya pod postacią głośnego:

— Cyt-że!.. cyt-nu!.. sza!..

Wezwanie to do uciszenia się pochodziło od handlarza owoców, kredytora Jasiowego na pięć złotych za gruszki, jabłka i orzechy i zastawnika na kamizelkę za trzy złote z procentami. Ochroniło go ono najprzód od suchych razów, które już już mu groziły, a następnie, powoli, uspokoiło gwar. Ucichli żydzi, wyjąwszy tego, co dostał sztusaka, który pluł, kaszlał i chrząkał.

— Ja dam panu sposób zapłacić...— rzekł handlarz owoców.— Ny!.. tylko niech mnie pan posłucha...

— Jaki?..— zawołał Jaś.— Napiszę do ojca!..

— Niech pan sobie pisze i do ojca... To nic nie szkodzi... Ale niech pan pierwej pójdzie do starego Szlomy Bera... ta jego bardzo pięknie poprosi... To my jeszcze panu poczekamy do jutra...

— Git!.. do jutra!.. Niech tak będzie!..— odezwało się kilku żydów.

I po niejakim oporze, szczególnie ze strony uderzonego, termin został przyjętym. Dłużnicy rozeszli się.

Dla Jasia Szloma stał się deską zbawienia. Przeszedł on przez takie rózgi, uczuł się tak bardzo upokorzonym w swojej własnej a najbardziej w ojca osobie, że postanowił bądź co bądź oczyścić się z długów koniecznie i nie leźć w nie już więcej. Ułożył więc sobie tak:

— Pójdę do Szlomy... poproszę... Jeżeli mi pożyczy, to spłacę natychmiast długi i napiszę do ojca. Jeżeli zaś nie pożyczy, to natychmiast, dziś, z wieczora, ruszę do Hrynenek piechotą, padnę ojcu do nóg, wyznam wszystko, poproszę o przebaczenie, przyrzeknę poprawę i... dotrzymam...

— O!.. dotrzymam!..— powtórzył sobie kilkadziesiąt razy.

I napiwszy się szklankę wody, udał się do Szlomy.

Szloma i Ruchla przyjęli go bardzo serdecznie. Wypytywali się.

— Dostałeś Jasiu promocyę?..

— Jak przepędziłeś wakacye?..

— Jak się ma tatunio?..

— Czemu tatunio nie łaskaw, nie przyjeżdża do Niemirowa?..

— Mam do was, panie Szlomo, interes...— rzekł Jaś nieśmiało, odpowiedziawszy na wszystkie pytania— bardzo ważny interes...

— Jaki to interes?...— rzekł Szloma, z akcentem mocnego zapytania, zwykłego żydom gdy wymawiają wyraz: interes.

— Co to za interes?..— podchwyciła Ruchla, a oczy jej rozwarły się szeroko, jakby z wielkiego zdziwienia.

— Mam długi...— odparł Jaś— i opowiedział w krótkości długów swoich historyę.

— Chciałem prosić ojca... Ale ojcu ktoś doniósł, może pan Mimowoli, może który z ojców moich kolegów... Nie wiem...

Ruchla uśmiechnęła się nieznacznie.

— I ojciec tak mnie źle przyjął, że przez całe wakacye nie śmiałem ust otworzyć... Wiem, że jedynym sposobem przeproszenia go jest poprawa... Ale na to potrzeba czasu... A tymczasem dłużnicy naciskają... dokuczają... wstydzą...

Drżenie głosu zdradzało silnie wewnętrzne naszego Jasia wzruszenie, na które Ruchla uśmiechnęła się.

— Przyszedłem więc prosić was, panie Szlomo— ciągnął— abyście pożyczyli mi pieniędzy na zapłacenie długów i przez to uwolnili mnie od wstydu i dali czas do przeproszenia ojca...

Domawiając tego, tak się zadyszał, że po ostatnim wyrazie ciężko, z głębi piersi odetchnął i nie mógł już mówić.

Szloma zamknął oczy, pogłaskiwał powoli brodę, kiwał głową i po cichu nucił sobie przez nos:

— Uuuuu!..

Nastąpiła chwila milczenia. Jaś słyszał dygotanie własnego serca.

— Ileżeś winien?..— zagabnęła Ruchla.

— Dwadzieścia cztery ruble, dwa złote i groszy ośm...— tchem jednym odparł Jaś.

— If!..— zawołał Szloma i podskoczył na miejscu.— Ny!.. i któż to zapłaci?...

I począł trząść głową.

W ciągu całej tej sprawy bywało Jasiowi gorąco, ale w tej chwili zrobiło się mu zimno. W zapytaniu bowiem starego żyda i w trzęsieniu głową, wydało się mu, że widzi odmowę. Sięgnął więc po czapeczkę i z rozpaczą w głosie powiedział:

— Jeżeli nie chcecie mnie poratować, to...

I zabierał się do odejścia.

— Kto nie chce poratować?.. — rzekła Ruchla.— Nie uciekaj-no, Jasiu... Poczekaj... My jesteśmy bardzo wielcy twego tatunia przyjaciele... To my gotowi zrobić wszystko dla twego tatunia... I gdybyśmy wiedzieli z pewnością, że się poprawisz i sprawisz mu przez to radość, to możebyśmy znaleźli dwadzieścia cztery ruble... Choć to teraz czasy ciężkie, bardzo ciężkie... Ruble nie sypią się do kieszeni, jak manna... Na jednego trzeba ciężko i długo pracować...

— Ojciec wam zwróci... będę go na klęczkach błagał...— wtrącił Jaś głosem niepewnym.

— To nie o to chodzi!..— przerwała Ruchla.— Ale o to, że te ruble, co ty w błoto wyrzucił, zdałyby się na coś inszego, na coś lepszego... Ty na te ruble sam nie pracował... Zapracował ktoś inszy... może twój tatunio... może biedne chłopy... a ty ich pracę sponiewierał... A wiesz ty Jasiu, że poniewierać pracę drugich,

to wszystko jedno co kraść, co rozbijać na drodze... He?...

Zamilkła żydowica i ciężko odsapywała. Jaś spuścił głowę i oczy i milczał. Szloma kiwał głową, głaskał brodę i milczał.

— Dwadzieścia cztery ruble!..— po odpoczynku ciągnęła dalej żydówka— Herste!.. To pieniądze!.. To praca!.. Ale nie twoja!.. Gdybyś ty nie wyrzucił ich na głupstwo i rozpustę, to one zostałyby się u tego, co je zapracował... Tyś mu je wydarł, ukradł, tyś go rozbił... A przed wielkiem sumieniem, przed Bogiem, tak samo są rabusiami, złodziejami i rozbojnikami ci co po pańsku, jak i ci co nie po pańsku wydzierają, kradną i rozbijają... He?...

Znów Ruchla odetchnęła i dłużej jak przedtem sapała.

— Nu... napisz rewers...— rzekła w końcu— na dwadzieścia cztery ruble, dwa złote i groszy ośm... Ot tobie papier i kałamarz... A kiedy oddasz?..

Jaś podniósł głowę nieśmiało i odrzekł:

— Nie wiem...

— Niech będzie, za dwa miesiące... Napisz do tatunia. Bo ani ja, ani Szloma, nie będziemy śmieli powiedzieć jemu, żeśmy ci na głupstwa i rozpustę pieniądze pożyczyli... To wun by nam za to w oczy napluł...

Jaś zasiadł do pisania, ale nie wiedział co pisać.

Ruchla mu dyktowała:

— «Ja, niżej na podpisie podpisany, Jan Jeż, pożyczyłem pożyczką u Szlomy Bera, starozakonnego, właściciela domostwa w Niemirowie, 24 ruble, 2 złote i

groszy 8, wyraźnie dwadzieścia cztery ruble srebrem, dwa złote i groszy ośm, które obowiązuję się rzeczonemu Szlomie Ber zwrócić gotówką, w brzęczącej monecie, w terminie za dwa równo miesiące od niżej na podpisie podpisanej daty.— Dan w Niemirowie, dnia 23 sierpnia 1840 roku.— Jan Jeż.«

— Nu, a teraz idź z Bogiem i ucz się spokojnie... Już ciebie żaden dłużnik nie zaczepi... Pamiętaj o tatuniu...

Z uniesieniem radości dziękował Jaś Szlomie i Ruchli, staremu żydowi uścisnął serdecznie rękę. Żydowica przytuliła go do szerokiej swojej piersi i pocałowała w głowę. Oczy jej nabiegły łzami.

Po powrocie od Szlomy, natychmiast wziął się Jaś do pisania listu. Usiadł i napisał od razu.

Listy synów, przyznających się do długów i proszących o pieniądze, stanowią, rzec można, oddzielny rodzaj literatury. Są one zwykle patetyczne, wymowne, tkliwe, usiłujące zarazem poruszyć, przekonać i rozczulić. Zaczynają się od sentencyi moralnej, od wyznania takiej zasady, o której wie się z góry, że się podoba ojcu dobrodziejowi. Następnie, przechodząc przez ogródki... przez ogródki... dotykają nareszcie wielkiej kwestyi, z wielkim wstrętem, tłómaczącym się jedynie fatalną koniecznością. Jeżeli zawierają wyznanie błędu, to błędu tego powodem była niezawodnie także fatalna konieczność. Syn ugiął się pod nią. Nie mógł jej przełamać. Spadła niespodzianie, jak piorun z nieba. Ale za to— na przyszłość?.. Przyszłość odmalowaną bywa kolorami takiemi, że ojciec dobrodziej byłby czterma literami, gdyby się nią nie zachwycił. W niej syn przedstawia siebie, jako już zupełnie oświadomionego z konie-

czną ową fatalnością, a zatém przygotowanego do stawienia jéj czoła. Nic go już odtąd nie złamie. Byle tylko ojciec dobrodziej przysłał pieniądze.

Trzeba jednakże wyznać, że listy tego rodzaju mają swoją dobrą stronę. One to bowiem są ćwiczeniami na seryo, w których waży się i obmyśla każdy frazes, pilnuje się ortografii i reguluje całość. Mówię o tém z własnego doświadczenia. Kto wie— gdybym był kilkunastu długich listów z prośbą o pieniądze nie napisał ze szkół do ojca— czy dziś miałbym zaszczyt figurować w gronie pisarskiém!.. Nie wiem jak inni, ale co się mnie tyczy, i jeszcze jednego, który obecnie drukuje od czasu do czasu rymowane produkcye, że jesteśmy autorami, to dzięki długom i listom do ojców.

Jasiowi natura odmówiła snadź usposobienia do pisarstwa. List jego był krótki i węzłowaty.

— «*Drogi Tatku!— Nie mam potrzeby opisywać ci* błędy moje. Z obejścia się twego ze mną podczas wakacyj poznałem, że je znasz. Wiem o tém, że mi ich nie przebaczysz, póki się nie poprawię. Owóż ja poznałem, żem zbłądził i chcę się poprawić. Chcę, drogi Tatku, odzyskać twój szacunek, który sprawiedliwie utraciłem. Pomóż mi, bo ty tylko jeden na całym Bożym świecie jesteś w stanie mi pomódz. Podaj mi rękę. Wydźwignij. Zapłać moje długi, które wynoszą dwadzieścia cztery ruble, złotych dwa i groszy ośm— i których ostatnim terminem jest 23 września r. b. Przyrzekam ci uroczyście poprawę.— Drogiej Cioci rączki całuję.— Kochający syn.— Jan Jeż.«

Odpowiedź Chorążego była taka:

— »Kochany synu!— List twój z dnia 24 sierpnia 1840 roku odebrałem. Przyrzeczeniu twemu wierzę i mo-

cno się niem cieszę, bo domyślam się, że pochodzić ono musi z przekonania się o obrzydliwości trwonienia cudzej pracy, pracy tych, którzy łożą na twoją edukacyę. Musiałeś pomyśleć nad tem, że sama edukacya jest długiem. Odłużanie się przeto pod jéj pozorem, pod jéj osłoną, lub obok niej, jest po prostu oszustwem. Zasmuciło mnie, żeś tego wcześniej nie zrozumiał. Spodziewam się, że nie dasz mi już powodu do smutku.— Posełam ci 26 rubli. Spłać długi a resztę użyj na twoje potrzeby.— Ciotka zasela ci usciski.— Do zobaczyska na Boże Narodzenie.— Kochający ojciec.— Ksawery Jeż.«

Od tego czasu wystrzegał się Jaś długów jak ognia i z pewnym rodzajem «*retro satane!*» odpychał od siebie pokusy, na których nie zbywało. Ten sam żyd, którego potraktował sztusakiem w zęby, najpierwszy nastręczył się mu z gotowością poborgowania jakiego towaru, lub zaawansowania kilku rubelków.

— Nie mam czém płacić!..— krótko mu odparł nasz bohater.

— O!.. nie mam czém płacić!.. co to nie mam!..— rzekł żyd obłudnie.— Trzeba tylko umieć zagadać do tatuńcia, to się znajdzie... Co to!.. Czy to Hrynenki nie wystarczą!..

Ale Jaś zamierzył się na niego ze ściśnioną pięścią, i żyd, jakby się uczył gimnastyki, skoczył w tył z przestrachu, przypomniawszy sobie dosadność sztusaka.

Koledzy, z którymi przehulał 24 ruble, posądzili go o skąpstwo. Lecz Jaś otwarcie powiedział im, że nie myśli być »oszustem.« Pokazał im list ojca i wytłómaczył znaczenie »cudzéj pracy.«

— Pracują chłopi— powiadał— nieoświeceni, na nas oświeconych i pracują pewnie na to, abyśmy przynieśli

pożytek im i społeczeństwu... Jeżeli więc, zamiast oświecać się, wyrzucamy ich pracę na wino, likiery, tytoń, karty i nierząd, to popełniamy względem nich oszustwo, tém obrzydliwsze, że podstępne, bo oni nie rozumieją a my rozumiemy... Za ich pracę powinniśmy odwzajemnić się im, oni bowiem wyręczają nas za pługiem...

Z tego pokazuje się, że Jaś myślał nad tém, co mu Ruchla powiedziała a Jegomość napisał. Pokazuje się także, że pomiędzy Ruchlą a Jegomościem musiało być jakieś porozumienie, jakiś spisek na Jasia.

Pomiędzy kolegami bohatera naszego byli tacy, którzy na rozumowanie jego wzruszali z politowaniem ramionami. Lecz znaleźli się i tacy, którym trafiło ono do przekonania. Z tego powodu na łonie piątéj klassy sformowała się partya. Powstały nieukontentowania. Poczęto sarkać.

— *Wyjąwszy kilku «złych chłopców«*— powiadano— wszyscy zresztą trzymaliśmy się razem, dobrze, zgodnie... aż miło!.. póki Jan jakiejś tam »cudzéj pracy« nie wynalazł.

Partyzanci szanowania cudzéj pracy zgruppowali się w jedno kółko, małe ale spoiste, i wpływ ich czuć się dał przeważnie w tajemnicach życia studenckiego. Poczęto pilniéj i uważniéj wglądać w tajemnice nauki. Książki poczęły krążyć. Umysły i serca młodzieży zafermentowały. Jakowaś samorodna filozofija podała rękę jakowéjś samorodnéj poezyi, a źródła, z których tryskała jedna i druga, tak były zagadkowe, jak źródła Nilu. Zwiały się one niby z nieba, bo były bardzo czyste i piękne... Nie odłużali się już u żydów, lecz za to uznawali się dłużnikami społeczeństwa, dłużnikami przejętymi poczuciem honoru, a zatém— mającymi silne po-

stanowienie uiścić się wierzycielowi co do ostatniego feniga, choćby w niedostatku fenigów, przyszło się płacić krwią z pod serca. Idea zawitała. Wolter pozostał na stronie; albo— nie, i on wszedł do przymierza świtających idei, wnosząc ze swojéj strony śmiałość krytyczną, z jaką ci gołowąsi myśliciele przyjmowali podawane im do przyjęcia zasady. Wybryki ustay, a jeżeli się zdarzały, to coraz rzadziéj i coraz słabsze.

Owe ziarna, obecność których objawiła się w Janie pierwszego poranka, spędzonego pod dachem Mimowolego, coraz żywiéj i wyraźniéj wydobywały się na wierzch. Zboczenia jego można porównać do pognoju na roli. Były one brzydkie i brudne, jak gnój, ale przyśpieszyły wzrost ziarna. Gdyby rola duszy jego nie była zasiana zdrowem ziarnem, to z pod gnoju wylęgłyby się chwasty. Gdyby zaś zasianą była dobrze a nie podgnojoną, to okryłaby się plonem, ale może nikłym. Okoliczności, sprowadzone częścią przez Chorążego, częścią przez Opatrzność, sprawiły, że nie brakło jéj ani na jedném, ani na drugiém. I plon począł wschodzić, zazieleniał, podnosił się ku słońcu, obfity, bujny, śmiały. Coraz słuszniéj do Jana dawało się zastosować powszechnie znane poetyczne porównanie o młodym orle, probującym skrzydeł do wylecenia z gniazda pod obłoki. Już porastał w pióra. Już czuł siłę lotów. Już mógł się puszczać. Lecz jeszcze— przed ostateczném powiedzeniem »lecę!«— jeszcze... musiał parę koziołków wywrócić.

Tém, co naszemu Jasiowi, na drodze jego moralnego pochodu, podstawiało nogę, i zmuszało go do wywracania koziołków, było to, co powszechnie znaném jest pod nazwą: miłości.

Przekochać się trzeba choć raz w życiu, jak, wedle

czyjegoś tam powiedzenia, odbyć ospę, kur i szkarlatynę, i im wcześniéj, tém podobno lepiéj.

Jan dość wcześnie napił się nektaru z czaszy miłości. Zdarzyło mu się to w szesnastym roku jego życia.

Jak podchmielony człek guza, tak on sam, z dobréj niby woli szukał kochania. I znalazł je; alę nie tam gdzie szukał.

Z poezyi, z filozofii, w Woltera, z Russa, z książek, skazek, piosnek, z powietrza, nieba, z własnéj wyobraźni, z tajemnych jakichś tonów tajemniczéj jakiejś muzyki, z migotliwych światełek, z barw, ze snów, z widzeń na jawie, z promieni, ulepił on sobie, w czwartéj jeszcze klassie, to co nazywają: ideałem.

Samo przez się rozumie się, że ideał ów nie był czém innem, tylko— dziewicą.

Opowiedzieć kształty i zalety téj ulepionéj z niedotykalnych materyj kochanki— bardzo trudno; opisać ją— ani sposób.

Łatwo jednakże powiedzieć co się z nią stało. Oto, przez rok blizko (a w tym roku, trzeba nie zapominać, właśnie się lampartował) zachwycał się Jan swoim ideałem, rzec można, abstrakcyjnie. Potém powoli począł oglądać się za naczyniem, w któreby go wlać mógł. Począł więc próbować czy nie dałoby się wcielić go w którą z panienek, przesuwających się w Niemirowie przed jego oczami. Zrazu czepiał się siostrzyczek kolegów swoich. Następnie wyszukiwał starszych od siebie panien. Z pierwszemi poszło mu nijako; z drugiemi wcale źle. Tym bowiem ostatnim nie tego było potrzeba. Z litością, jeżeli nie z pogardą spoglądały one na smarkacza— i nasz piątoklaśnik o mało że nie naraził się na

doznanie bolów niewzajemności. Od choroby téj jednakże uratowała go na czas jakiś Justynka Golc.

Justynka uczyła się w Niemirowie, u rodzonéj siostry pana Mimowolego, która trzymała prywatny damski pensyon. Było tam kilka panienek. Jan widywał je dość często. Żadna jednakże nie wydawała mu się godną stać naczyniem jego ideału. Lecz gdy zjawiła się Justynka— ujrzéć ją i rozkochać się w niéj, było dziełem jednéj minuty.

Stało się to przed Bożém Narodzeniem— przed tém Bożem Narodzeniem, podczas którego nastąpić miało pojednanie Jana z ojcem.

Ze zranioném od postrzału Kupidyna sercem pojechał bohater nasz do domu. Zapomniał jednakże o Justynce, gdy ujrzał ojca i ciotkę, spotykających go, pomimo mrozu, na ganku i witających z taką radością, jakby wynagrodzić mu chcieli wakacyjne przykrości...

Jan rzucił się ojcu w objęcia. Łzy mu popłynęły. Chciał przepraszać. Wymówił, niewyraźnie: »długi.., ruble... przebaczenie...« Lecz Chorąży mu przerwał, machnął niecierpliwie ręką i rzekł:

— Dajmy temu pokój!.. Co było a nie jest, tego nie pisz w rejestr...

Sędziwa twarz ojca, poorana bruzdami starości, a łagodna i uśmiechnięta, wydała się Janowi piękniejszą od najcudniejszych ideałów, a serce jego, pod starym bijące kontuszem, gorętszém od najbardziéj dziewiczego. Pieszczoty ciotki napawały go niewysłowioną rozkoszą. Chorąży i panna Ewa cieszyli się nim tą radością, «jaka będzie między aniołami niebieskiemi nad jedną owieczką odszukaną.« Przy tém przyjęciu, dotkliwość wakacyjnéj kary stała się jeszcze wydatniejszą.

Czas świąteczny płynął Janowi szybko i wesoło. Godzina uciekała przed godziną, a dnie zbiegały jak chwile.

Dzień przepołował, wieczór spędził na gawędce z ojcem i ciotką. Część nocy przechodziła mu na wieczornicy, a drugą część przesypiał.

Na wieczornicach parobcy ustępowali mu pierwszeństwa. Dziewczęta z za kądzieli nieznacznie na niego zerkały, i gdzieindziej niby spoglądając, wszędzie Jasia widziały.

Jasiowi, wolnemu od wszelkich przesądów urodzenia i wychowania, przyplątywała się niekiedy taka do głowy myśl:

— A nuż!.. gdybym w Marynie, albo Hapce, albo Parasce, albo Frasynie ulokował mój ideał!..

Myśl ta jednakże nie zatrzymywała się długo. Przychodziła nie wiedzieć zkąd i odchodziła nie wiedzieć gdzie. Żadna Maryna, Paraska, Hapka, ani Frasyna nie zajęła bohatera naszego, ani sama lgnęła do niego. Zerkanie dziewek nie przechodziło znaczenia prostéj dziewczęcéj ciekawości, nie oznaczało żadnego szczególnego pociągu. Jedna chyba Jerynka, wnuczka starego Kociuby, okazywała ku niemu innego jakiegoś rodzaju pociąg. Ale ta była jeszcze dzieckiem.

Wieczornice, szczególnie podczas zimowéj bytnośc Jana w Hrynenkach, odbywały się zwykle w Kociubyszynéj chacie, najpiękniejszéj we wsi. Starzy szli spać, a młodzież przesiadywała do północka. I trzeba było widzieć jak Jerynka Jana wyglądała. Póki on nie przyszedł, póty rady sobie dać nie mogła. Choć na dworze było ciemno, ona do okna twarzą się przytulała; choć mróz pociskał i zadymka oczy zlepiała, ona to do sieni,

to na podwórze wybiegała; choć wiatr zimowy huczał, ona ucho nadstawiała i przysłuchiwała się, czy nie słychać też kogo na stawie, po lodzie. Jeżeli zaś długo widać go nie było, to dziewczyna wymyślała sobie wróżby. Puszczała wrzeciono i ciągnęła jak najcieńszą, jak włosek nitkę.

— Jeżeli nitka się nie urwie— mówiła sama do siebie— to on przyjdzie. Jeżeli się urwie, to nie przyjdzie...

Wyciągała rękę. Nachylała się za wrzecionem. Serce jéj biło niespokojnie, aż korale na piersiach podrzucało. I często właśnie kiedy nitka się urwała, w téj chwili drzwi skrzypnęły i Jan wchodził do chaty. Wówczas Jerynie mimowolnie wyrywał się okrzyk:

— Ach!..

— Inne dziewczęta raptownym wybuchały śmiechem.

— Co tobie, Jerynko?..— pytały.— Czyś stracha zobaczyła?..

Jerynka śmiała się z niemi, ale sama nie wiedziała czego.

Była to ta sama dziewczynka, która przed pięciu laty, kiedy Jan po raz pierwszy opuszczał progi ojcowskie, ostatnia ostatniém pochyliła się mu na wrotach pożegnaniem. Wówczas, jeżeli sobie przypomnimy, miała lat siedm. Przez pięć lat nabiegło jéj dwanaście.

Pociąg jéj nie mógł nie zwrócić uwagi Jana. W sercu jego pozostało dla niéj coś, niby wspomnienie wdzięczności, za uśmiech na wrotach, który mu żywym obraz wrót rodzinnéj wsi uczynił. Wdzięczność ta odżywała za każdym do Hrynenek powrotem; za każdém w grono rodziny starego Kociuby wejściem. Jerynka bowiem, jak

przylepeczka garnęła się do niego, i stary wójt zawsze temi prawie słowy witał młodego dziedzica:

— Z szczęśliwym powrotem!.. Daj Boże zdrowia, Jasiu... Wiedzieli my, że przyjedziesz, ale nie wiedzieli, kiedy do nas zajdziesz... A ta szczebiotucha od rana o tobie szczebiotała... Ona, jak ta sroka, zawsze nam ciebie w goście wywróży...

Zawsze też starała się ona jakąś grzeczność lub przysługę zrobić Janowi. Oto, np. podczas ostatniego Bożego Narodzenia, kiedy parobcy, a z niemi Jan, przyszli kolendować Kociubie, to Jerynka, rozdając knysze, każdemu z parobków dała z kapustą lub grochem, a Janowi z makiem i miodem.

Nie była ona klassycznie piękną. Miała jednakże w sobie coś uderzającego jakąś niezwyczajnością. Rosła wysmukło, pędziła się do góry i w trzynastym już roku równała się głową z najsłuszniejszemi we wsi dziewkami. Nie można było jednakże spodziewać się, aby zbytecznie wyrosła, dla tego, że kształty jéj ciała poczynały już wypełniać się i zaokrąglać, i okrywały się tym podlocim puszkiem, co to w dziewicach zwiastuje przeddzień dojrzałości. Kształty jéj postaci i rysy twarzy były delikatne i łagodne. Gięła się niby trzcina z wiatrem i wyglądała jak panienka przebrana po chłopsku. Ale co w niéj najbardziéj niezwyczajnością uderzało, to prawdziwie śliczne, duże, czarne oczy, obok obfitych płowych ze złotawym odblaskiem włosów. Od razu nie można było tego spostrzedz. Ale spojrzawszy na nią raz, chciało się popatrzéć raz drugi i trzeci, a ciągle szukało się oczów, w których coś dziwnie było zagadkowego, coś takiego, jak smak owego jabłka, które matka Ewa w raju zjadła. Na wielkim świecie, w salonach,

tego rodzaju piękność zrobiłaby *furore*. W Hrynenkach jednakże nie liczyła się ona do najpiękniejszych. Miejscowi znawcy tak się o niej wyrażali:

— Et!.. będzie sobie ładna dziewczyna... Niema co mówić... Ale...

Dopytać się jednakże o to »ale« bardzo było trudno.

Jeden powiadał, że ona »jak *sołowejko*« (słowik).

— Słowik przecie— odpowiadało się— to ptaszek nie lada... Jeżeli Jerynka podobna do niego, to dobrze...

— Taj cóż z tego!.. ale...

Inny przyrównywał ją do *zuzuli*. Inny mówił, że w niej łatwo się rozkochać; ale gdyby się kto na nią połakomił, to onaby załaskotała jak ta rusałka. Inny znów zarzucał jej, że «jak się czasem odezwie, to tak rozumnie, jakby z książki przeczytała.«

Pełno było zarzutów czynionych Jerynce. A ona sobie rosła, dojrzewała, jak wiśnia na słońcu. Ale dla Jana, w piątej klassie, była za małą.

Boże Narodzenie 1840 roku było jednem z najrozkoszniejszych dla naszego bohatera świąt. Jegomość był rozmówniejszy jak zwykle. Długie wieczorami zawięzywał filozoficzne, społeczne, polityczne, historyczne i literackie dyskussye, i w nich rozsypywał przed młodym swoim słuchaczem skarby rozumu, nabytego pracą, rozmyślaniem i doświadczeniem. Nigdy nie miał on dla syna tajemnic. Po raz wszakże pierwszy mówił z nim z taką, jak z rówieśnikiem otwartością. Rozmowy jego nie były to już nauki, lecz, jakem powiedział— dyskussye.

— Masz lat piętnaście...— rzekł razu pewnego.— Nie jesteś już dzieckiem... Znałem piętnastoletnich chłopców, co jak starzy żołnierze, bez zmrużenia powieki, stali pod gradem kul i bili się walecznie... A kto już może

być żołnierzem, ten powinien mieć swoje zdanie, bo potrzeba, aby miał przekonanie...

Na to uznanie niejako pełnoletności, Jan aż rósł. Rozmowy interesowały go niesłychanie, tém bardziéj, że—zwykle jak ze starym żołnierzem—zawsze potrącały o tę żyłkę żołnierską, z którą każdy prawie z nas rodzi się. We wigilię Nowego Roku rozgadał się Chorąży o wojennych wspomnieniach swoich i rozwiódł się nad niemi szeroko, przytaczając fakta, biorąc na uwagę ich przyczyny, następstwa i możliwości, i rozliczne czyniąc przypuszczenia. Nic bardziéj ani żywiéj młodéj męzkiéj wyobraźni zająć nie może, jak wojna. To téż Janowi przez całą noworoczną noc śniły się bitwy. A gdy nazajutrz winszował ojcu Nowego Roku, dostał w podarunku konia z zupełném osiodłaniem.

Uniesienie jego radości granic nie miało.

Mógłże on myśleć o Jerynce albo Justynce!..

Za powrotem do Niemirowa, rycerskość ta, którą napoił się przez święta, sprzymierzyła się z potrzebą kochania, która się w nim od przeszło roku odezwała i wyrobiła ten rodzaj romansowości, któremu koniecznie potrzeba—damy.

Bo jakże rycerzowi obejść się bez wstążki na hełmie, bez niezabudka na sercu, bez listka w kieszeni!..

A któż wstążkę uwiąże, niezabudek przypnie i listek da, jeżeli nie—dama!..

Dama była gotową, upatrzoną jeszcze przed świętami. Pozostawało tylko zbliżyć się do niéj.

Ale tu téż był sęk.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Jan nie mieszkał już u państwa Mimowolich. W owym czasie zaprowadzono ogólne kwatery i on przeniósł się do drugiego oddziału.

Państwo Mimowolowie dawną swoją studencką stancyę zamienili na pewien rodzaj przygotowawczego instytutu. Trzymali uczniów takich co do klass nie chodzili.

Nie często mógł odwiedzać ich Jan: ale ile razy przyszedł, był zawsze bardzo pożądanym gościem. Cieszyli się nim oboje, a szczególnie pani, która z dziwną jakąś, ze szczerości zapewne pochodzącą w głosie intonacyą, powtarzała mu często:

— Pamiętaj Jasiu, że masz w nas prawdziwych przyjaciół... Odwiedzaj nas jak najczęściej, ile razy masz czas, w niedzielę i we środę po południu...

Jan korzystał z tych zaprosin, mając na widoku zdybywanie się z Justynką. Ale cóż z tego!.. kiedy nie mógł się z nią zbliżyć, bo nigdy nie mógł z nią dwóch słów na osobności pomówić. Justynka przychodziła do państwa Mimowolich tylko w niedzielę, i to nie zawsze, a zawsze z koleżankami i guwernantką, będącemi, jak wiadomo, niezmiernie niedogodnemi świadkami i niemiłosiernemi argusami. Wzdychał więc tylko ukradkiem nasz bohater. A spoglądając z ukosa na Justynkę, zdawało mu się, że widzi, jak i jéj łono podnosi się niekiedy... westchnieniem. I na tém koniec. Co znaczyły przypuszczalne westchnienia Justynki?— było to dla niego zagadką. Może— wzajemność?.. Może!.. Prawdopodobieństwo przemawiało jednakowo i za i przeciw. Pewności nie było. Jan jednakże, jak każdy w miłości nowicyusz, rozwięzywał wątpliwość na swoją korzyść i kołysał się ślicznemi rojeniami i śliczniejszemi jeszcze snami. W tych ostatnich zawsze prawie widział bitwę, a w bitwie siebie na darowanym na Nowy Rok koniu. Dymy wystrzałów chmurą pole okrywały. A na kłębach

dymów, unoszona jak na fali, w jakiejś konsze czy rydwanie, siedziała Justynka Golc.

We środę po południu zastawał zwykle panią Mimowoli samą jednę i nie miał najmniejszej szansy spotkać się z Justynką. Z tego więc powodu środowe jego wizyty były rzadsze i krótsze. Pani wymawiała mu je nieustannie, a dla zwabienia i zatrzymania, zabawiała go rozmową o wielkim świecie, lub grała i śpiewała.

O wielkim świecie nie wiele miała do powiedzenia. Znała go bowiem tylko z Odessy, gdzie się uczyła, i z kilku majętniejszych szlacheckich domów, po których, póki los nie sprowadził jej z p. Mimowolim, jako guwernantka chodziła. Więc wielki ten jej świat nudził Jana i sprawiał mu szerokie ziewanie.

Pani zaczepiała go niekiedy z innej beczki. Naprzykład: o *karyerze. Przedmiot to interesujący* dla młodzieńca, jak wszystko, co zasłania przed nim tajemnicza mgła przyszłości. I Jan rozpalał się do swojej przyszłości. Ale— cóż!.. Pani, jakby zimną wodą go oblewała, gdy mu jako przykład, jako wzór do naśladowania stawiała... Gromkiewicza. Ten był już na pierwszym kursie; za skończenie gimnazyum dostał w nagrodę rangę czternastej klassy; przed wyjazdem do uniwersytetu pytał się dyrektora (już nie M.....go), na jaki ma pójść wydział, i usłuchał rady, poszedł na wydział literacki, dostał się na skarbowy koszt i miał przed sobą karyerę jasną, wyraźną, ubezpieczoną.

— Wytrwałość jego i rozsądek godnemi są naśladowania...— mówiła pani.— Biedny chłopak, wybrał sobie cel praktyczny, nie jakiś tam ze sfery ideałów, i poszedł... I zajdzie... I będzie szczęśliwy...

Albo twój brat... Czyż go nie można jako bardzo piękny przykład postawić... Taki młody!..

Jan przerywał rozprawę i odchodził.

Pani przytrzymywała go niekiedy zaczepką o kochaniu. Dowodziła, że istotny skarb miłości w dojrzałej tylko znaleźć można kobiecie. Malowała obraz owej dojrzałej kochanki, w którym domyślniejszy albo doświadczeńszy nieco od Jana poznałby portret Karoliny Mimowoli. Wzdychała, jakby po jakichś wspomnieniach a nasz Jan— poziewał.

Jedynem na poziewanie jego lekarstwem były śpiewy. Pani Mimowoli śpiewała uczenie. Nie w szkolnych jednakże trelach gustował Jan, ale w ukraińskich dumkach i w krakowiakach, na które, obok wyjątków z Łucyi, Normy, Lunatyczki etc., pozwalała ona sobie niekiedy.

Razu pewnego— *było to w lutym, podczas zapust*— Jan przyszedł we środę.

— O!.. jakże rzadki z ciebie gość!..— zawołała pani, przywitawszy się.— Czemuż częściej we środę nie przychodzisz?..

Jan tłómaczył się brakiem czasu.

— Zapominasz o twoich prawdziwych przyjaciołach...

I wszczęto tę rozmowę o niczem, doskonale znaną, wiecznie powtarzaną, która w nieskończonych waryacyach brzmi po wszystkich najpyszniejszych i najskromniejszych salonach i salonikach, i służąc do zabicia czasu, służy także do ćwiczenia języka, aby nie zapomniał obracać się w gębie.

Rozmowa ta była jednym z talentów, zdobytych przez naszą ex-guwernantkę na wielkim świecie.

Jan począł się już nudzić.

Pani Mimowoli uciekła się do drugiego talentu: zasiadła przy fortepianie.

Jan żegnał ją i chciał odchodzić.

— Czegóż się śpieszysz, niedobry Jasiu...— mówiła pani.

— Muszę iść... dobra noc pani...— odpowiadał chłopak.

— Niedobry Jasiu!..

I spójrzała na niego tak jakoś czule, że Jana aż litość wzięła.

— Muszę iść...— bąkał.— Przyjdę w niedzielę...

— W niedzielę!..— z westchnieniem wymówiła pani Mimowoli.

— Ale... *à propos!*..— rzekła żywo, niby cóś sobie przypomniawszy.— W niedzielę wieczorynka u siostry mego męża... Jesteś proszony... Pójdziesz?..

Zafrasowało Jana to zaproszenie. Wieczorynka była dla niego rzeczą cale nową. Znał on ją tylko z opowiadań, równie jak bale, ale ani razu w życiu nie był. Wieczorynki tém był ciekawszym, że gdy po raz pierwszy usłyszał ten wyraz, pomyślał że to wieczornica, i zdziwiło go niepomału, gdy się dowiedział, że to co innego. Rad więc był sposobności porównania wieczorynki do wieczornicy. Bardziéj jeszcze rad był temu, że spotka się tam z damą swoich myśli. Pozostał więc u pani Mimowoli, i począł zadawać jéj rozmaite zapytania, takie, któremiby się może zgorszyła, gdyby nie znała światowéj Jana niewiadomości.

— Pójdę...— odparł— a o któréj-że to godzinie?..

— Przyjdź do nas o szóstéj... Pójdziemy razem.

— O szóstéj po obiedzie?..

— A jużci nie z rana...

— Cóż tam będą robić?..

— Bawić się, tańczyć...

— O!.. A ja tańczyć nie umiem...

— Jak-to!.. Przecież wymogłam na twoim ojcu, że kazał ci brać lekcye tańców u Gonzala!.. Przecież uczyłeś się przez rok!..

— Ta cóż z tego!..— odrzekł Jan, kiwnąwszy głową i machnąwszy ręką.

— Musisz więc umieć...

— Gdzież tam!..

— Sprobój...

— I!.. co tam!..

— Walca...

To mówiąc ujęła Jana za rękę, wyprowadziła go na środek pokoju, prawą jego ręką otoczyła sobie kibić, i pomimo lekkiego z jego strony oporu, puścili się oboje, tocząc kręgi walcowe do koła saloniku.

Dziwnie się jakoś Janowi wydawało. Pierwszy to bowiem raz w życiu znalazł się w takiem z obcą kobietą zbliżeniu. A chociaż tę kobietę uważał jak jakąś prawie ciotunię, chociaż nie dawno, nie dawniej jak przed półtora rokiem, sama ona nie jednokrotnie mówiła, że zastępuje mu matkę, zawsze jednakże co nie matka, to nie matka, i Jan, to ujęcie kibici, to otarcie ciała o ciało, to zmieszanie oddechów, ten nakoniec szelest sukni przy nogach swoich, odczuł na sobie jako jakiś rodzaj elektryzmu, sprawiającego wstrząśnienie nerwów.

Pani Mimowoli liczyła kroki.

— Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy...

Liczyła coraz słabiej, a dyszała coraz mocniej, i dyszała tuż przy twarzy Jana.

Walec szedł wybornie.

— A widzisz!.. rzekła pani, zatrzymując się przy kanapie— możesz tańczyć...

Jan chciał ją puścić i już dziękował. Lecz ona zatrzymała rękę jego pod swojém ramieniem, i w milczeniu przeszła się z nim parę razy po pokoju.

Do pokoju, przez firanki, poczęły już zaglądać pierwsze cienie szaréj zimowéj godziny.

Bohaterowi naszemu serce mocno pukało, trochę ze zmęczenia, trochę z czegoś jeszcze.

Pani Mimowoli raptem szepnęła:

— A teraz... na dwa *pas*...

I znów opasała się ręką Jana. I znów oboje puścili się w kółko.

Pani liczyła kroki:

— Raz, dwa... Raz, dwa...

Ale Jan, zły tancerz, idący dobrze dla tego tylko że go dobra tancerka prowadziła, zamiast »raz, dwa,« drobił na »raz, dwa, trzy,« i jak zwykle zły tancerz, spoglądał na nogi. I widział białą pończoszkę, migającą to po jednéj, to po drugiéj stronie nóg swoich. Mieszało go to i z taktu ciągle wychodził. Chciał zatrzymać się— lecz tancerka pociągała go ze sobą. Chciał poprawić się— lecz nie mógł, a tylko męczył się. I zmęczony usiadł na kanapie, obok pani, która tak blizko się znalazła, że jak w walcu czuł ją przy sobie, oddychał jéj oddechem, drżał drżeniem nerwów, a ręka jego w jéj ręce spoczywała, i doświadczała lekkiego, miękiego i ciepłego pociskania.

— Jan sapał, i— odsunął się. I w sam dobry czas to uczynił, bo w téj właśnie chwili dało się słyszéć chrząkanie pana Mimowolego.

— Dobry wieczór, Loli...— rzekł ten ostatni wchodząc.

— Dobry..... wieczór..... Lolo.....— odpowiedziała pani, ciężko oddychając, i wachlując się chustką od nosa.

— Cóż to!.. jesteś zmęczona, moje życie!..

— Jaś..... ma iść..... na wieczorynkę..... do siostry..... Zapomniał walca..... Ach!.... Dałam mu lekcyę..... Uf!..

Mruknął coś pan Mimowoli niechętnie pod nosem.

— Przyjdź-że w niedzielę wcześniej, o piątej— rzekła do Jana, wypocząwszy.

— Czemuż tak wcześnie?....— zagabnął małżonek.

— Mam do niego interes...

— Jaki?...

— A jakiś ciekawy!.. Ale, prawda... Dla was mężczyzn bardzo są ciekawe kobiece interesa...

— Aj!.. ekiwoki!..— zawołał pan Mimowoli strwożony.— Tyle razy prosiłem cię, moja duszko, żebyś się ekiwoków wystrzegała...

— I!.. dajże mi pokój!...— odparła pani niechętnie.— Dziękuj Bogu, że nie jestem żoną *équivoque.*

— Jeszcze co!..— szepnął mąż do siebie. A udając że nie dosłyszał tego co żona powiedziała, zagadał o czemś do Jana.

Janowi było duszno. Potrzebował odetchnąć świeżém powietrzem. Prędko więc pożegnał państwa Mimowolich i wybiegł na ulicę.

Wieczorynka bardzo go zajęła. Cieszył się, że się wypróbował w walcu, że będzie mógł, jeżeli nie zbliżyć się z damą swoich myśli, to przynajmniej ująć ją w pół kibici, przytulić do piersi i wirować z nią po sali.

— Ale, może też choć kilka słów będę mógł z nią pomówić...— myślał sobie.— Tam każdy sobą będzie zajęty... Tam na nas nikt zważać nie będzie... Muzyka

będzie głuszyła... Nikt nie dosłyszy, choćby zważał.. A! ależ jéj powiem!..

— Cóż powiem?..— zapytał siebie po chwili.

I zadumał się. I przebierał w myśli rozmaite wyrazy, frazesa, zapytania, odpowiedzi. I koniec końcem nie trafił na to, czego mu było potrzeba.

— I!.. jakoś to będzie!..— rzekł głośno i machnął ręką.

To jednakże »jakoś to będzie,» jak wszystkie w ogóle »jakoś to będzie«, »niechajno« i tym podobne mądre postanowienia, skończyło się na niczém.

W dzień wieczorynkowy udał się Jan do państwa Mimowolich, gdzie załatwił pani dwa ważne interesa, a mianowicie: dopomógł jéj wzuć prunelowy trzewik, czemu ani służąca, ani mąż, pomimo że wzywała ich pomocy, *nie podołali*, i zapiął jéj suknię, przy której urwał wprawdzie parę haftek, ale przynajmniéj dopiął tego, czego ani mąż, ani służąca nie dopięli. A pozałatwiawszy te interesa, udał się z państwem Mimowolemi na wieczorynkę, zobowiązawszy się względem pani do piérwszego mazura i piérwszego walca. O kadrylu i anglezie nie było mowy, bo tych, pomimo długiéj nauki, *nie nauczył się*. Polka nie była jeszcze podówczas znaną.

W salonie siostry pana Mimowolego towarzystwo było już prawie w całości zgromadzoném. Składało się ono: w połowie męzkiéj— z kilku młodych nauczycieli, kilku uczniów, kilku miejskich dandysów i parę poważniejszych ludzi, w rodzaju pana Mimowolego; w połowie damskiéj— z kilku matron, kilku młodszych mężatek i kilkunastu panien. W ogóle, naliczyć się dało osób około trzydziestu, gotowych napić się herbatki z mlekiem lub bez mleka,

ale z bułeczką, przekąsić szynki, pieczystego na zimno, pierożków z powidłami i chrustu, i, za wyłączeniem poważnych ludzi i matron, poskakać przy fortepianie i zabawić się w cenzurowanego.

Ani salon, ani stroje dam, ani pozór mężczyzn nie zasługują na opis. Wszystko to nosiło na sobie małomiasteczkowe cechy, zmodyfikowane wielko-światowemi pretensyami. Salon był skromny, czysty jednakże i, jak na trzydzieści osób, bardzo wygodny. Damy postrojone były jak można najlepiej, ale nie aż tak dobrze, ażeby np. w Warszawie na balu figurować mogły. Mężczyźni nastawiali się jak umieli, jak ich nauczyły wieści i podania z eleganckiego zaczerpnięte świata: młodzi nauczyciele z zakrojem pedagogicznym, uczniowie trochę z bałagulska, cywilni także z bałagulska (jeden z tych ostatnich był w kozackich szarawarach i we fraku), dla tego, że wówczas bałagulszczyzna była jeszcze w modzie. Pomiędzy pedagogami z jednej, a uczniami i cywilnymi z drugiej strony, wyraźną była linija demarkacyjna, która jednakże nie zagrażała nadwerężeniem harmonii towarzystwa. W ogólności, usposobienie wszystkich było bardzo dobre— zwyczajnie jak w mało-miejskim saloniku; zabierano się wytańczyć do upadłego, wybawić i wyśmiać aż do bolenia brzucha.

W części męzkiej towarzystwa odznaczał się Jan, nie pięknością, bo nie był pięknym, ale czémś takiém, co w młodzieńcu piękność najzupełniej, nawet z górą zastępuje. Przez jego siwe oczy, z jego szerokiego, oprawionego w płowe włosy czoła, przeglądała ta zuchowatość, co to zdaje się mówić: nic mnie w świecie nie zastraszy— wyraz twarzy znamionował siłę woli a ogólna harmonija nieco suchych i grubo-kościstych kształ-

tów ciała znamionowała siłę dłoni; a ogólny wyraz postaci wzbudzał ufność, powiadał: jak przyrzeknę— to dotrzymam, jak przedsięwezmę— to zrobię, jak pogrożę— to biada!..

W części żeńskiej towarzystwa odznaczała się, nie Justynka, niestety! ale, pomimo trzydziestu lat skończonych, pani Mimowoli. Podstroiła się ona, przyczesała, wyświeżyła, twarz uśmiechem rozjaśniła i wyglądała tak przystojnie, jak w oczach amatora wygląda nieodpieczętowana butelka drejmadery, do której się on uśmiecha i oblizuje. Po niej dopiero szła Justynka Golc— piętnastoletnia brunetka, drobna, z noskiem zaostrzonym, zgrabniutka, milutka, uśmiechnięta, milcząca, o której można było powiedzieć tylko: nie brzydka. Bohater nasz jednakże znajdował ją prześliczną. Ale to dla tego tylko zapewne, że *sam miał dopiero lat* piętnaście na szesnasty.

Znalazłszy się na wieczorynce i powitawszy gospodynię domu, cofnął się Jan pomiędzy kolegów, pomiędzy którymi znalazł Henryka Otockiego. Wdał się z nim w rozmowę, a rozmawiając, spoglądał po szeregu dam i zatrzymywał wzrok na Justynce. Wpatrując się w nią, odkrywał w niej coraz nowe powaby, a w sobie coraz więcej miłości. Ona zagasiła dla niego wszystkie damy, nawet panią Mimowoli. Posełał jéj z daleka westchnienia i spojrzenia, i przemyśliwał jakby też to do niéj przystąpić!.. Nie na tém jednakże koniec.

— Przystąpić... nie sztuka...— myślał sobie— ale co jéj u diabła powiedzieć!.. Powiedzieć tak, prosto z mosta:— kocham... nie uchodzi...

— Czego ty taki roztargniony?....— zapytał go Henryk.

— Et!..— odparł Jan i potarł ręką nos.

— Patrz-no, jak wymłodniała pani Mimowoli... Tęga baba!.. Ona ze wszystkich najładniejsza...

— Najładniejsza Justynka Golc...— rzekł Jan.

Henryk głośno się zaśmiał.

— Trzeba się w niej chyba kochać!..— Może ty się kochasz!.. Już wolę Józię, Zosię, Kasię...

W tej chwili jeden z młodych nauczycieli przysiadł się do Justynki i zawiązał z nią rozmowę. Panienka odpowiadała i uśmiechała się. Janowi serce oblało się żółcią zazdrości. Żółć ta bardziej jeszcze zgęstniała, gdy na dane przez fortepian hasło, pary uszykowały się do kadryla i Justynka wystąpiła z rozmownym nauczycielem. Tańczyła z nim, okręcała się, mówiła, uśmiechała się do niego, na Jana ani zważając. Samotnie stał Jan pod ścianą i gorzkie czynił sobie wyrzuty— za nienauczenie się kadryla.

— O czem oni mogą mówić ze sobą?..— pytał sam siebie.

W przestanku kadryla, kiedy tancerz podał Justynce krzesło i usiadł obok niej, nasz Jan zaszedł niby niechcący z tyłu i nieznacznie nastawił ucho.

Nauczyciel uwiadamiał Justynkę, że na Sofijskim Soborze cała bania jest pozłoconą i świeci się do słońca.

— Świeci się?...— zapytała panienka i pokazała ząbki.

— O! świeci się, powiadam pani, jak szczerozłota... U nas w Kijowie, to nie tak jak tu w Niemirowie...

«U nas w Kijowie« powiedzianem było z akcentem »*chez nous à Paris*.«

— E!..— rzekł Jan sam do siebie, oddalając się. To oni z sobą o głupstwach gadają... To nic nie szkodzi...

I uspokoił się.

Po kadrylu zabrzmiał mazur. Pani Mimowoli przypomniała Janowi.

— Teraz na nas kolej...

Tańczył z nią, a zazdrościł Henrykowi, który obok Justynki rzezkie wycinał hołubce.

Nastąpił z kolei walc.

Jan, niby kot na myszkę, spoglądał z pod ściany, jak Justynka otoczona nie jego ręką, przytulona nie do jego piersi, pochylona główką nie ku jego ramieniowi, wirowała po sali z cywilnym w kozackich szarawarach.

Po walcu przyszedł anglez.

— Co to grają?..— spytał bohater nasz Henryka, gdy ozwały się pierwsze akordy.

— Angleza...

— Niech go wszyscy djabli porwą!..— mruknął do siebie.

I pomyślawszy przez chwilkę, posunął do Justynki, z desperacką miną człowieka zdecydowanego na zrobienie głupstwa. (Wiadomo że on angleza nie umiał).

— Służę pani...

— Jestem zamówiona...— odpowiedziała panienka.

Jan cofnął się, strzepnął palcami, i znów niecierpliwie mruknął:

— Niech to diabli porwą!...

I znowu odegrał pod ścianą rolę zazdrośnego spektatora.

Tak przeszedł mu i drugi kadryl.

Tak przeszedł i drugi mazur, do którego ktoś go znów z zamówieniem Justynki uprzedził. I zazdrośny

nasz kochanek zmuszonym był tańczyć z ciężką jakąś jejmościanką. Ale przynajmniéj zamówił sobie Justynkę do najpierwszego walca.

— Zamawiam panią— i zakrztusił się— do najpierwszego walca.

— Dobrze...— odparła panienka cicho, spuszczając oczka.

To oczek spuszczenie wziął Jan za nieomylny znak miłośnéj wstydliwości.

Jakby na jego nieszczęście, kiedy już właśnie nastąpić miał walc, poproszono do kolacyi.

Wesołość wieczorynki zaczynała dopiero rozwijać się.

Tańce szły szybko, bo tańczyło tylko dziesięć par. Do północy było jeszcze daleko, a zanosiło się, że zabawa przeciągnie się aż do białego dnia. Wszyscy ze wszystkiego i z siebie bardzo byli kontenci.

Przy kolacyi *à la fourchette* najlepszy panował humor. Szynka zaprawiana chrzanem i zakrapiana octem, pieczyste na zimno, pierożki i chrust, zapijane kryniczną wodą, znikały jak kamfora, i płodziły gawędkę i żarty. Dowcipy sypały się jak z rękawa i pobudzały do śmiechu. Pedagodzy ruszali ciężkiemi konceptami— więc śmiano się z ciężkości konceptów. Ktoś z niedowcipnych wyrwał się z dowcipem; więc śmiano się z braku dowcipu. Ktoś popisał się z prawdziwym dowcipem; więc śmiano się z dowcipu. Ekiwoki nawet prześlizgały się mimo uszów pana Mimowolego, zachwyconego tryumfem małżonki, wiodącej réj na wieczorynce. Uczony, który doniósł Justynce o świeceniu się bani, oświadczył zachwyconemu małżonkowi, że jego pani mogłaby nawet w Kijowie nie powstydzić się. Twarzyczki panienek zarumienione były rozkoszą, upojone radością. Janowi roz-

jaśniło się sposępniałe oblicze, a to dla tego, że udało się podać Justynce pierożków i szepnąć jéj do ucha:

— Jaki-że ja szczęśliwy, że mogę pani dać pierożków z powidłami... Och!.. gdybym...

Tu urwał nagle i westchnął.

Podczas kolacyi ułożono program zabawy. Miano tańczyć i grać w gry. Jedni oświadczali się za rozpoczęciem od gry, dla odpoczęcia po jedzeniu. Drudzy oświadczali się za rozpoczęciem od tańca, dla przetrzęsienia po jedzeniu. Piérwsze popierali pedagodzy, drugie cywilni i uczniowie. Racyę mieli i jedni i drudzy. Oddano więc kwestyę pod głosowanie, i utrzymały się tańce, a ponieważ szło o przetrzęsienie się, więc zgodzono się na walca. Janowi poczęło serce pukać.

Skończyła się tedy kolacya. Uprzątnięto stoły. Płeć niewieścia *oddaliła się na chwilkę* do drugiego pokoju. Płeć męzka wyskoczyła na ganek, dla zachwycenia świeżego powietrza. I po chwili obie płcie zeszły się na spólnym gruncie tanecznych popisów— jedna wracając z drugiego pokoju, druga z ganku.

Walc zabrzmiał. Jan poskoczył. Lecz raptem wstrzymał się, bo na środku sali niosła się już pani Mimowoli w objęciach nauczyciela matematyki, za nią tłusta jéjmość wsparta na ramieniu Henryka, a za niemi dwie inne jeszcze pary. Stanął więc nieopodal od Justynki i przypatrywał się tańczącym. Suknia pani Mimowoli odchyliła się na bok odśrodkowym pędem i podniosła. Z pod sukni migały białe pończoszki i czarne prunelowe trzewiczki suwały się po podłodze, jak jaskółki powierzchnię wody całujące.

W tém jedna z walcujących par usiadła. Jan na-

tychmiast pośpieszył zająć lukę. Poskoczył do Justynki, podał jéj rękę, i

— Służę pani...— bąknął.

Dobra jednakże upłynęła minuta, nim na środek wysunął. Stał z Justynką w pogotowiu, trzymając ją w półpasa,— kilkakrotnie się zrywał,— już przed nią zabiegał— już panienka puszczała się, ale zawsze musiał się powstrzymać, bo nie mógł wpaść na takt. Nareszcie— puścił się.

Należał on do tego rodzaju walserów, którzy, prowadzeni przez taką np. jak pani Mimowoli tancerkę, dobrze się wywięzywali z zadania. Lecz sami nie umieli prowadzić. To też trzy tylko okręcenia poszły mu jako tako;— za czwartém poczęło już plątać się. Najprzód zawadził o Justynkę kolanem. Potém, chcąc się poprawić nosem w czoło ją stuknął. Potém, zawsze w najlepszéj chęci poprawienia się, nastąpił jéj na nogę, i równocześnie czołem w nos ją uderzył. Biedna panienka jękła z cicha i szarpnęła się, chcąc się wydobyć z objęć niezgrabnego tancerza. Jan przytrzymał ją. W oczach mu pożółkło, w uszach ogłuchło. Okręcił się jeszcze trzy razy, i w tych trzech razach czoło jego, nos, kolana i nogi, jak na bilardzie bila od bili, ciągle odskakiwały od czoła, nosa, kolan i nóg tancerki, powracały ze stuknięciem na to, aby znów odskoczyć i stuknąć. Co najgorzéj, to to, że się usiłował poprawić. Bo skutkiem tego usiłowania, puścił Justynkę nie pierwéj aż jéj twarzyczkę rozbił i nos rozkrwawił. Puszczając jeszcze go nieszczęście spotkało: chciał ją bowiem posadzić, chybił krzesła i na podłogę zwalił. Przytomność opuściła go zupełnie. Obrócił się. Coś mu miękkiego pod obcasem chrupnęło. Była ta nóżka biednéj

Justynki, która w tej chwili z bolu przeraźliwie krzyknęła.

Na ten krzyk fortepian raptem ucichł. W salonie powstało zamieszanie. Mężczyźni i kobiety rzucili się na ratunek Justynki.

A kiedy ją skrwawioną, pobitą, stłuczoną, kulejącą i rozpłakaną odprowadzono do drugiego pokoju. Jan taką od gospodyni domu wysłuchał perorę:

— Impertynencie!.. *Morveux!.. Blanc-bec!..* Żałuję żem cię prosiła!.. Pójdź precz z mego domu!

VIII.

—»Ha, miłość!.. serca mara ta olbrzymia.
Tchnieniem młodzieńca wzbita pod niebiosa...
Et caetera...

Któż z nas, będąc młodym, chociaż nie zawsze może wierszami, nie adressował hymnów do miłosci, nie palił ofiar na jéj cześć!..

Hymny te i ofiary, w piętnastym roku życia, wydają się nam bardzo pięknemi i arcypotrzebnemi. Z wiekiem to mija. Piękność traci listek po listku, kolor po kolorze. Kiedy lata trzy krzyżyki człowiekowi na czole napiszą, to... i... bywaj zdrowa miłości!.. W trzydziestym roku, już po uroku.

Janowi do téj spokojno-sumiennéj epoki życia brakło właśnie jeszcze lat drugie tyle, ile już przeżył. Więc mu jeszcze krew wrzątkiem w żyłach uderzała. Więc miarą żywości bicia pulsów mierzył potrzebę miłości. Więc nie dziw, że zmartwił go, zgryzł, o rozpacz prawie przyprawił wypadek na wieczorynce.

Powróciwszy, położył się wprawdzie do łóżka, lecz sen uciekł od jego powiek i nie przyszedł ani przed świtem, ani o świcie. Przewracał się zgryziony kochanek na wszystkie boki, zwijał się w kłębuszek i wyciągał, wzdychał i myślał— myślał, ale o czém?..

Nie to-to już z nim było, co wówczas, kiedy przebudził się w pierwszym poranku szkolnego życia. Wówczas był dzieckiem, dziś— młodzieńcem. Znajdował się właśnie w tym przełomie wieku, w którym człowiek rwie się do »jutra», a wyrzeka i zapomina »wczora«, i dziwnie się obawia, aby go kto, broń Boże! o dzieciństwo nie posądził.

Z tego to powodu bronił się Jan myślom owego poranka, które gwałtem do głowy mu się cisnęły, po to zapewne, aby wyperswadować znikomość téj miłości, która *wysoką jest dla umysłów poziomych, ale poziomą dla wyższych*. A gdyby myślom owym dał swobodny przystęp, to z pewnością o całéj wieczorynkowéj awanturze i o całym wymarzonym przez siebie romansowym heroizmie powiedziałby:

— I!.. głupstwo!..

I zasnąłby, może w smutku, ale dobrze, i obudziłby się rzeźwy i spokojny.

Nie dawszy zaś myślom tym przystępu, obudził się, albo raczéj, po nieprzespanéj nocy powitał dzień, smutny, zmęczony i zgryziony.

Obok (było to bowiem, jak wiemy, w ogólnych kwaterach) spał Henryk.

Jan widział jak on przyszedł, widział jak się rozbierał, słyszał jak nucił sobie po cichu tego samego walca, co tak nieszczęśliwie wypadł dla niego. Nie

odezwał się jednakże do kolegi, udał śpiącego, nie śmiał go spytać: jak się tam skończyło?..

Musiało się skończyć źle, a przynajmniej prędko, bo Henryk w pół najwięcej godziny przyszedł po Janie. Położył się i smacznie zasnął.

Jan zazdrościł mu snu.

— Szczęśliwy...— myślał.— Śpi... A ja!..

Skrzywił się i przełykał ślinę, która z jakimś posmakiem pierożków z powidłami, z trudnością przechodziła mu przez gardło.

— Niech go porwą kaci!..— mówił sam do siebie, wzdychając i odnosząc klątwę do losu.— Z panią Mimowoli szło tak dobrze, a z Justynką!..

Wielkie szczęście, że bohater nasz domyślił się obwinić los i postawić go przed sobą jako wroga-prześladowcę. Zanosiło się już bowiem na to, że należy on do tego rodzaju ludzi, co to walki, chociażby z jak najokrutniejszym losem, nie obawiają się. Ale za to obawiają się win własnych.

— Co ja winien!..— z tego wyszedł punktu.

I rozbierał w myśli wszystkie okoliczności, mogące powiększyć lub umniejszyć jego winę.

— Miłość?.. Tu nie o nią już chodzi... Niech ją najjaśniejsze pioruny zatrzasną!...— tak sobie powiadał.— Ale...

I ważył takt: raz... dwa... trzy. Akordy walca brzmiały mu cicho ale wyraźnie. I myślał: jak-to noga jego na pierwsze »raz« od razu i doskonale wysunęła się do pani Mimowoli, a jak źle i niezgrabnie do Justynki.

Z tego wysnuło się porównanie pani Mimowoli z Justynką— porównanie, na którem ta ostatnia coraz więcéj tracić poczęła.

A o ile Justynka traciła, o tyle pani Mimowoli zyskiwała. Co jednakże ona zyskiwała, tego tak od razu określić nie podobna. Bo nie miłość: bo jeszcze ani przypuszczał Jan do głowy, aby można było rozkochać się w kobiecie, mniejsza że dwa z górą razy starszéj (piętnasto-letni aspiratorowie do miłości lat kobietom nie obrachowują), ale— zamężnéj, ale— zaręczonéj ślubną, uroczystą *przysięgą*... komu?— panu Mimowolemu.

Słyszał on i rozumiał, (bo jakżeby człowiek co Woltera przeczytał, takich rzeczy rozumieć nie miał!..), że romans z cudzą żoną ma cały urok zakazanego owocu, że właściwie jest tylko prawdziwy romans.

Ale mu o romans, w pospolitém znaczeniu tego wyrazu, wcale jeszcze nie chodziło. Jemu w głowie była miłość rycerska, balladowa, z armaturami, w których zarówno i w jednakiém prawie znaczeniu figurowały: koń, miecz, szyszak, dzida, pióropusz, wstęga, dziewica, etc. Z tego wszystkiego odpadła tym razem tylko dziewica.

— Mniejsza o to!..— szeptało Janowi w wyobraźni.— To tylko głupstwo, żem jéj nos rozbił i na palce obcasem nastąpił... Znajdzie się inna... Ale...

Ale trudniejszém już będzie szukanie, bo już potrzeba było, aby ta inna nie tylko wytrzymała porównanie z panią Mimowoli, ale i nie straciła w niém.

Pani Mimowoli tedy to zyskała, że w wyobraźni Jana (w wyobraźni, nie w sercu: proszę to dobrze wziąść na uwagę) stanęła jako sprawdzian, jako pewien rodzaj kamienia probierczego, o który pocierać się miały dziewice, dla dowiedzenia się, która z nich jest prawdziwém a która fałszywém złotem.

I— dziwna rzecz— począł mu się powtarzać wyraz «Loli« i brzęczał, jak ta muzyka wschodnia, łechcząca

i cicha, którą piórkiem ze strun wydobywają. Obok tego wyrazu, w guście epitetu, stawało pojęcie: »kobieta dojrzała.« Pojęcie to szczególniejszego nabierało uroku, z powodu właśnie tego przymiotnika »dojrzały,« takie, we wszelakiém zastosowaniu, wyborne dającego rezultaty. Dojrzałość więc nabrała znaczenia *sine qua non* pomiędzy przymiotami przyszłéj dziewicy-kochanki. Sprawdzianem zaś tych przymiotów była: Loli.

Co to jednakże ta męzka zarozumiałość!.. Jan ani nie pomyślał o własnéj niedojrzałości. Jemu, piętnastoletniemu, zachciało się dojrzałéj kochanki. Nie wydało mu się bynajmniej, że może narazić się na nazwę smarkacza. We własném przekonaniu nie był smarkaczem: nie przypuszczał więc, aby miał być nim w przekonaniu niewiast dojrzałych. A nie pomyślał jakoś na razie, że pomiędzy dojrzałemi niewiastami dużo jest takich, do których ani przystępuj z miłością rycerską, to jest, które bądź jako żony, wiernemi są obowiązkom małżeńskim, bądź jako wdowy, rozwódki lub panny na wydaniu, mają tylko małżeństwo na widoku.

Całe jednakże rozmyślanie, wynikłe z wieczorynkowéj awantury, nie zdołało rozpogodzić umysłu Jana. Mniejsza już z Justynczyném kochaniem. Skwitował z niego. Ale pokaleczył panienkę. Ale przerwał zabawę. Ale naraził się na wstyd wygnania. Ale— słowem— skompromitował się w obec wszystkich dziewic Niemirowa i jego okolic.

Myśl o kompromitacyi wywołała szereg myśli o dziewicach. Postacie ich przesuwały się przed nim, jedna po drugiej, jak na przeglądzie. Pomyślał np. o dwóch trójkach, o jednéj czwórce, o czterech dwójkach i o jednéj piątce siόstr rodzonych, które regularnie, co nie-

dzielę i co święto, stawiały się w niemirowskim kościele. Wszystkie były dojrzałe, pomimo że parę z nich w majteczkach jeszcze chodziło. Niektóre były dojrzałe, pomimo, że parę z nich w majteczkach jeszcze chodziło. Niektóre były nawet przejrzałe, jak np.— a!... wolę jednakże po nazwisku i imieniu nie wymieniać... Ale ani jedna nie nadawała się na to, aby warto było po palladyńsku, na rycerskiego posadzić ją konia, ubiegać się o dank z jéj rąk, lub kruszyć o nią kopiję: a to dla téj prostéj i łatwéj już do odgadnienia przyczyny, że żadna nie wytrzymywała korzystnie porównania z panią Mimowoli.

Pomimo więc wszystkich trójek, czwórek, par i piątek siostrzyczek, i pomimo wszystkich pojedyńczo występujących dziewic, na których brak Niemirów i jego okolice nie *mogły* się uskarżać, do wyobraźni Jana powracała *uporczywie Loli*, cudza *żona*, a co gorzéj, żona ex-nauczyciela, żona tego pana Mimowoli, który taki wstręt miał do ekiwoków, ta sama co tąk często z tém wyjeżdżała, że nie jest żoną *équivoque*, ta sama, która na podwieczorki zjełczałe masło i powidła z węglami, a na kolacyę wędzonkę ze szrutem dawała. O tém wszystkiem jednakże, o szrucie, maśle i węglach zupełnie Jan zapomniał, i tak sobie w rodzaju konkluzyi powiedział:

— Ot, koniec końcem, gdyby ta Justynka wartą była Loli, to by mnie na wieczorynce nie spotkała ta głupia awantura...

W tém najzupełniejszą miał racyę. Racya ta wszakże była dla niego smutną: bo stęknął i tak głęboko westchnął, że aż Henryk się obudził.

Obudził się, i jeszcze oczu nie przetarł a już śmiechem buchnął. Przewracał się na łóżku i śmiał się gwałtownie. Zapychał sobie gębę kołdrą, chował głowę w poduszkę, i ilekroć usta odzyskiwały swobodę, śmiał się.

Na westchnienie Janowe było to niekoniecznie odpowiednią odpowiedzią. To też nieszczęśliwy nasz kochanek wyglądał i spoglądał, jak człowiek całkiem zdekoncertowany, zbity— jak to mówią— z pantałyku.

— Waryat!.. Waryacie!..— powiadał powoli— Waryacie!.. Waryat!.. No!.. Co tobie się stało... Waryacie... Czego ty się śmiejesz!..

— Z ciebie!..— huknął Henryk, i utopił głowę w poduszkę, nie chcąc zapewne hałasem śmiechu nawołać pedela, lub dozorcy, którzy także wzięliby go może za pomieszanego na zmysłach.

Jan ciągle powtarzał:

— Waryat... Waryacie... Przestań-że się śmiać, bo ci pęknie wątroba...

— Och!.. brzuch mnie boli!...— zawołał Henryk, i schował się pod kołdrę.

— Z cudzego nieszczęścia!..— rzekł Jan tonem gorzkiej wymówki.

— Nie z nieszczęścia, a z ciebie... z ciebie!..— odparł Henryk, trzymając się jedną ręką za brzuch a drugą ocierając łzy.— Wczora widziałem jedną stronę medalu, tragiczną, i o mało nie zapłakałem nad nią... Och... U!.. Biedna dziewczyna!.. A dziś widzę drugą stronę, komiczną, ciebie... i ot... widzisz... płaczę...

I ocierał łzy, które mu śmiech w wielkiej wyciskał obfitości.

— Taki ty kolega!..

— Cóż chcesz!.. proszę ciebie!..— Przerwał Henryk.—

Czyż na tém koleżeństwo zależy, żeby się nie uśmiać z koleżeńskiej śmieszności!.. Ciekawym, cobyś powiedział, gdybym ja tak doskonale odtańczył!.. gdybym ja wynalazł walca na trzy *pas* ze szturchańcami!..

Znów ukrył głowę w poduszkę i po chwili wynurzył ją, ale już bez śmiechu; należał on bowiem do tego rodzaju ludzi, co to wybuchnąć wybuchną, radością, gniewem, żalem, czułością, ale umieją w czas pohamować się i radzi naprawić, jeżeli uniesieniem swojem sprawili komu krzywdę lub przykrość. Dał tego dowód w dziecinnych jeszcze latach, w sprawie posądzenia Jana o skarżenie się. I od owego czasu dotrzymał mu wierności w koleżeństwie i przyjaźni.

— Ale... cóżeś ty z tym walcem dokazywał...— rzekł już spokojnie.— Trzebaż było nie porywać się, kiedy nie umiesz...

— No!..— *podchwycił Jan*— Nieszczęście!.. Widzisz... *bo to ja* umiem... A z panią Mimowoli... Sam przecie widziałeś...

— Prawda... Ha...

Tu chciał Henryk jakąś może uwagę zrobić, czy perswazyę przeprowadzić. Lecz Jan nie dał mu mówić:

— Widzisz...— przerwał.— Mnie ledwo wszyscy djabli nie biorą... Mnie przychodziło na myśl— dodał mocno— w łeb sobie wypalić!..

— Tożbyś się na dudka wystrychnął....— wsunął Henryk.

— Ta wiem o tém...— odrzekł Jan, który dla tego zapewne o wypaleniu w łeb wspomniał, aby ukarać kolegę za niepomiarkowanie wesołości, która go tak zdekoncertowała.

— Ale, com się najadł wstydu, i co się najem, to

ha!.. A, bodaj to wszyscy djabli!..— i drapał się z chłopska w głowę.

— A takieś się do Justynki zapalił!.. Dla tego teżto nie udał ci się walec...

Dla czego się nie udał, to nie udał, dość, że się nie udał... Teraz ludziom nie będę śmiał w oczy patrzéć...

— I!.. głupstwo!..

— Ach!.. bodajby mi była noga się złamała, kiedym szedł na tę wieczorynkę!..

— Co też ty pleciesz, waryacie!..

— Teraz, to nawet do Mimowolich nosa pokazać nie mogę...

— Pani Mimowoli prosiła, żebyś przyszedł do niéj w najpierwszą środę...— wtrącił Henryk prędko, przerywając Janowi jeremiady.

Było to dla Jana niespodzianką. Jakby nie dosłyszawszy, albo raczéj, jakby nie dowierzając temu co usłyszał, zapytał:

— Co?..

Pani Mimowoli bardzo prosiła, żebyś do niéj przyszedł...— powtórzył Henryk.

— E!.. Nie może być...— z niedowierzaniem powiedział Jan.

— Ale, tak jest... z pewnością... powtórzyła mi to kilka razy... I pan Mimowoli nalegał, abym nie zapomniał tobie powiedzieć...

— Cóż ona mówiła?..

— Co?.. Nie pamiętam... Żałowała ciebie...

— Nie śmiała się?..

— Nie...

Pomyślał Jan przez chwilę, i rzekł, wpół do siebie, pół do kolegi:

— Hm!.. dojrzała kobieta...

— Ależ baba wyglądała!..— dodał Henryk.— Zakasowała wszystkie, ile ich tam było... Bo to, panie, wszędzie... i zamaszysto, i pełno...— A i buzia niczego, i oczy i nogi, i ręce... Tęga baba, i kwita!.. Aż żal, że dostała się temu ekiwokowi...

Jan milczał i słuchał kolegi. A gdy ten skończył, westchnął i rzekł:

— Ta cóż z tego!.. kiedy mnie już tam iść nie wypada...

— Gdzie?..

— Do Mimowolich...

— Jeszcze co!..— zawołał Henryk.— A toż co za skrupuły?..

— Wstyd...

— I!.. nie bądź-że dzieckiem!..

I długo jeszcze pomiędzy kolegami wlokła się rozmowa, nawinięta na skrupuły Jana. Jan uważał, i upierał się przy tém, że mu nie wypada zaglądać do Mimowolich. Henryk uważał i utrzymywał, że wypada. Skończyło się na tém, że jeden drugiego nie przekonał, jeden pozostał przy swojém, drugi przy swojém.

Jan tak mocno pozostał przy swojém, że minęło kilka niedziel i kilka śród, a on ani zajrzał do Mimowolich. Czas, ten lekarz doskonały na wstydy, zmartwienia, żale, i w ogólności na wszystkie moralne bole, które hydropatycznym leczy sposobem, aplikując do nich wodę z Lety, przygoił i Janowe rany. Pomimo to jednakże bohater nasz omijał dom Mimowolich i unikał spotkania z niemi.

W kościele tylko, z daleka, pozdrawiał panią skinieniem głowy i otrzymywał w odwet lekki, zimny ukłon, nie poparty ani cieniem uśmiechu.

Jużto, przyznać należy, uśmiechu w domu Bożym nie można było na pani Mimowoli wymódz. Widząc jak ona wchodziła, wychodziła, siedziała w ławce, nie oglądała się, przywstawała, przyklękała, przysiągłbyś, że czysta cnota wcieliła się w tę kobietę pobożną i przykładną, i cieszyłeś się, że w niej obrała siedlisko, bo wcale ładnie wyglądała. Co więcéj, w tém wszystkiém nie można było dopatrzéć jakiejś affektacyi, czegoś, co to bądź strojem, bądź miną nastawia się publiczności i mówi:— patrzcie na mnie i naśladujcie. Przychodziła, wysłuchała mszy i kazania, pomodliła się i odchodziła. Bywała zwykle bez męża, bo pan Mimowoli, wielbiciel klassycyzmu z epoki Stanisława Augusta, zakrawał nieco na adepta wolteryanizmu, i chociaż, przez wzgląd na nauczycielski swój charakter, z tém się nie popisywał, ale do kościoła chodził bardzo rzadko.

Jan przeto, w kościele tylko widując sprawdzian swój romansowy i przypatrując się mu z daleka ale uważnie, odkrywał w nim coraz nowsze i coraz wyraźniejsze zalety, i w wyborze damy myśli swoich stawał się coraz trudniejszym. Zarazem opanowała go jakaś tęsknota, jakaś chęć złamania skrupułów i zajrzenia do państwa, a właściwiej mówiąc, do pani Mimowoli. Nie poszedłszy wszakże przez kilka z rzędu tygodni, dał poznać, że przestał bywać, i nie było żadnej dobréj racyi wpaść do nich ni z tego ni z owego. Nie znał się on na etykiecie; lecz w tym względzie etykietalne wymagalności przystały do miary hryneńskiego jego rozumu. Z łatwością

pojął, albo raczéj domyślił się, że dla odnowienia bywania potrzeba jakiegoś pretekstu.

Od czegoż przypadki!.. Przypadek i pretekst chodzą w parze, jak dwaj rodzeni a nierozłączni bracia.

Razu pewnego kupował Jan w sklepie u Chai ołówki, i gdy właśnie odwróconym był tyłem do drzwi, uczuł raptem na ramieniu lekkie czyjejś ręki uderzenie i wraz z tém usłyszał głos pana Mimowolego:

— A, Janie!.. A, tak się nie godzi!..

Zmieszał się, jakby schwytanym został na gorącym uczynku. Odwrócił się szybko, pozdrowił niezgrabnie i taką wysłuchał perorę:

— Godziż się to, ani zajrzéć do nas... Wszak my kochamy ciebie jak rodzone dziecko... Moja żona wygląda cię co niedziela i co środa, i dziwi się, co się tobie stało, czemu nie przychodzisz?... Wszak, zdaje się, żeśmy *zasłużyli* na jakąś *malutką* z twojéj strony wdzięczność... My, pod okiem których stawiałeś, rzec można, najpierwsze twoje kroki... Nie zapłaciłeś nam za wszystko pieniędzmi... Są rzeczy, których pieniędzmi opłacić nie można... Ja i moja żona mamy prawo wymagać od ciebie, abyś nas nawiedzał...

Jan bąkał jakąś exkuzę, która mu się nie kleiła. Z niéj to tylko można było zrozumieć:

— Myślałem, że od téj wieczorynki u pańskiéj siostry, państwo gniewacie się na mnie...

— Cóż się tobie znów śni!..— przerwał pan Mimowoli.— Wypadek!.. No, i cóż!.. Wypadki ludziom zdarzają się i za nie nikt się nie gniewa... Ale, chociażbyśmy się i gniewali, toć przecie godziło się o tem dowiedzieć, przekonać, a gdyby potrzeba, to nawet i przeprosić... Przecież byłeś moim uczniem...

— Myślałem, że nie da się przeprosić pani..— wyrwało się Janowi niechcący.

— Moja żona!..— zawołał pan Mimowoli.— Cóż znów!.. Prędzéj ona, jak ja... Bo ja miałem tobie za złe tego walca z panną Golc, ale ona!.. Ona od razu wzięła twoją stronę i ciągle utrzymuje, że nie twoja była wina... Ona z tobą walcowała, to wie lepiéj jak ja... Nie bądź-że dzieckiem!... Przyjdź... Będzie między nami zgoda... A jeżeli nie przyjdziesz, to pogniewamy się na ciebie na wieki... Powiem Loli, żem cię spotkał, i uprzedzę ją, że będziesz w niedzielę...

— Nie w niedzielę...— pochwycił Jan prędko— ale we środę...

— Nacóż ta zwłoka?..

— Nie mogę...— odparł Jan proszącym prawie głosem, i jakby coś przypominając sobie, podniósł głowę do góry i powtórzył stanowczo:

— Nie mogę...

— No... to niech już tak będzie... Ależ pamiętaj... Jeżeli nie przyjdziesz!..

— Przyjdę... z całą pewnością...— odpowiadał Jan, rad pretekstowi.

— Więc, do zobaczyska!.. A na zadatek zgody pomiędzy nami, daj rękę!!.

Jan uścisnął podaną sobie prawicę swego exnauczyciela, w szczeréj intencyi dotrzymania mu słowa.

I rozeszli się.

We środę znów się zeszli w tym samym saloniku, w którym Jan probował się w walcu. Pan Mimowoli tak mu był rad, że aż wyszedł na jego spotkanie do proga i z rodzajem tryumfu prowadził go do żony, z daleka wołając:

— Loli!.. prowadzę ci dezertera... Złapałem go w sklepie u Chai i mocno natarłem paniczowi uszów... Oto go masz!..

Pani obsypała Jana wymówkami!

— A, czy można!.. a, czy to się godzi!.. a nie spodziewałam się tego!.. a Jasiu!..

Jan bąkał, tłómaczył się, przepraszał, i w końcu na tém stanęło, że regularném na przyszłość bywaniem wynagrodzi ubliżenie domowi Mimowolich.

Wynagrodzenie nastąpiło zupełne. Każdéj środy, z akuratnością kupiecką i z regularnością zegarkową, stawał Jan w obec romansowego swego sprawdziana i spędziwszy z nim parę godzin, wracał do koszar. Gdyby kto uważał go był z boku, to z łatwością mógłby dostrzedz zmianę, jaka w nim po kilku bytnościach zaszła. Wyglądał jak nieprzyzwyczajony do sekretów człowiek, *któremu niespodzianie* jakąś straszliwie ciekawą udało się połknąć tajemnicę. Bez powodu wpadał w zamyślenie, bez powodu rozweselał się. Coś mu na końcu języka siedziało, coś miał do powiedzenia kolegom przed którymi z niczém zwykle się nie taił, i nic im nie mówił. Jakiś dziwny czepił go się raptem excentryzm. Koledzy, szczególnie Henryk, dopytywali się go:

— Co ci jest?..

— E!.. nic...— zbywał ich.

Zmianę tę sprawiła w nim jedna pół-godzinka, nad którą jako szyld, albo tytuł, możnaby napisać:

— «Było ich dwoje»...

Było ich dwoje, otoczonych szarym wieczorem, zasłoniętych przed światem nie tylko ścianami bawialnego pokoju, nie tylko spuszczonemi firankami, ale i zamkniętemi na klucz drzwiami. Jedynym żywym świadkiem był

kwiatek gieranium, który wychylił się z za firanki na pokój, ronił woń i patrzał w milczeniu.

Po jakiejś snadź żywéj było rozmowie. Ona szybko chodziła po pokoju. On siedział na kanapie. Na twarzy jéj malowało się roztargnienie, a oko mocno błyszczało. Twarz jego taką studencko-zaambarasowaną miała minę, że aż litość brała. Usłyszał zapewne coś ciekawie-niespodziewanego i nie wiedział co z tém robić. Chciał więc studenckim z ambarasu wycofać się sposobem: zabierał się do odejścia.

— Pójdę...— bąknął.— Dobra-noc pani...

— Nie idź!..— odparła pani krótko i rozkazująco.

Nie poszedł.

Ona przeszła się jeszcze parę razy w milczeniu i usiadła raptem przy fortepianie. Zamąciła klawisze palcami. Z pod palców jéj popłynęła rzewna, tęskna, przeciągła nuta pieśni:

— «Wijut witry, wijut bujni, aż derewia hnut'sia,
Och! jak bołyt' serce mene, a sliozy ne liut'sia.»

Pod brzmieniem téj nóty ogarnęła Jana jakaś melancholia. Spuścił głowę i milczał. Umysł jego począł kołysać się na marzeniach, które nie z serca, nie z głowy, lecz z rozłaskotanej krwi jak para się podnosiły. Raptem muzyka urwała się i w tejże chwili głowa naszego bohatera znalazła się w miękkiem ciśnieniu ciepłych kobiecych dłoni, a na czoło spadł mu gorący, długi pocałunek. Jan siedział. Pani Mimowoli stała przed nim, pochylona ustami ku czołu i oparta dłoniami o skronie jego. Chciał powstać, lecz ona przytrzymała go mówiąc poszeptem:

— Nie wszystkom ci jeszcze opowiedziała ze smutnéj

historyi mego życia...— mówiła ona po cichu.— Wydano mnie w końcu za Karola, którego ledwo znałam, którego nie kochałam... Wydano mnie, guwernantkę za guwernera, jak kucharkę za kucharza, dojarkę za stróża piecowego, aby mieć usługę z męża i żony... Karol mnie nie kochał i nie kocha... Ot, wziął i trzyma, bo mu potrzeba żony do rachuby, bo nie może zamienić mnie na inną... Jestem doskonałą żoną, on wybornym mężem... Żyjemy zgodnie, bośmy oboje wyrozumiali na guwernerską przyzwoitość, która każe nam udawać przykładność małżeńskiego pożycia... Nie kochałam nikogo... Przeczuwałam tę rozkosz miłości, która dla was mężczyzn jest rozrywką, dla nas kobiet potrzebą; ale tylko przeczuwałam, aż do tej oto chwili... A teraz... choćbym pokochała... to któżby mnie nie odepchnął, mnie starej, zwiędłej kobiety!..

Janowi wisiało już na języku wyperswadować jéj, że ona nie jest starą i zwiędłą, ale tylko dojrzałą.

Po chwili nastąpiła scena ultra-romansowa, bo skropiona łzami i ozdobiona klęczeniem. Pani Mimowoli siedziała na kanapie i płakała. Jan klęczał przed nią i całował ją z uniesieniem w rękę.

— Ja, kobieta... słaba...— mówiła pani, przerywając sobie łkaniem.—Chwila słabości... jedna, krótka chwila...

— Bo to widzisz, mój Jasiu... Wy mężczyzni igrać lubicie z honorem kobiety, jak dzieci z cackiem... Bawicie się nim, kruszycie, depczecie nogami, i w dodatku, wydajecie światu na pośmiewisko...

Chciał Jan coś odpowiedzieć, usprawiedliwiać się, przysięgać, gdy w tém pani raptem ku drzwiom skoczyła, i równocześnie z przyciskiem szepnęła:

— Karol!.. Wstań!.. Na stole woda!.. Napij się!..

Skręciła we drzwiach kluczem i w chwilę potem wszedł pan Mimowoli.

— Dla czegoż to tak pozamykano i po ciemku?.. —zapytał.

— Grałam, życie moje... i... bałam się, aby nie przylazł ten nudziarz Basemburski, który ma zwyczaj mnie ambetować......—odpowiedziała żona.

Mąż zmarszczył się i błagalnym głosem zawołał:

— Prosiłem cię tyle razy, żebyś się wystrzegała ekiwoków.

— Daj-że mi czysty pokój z twojemi ekiwokami!... —przerwała pani z niecierpliwością.—Ust otworzyć nie można, abyś jakiegoś ekiwoka nie usłyszał... Bylebym nie była żoną *équivoque!..*

— Jeszcze co!..—odrzekł mąż.—Nie gniewaj-że się, moja Loli... Gdybyś wiedziała, co ci się w tej chwili z ust wyrwało, to byś się okropnie zawstydziła, i przyznałabyś mi zupełną racyę...

— Cóż, przecie?..—zagabnęła.

Pan Mimowoli zniżył głos i coś żonie do ucha powiedział.

— Prawda!...—zawołała, niby przekonana i strwożona.

— A widzisz...—rzekł mąż tryumfującym tonem.—

Jan tymczasem napił się wody i ochłonął. Witał się z panem Mimowolim, a chociaż nie pozbył się od razu zaambarasowania, w jaki go widok męża Loli wprawił, jednakże, przy pomocy zmroku wieczornego, potrafił jakoś dość raźnie odpowiadać na zapytania:

— Jak się masz?... Co porabiasz?.. Co tam u was słychać?... No i cóż... żałujesz bywania u nas?.. zapytał go pan Mimowoli znienacka.

— O, nie!..— odparł Jan.

W dobrém przynajmniéj towarzystwie spędzić możesz chwil kilka i okrzesać się nieco z tego prostactwa, z jakiem z Hrynenek przyjechałeś... Jesteś już w tym wieku, że można ci powiedzieć, że papa twój zupełnie zaniedbał, pierwotne twoje wychowanie... Nic w tém nie ma dziwnego... Rosłeś bez matki, wśród chłopów... Teraz jesteś już nie do poznania... Ale, co też-to było w początkach!.. Jeżeli jest nadzieja, że będziesz przyzwoitym człowiekiem, to tém ja i moja żona możemy się pochlubić...

Ukorzyły Jana te pochwały, na których dobrze wyszli wszyscy, wyjąwszy jego ojca.

Dziwne jakieś wrażenie sprawiło na nim patrzenie się Mimowolemu w oczy. Jeszczeż zmrokiem było jako tako; ale gdy przyniesiono światło, stało się mu jako złodziejowi, co to umiał ukraść, ale nie umiał schować. Widok pana *męża był mu nieznośnym.*

Widok pani żony dodawał bohaterowi naszemu nieco otuchy, bo ona tak była spokojną, tak bez wszelkich śladów łez i wzruszenia, tak pogodnie na niego i męża patrzała, jakby w jéj sumieniu panował święty a najczystszy spokój. Jan, dla którego życie ludzkie, szczególnie ze strony płci pięknéj, było jeszcze pod bardzo wielu względami tajemniczém, nie wiedział co to jest: czy zręczne udanie, czy istotny spokój czystego serca?

To «nie wiedział» stanęło w jego myśli, jako zagadka, którą potrzebował rozwiązać sobie. Dla rozwiązania jéj przeto najprzód ujść pośpieszył co najrychléj z oczu pana Mimowolego, a potém zachodził do jego domu co środy, pod pozorem krzesania się w dobrém towarzystwie.

Zagadki jednakże nie rozwiązał pod względem tego, co się pani tyczyło. Rozwiązał ją praktycznie na sobie:

bo z czasem, powoli, tak się ze wzrokiem pana Mimowolego oswoił, że znosił go najspokojniej w świecie. Witał się z nim, żegnał, spotykał się, rozmawiał, ściskał go za rękę, począł nawet czuć do niego jakiś szczególniejszy gatunek przyjaźni, do tego stopnia rozczulając pana Mimowolego, że mawiał:

— Trudziłem się wychowaniem dwóch Jeżów, Tomasza i Jana, prawda że nie rodzonych, ale co też to za różnica pomiędzy nimi!.. Jakby nie jednego byli rodu... Tomasz, to et sobie!. Jan, to mi dopiero człowiek!.. Umie po ludzku ludziom się odwdzięczać... Umie płacić nie samą tylko gotówką, ale i tą serdecznością, więcéj wartą nad wszelką mamonę...

W istocie, ten pan Mimowoli niezły sobie był człowiek. Muszę mu tę sprawiedliwość oddać, pomimo że nie bardzo mnie chwalił. O pieniądzach zawsze źle mówił, i dla tego zapewne wskazywał je na ciężkie więzienie w mocno okutéj szkatułce, z któréj wydobywał je nie inaczéj, jak w stanie sumki okrągłéj, i lokował u żydów na pewny procent. O przyjaźni zaś mówił zawsze dobrze. A jeżeli przypadkiem, w jego obecności, potrąconą była kwestya miłości, to odwoływał się do żony. Co się zaś tyczy kwestyi rogów, w jakie niekiedy miłość małżonek małżonków ubiera, to ta była mu zupełnie nieznaną, bo tak się o niéj odzywał:

— Trzeba być chyba okrótnie głupim mężem, żeby się na rogi narazić... Według mnie, najkrótszą i najprostszą do nich drogą jest zaufanie *équivoque* męża względem żony...

Ufał też żonie nieograniczenie i niedwójznacznie.

Ufał i młodemu przyjacielowi.

Dowodów zaufania do pierwszej nie mam, zdaje się,

potrzeby przytaczać. Dowodem zaś zaufania do drugiego największym było to: że jeżeli Jan przyszedł we środę tak wcześnie, że zastał jeszcze pana Mimowolego w domu, to on mu powierzał strzelbę i polecał strzelać wrony na dachu. Z polecenia tego wywięzywał się bohater nasz tak doskonale, że więcej wron położył trupem przez kilka tygodni, jak pan Mimowoli przez kilka lat. Pozyskał więc u tego ostatniego, obok opinii znakomitego strzelca, wdzięczność za ochronę wędzonki od skrzydlatych złodziei, i z tego powodu był gościem wielce pożądanym, mile witanym i czule żegnanym.

Przyszła wiosna. Wiosną pocieplało, ogrody zazieleniały, bzy rozkwitły. Ogrody i bzy wywierają na romanse wpływ szczególny a potężny, o czém wie każdy, jeżeli nie z własnego doswiadczenia, to z podań, opowiadań i książek. Nad tém więc rozpisywać się nie będę, ani też nad latem, jesienią i zimą. Każda pora roku ma swoje przyjemności i z każdéj można swego rodzaju użytek wyciągnąć i zastosować go do rozmaitych rzeczy, a zatém i do romansów.

Janowi szło jak z płatka — dobrze, gładko i składnie. Ani się na taką, ani takiéj podobną jak Byrona Don-Juan z donną Juliją i don Alfonsem naraził awanturę. Loli miała, zdaje się, więcéj od donny Julii doświadczenia, a może więcéj sprytu i czujniejsze ucho. Nie potrzebowała żadnéj Antonii do stawiania jéj na warcie. Bez wart, bez subretek i powiernic, wystarczała najzupełniéj sama sobie, uprzedzała wszystko i zapobiegła wszystkiemu, cokolwiek jako kompromitacya spaść na nią mogło.

Lecz brakowało jéj jednéj, bardzo ważnéj rzeczy. Nie miała tego taktu metres francuzkich, co to do dna

zgłębić umieją charakter i sposób myślenia kochanka, nastroją się do niego jak instrument do wtóru.

Loli, w pierwszéj zaraz chwili, całą winę zwaliła na Jana. Na pierwszą chwilę było to dobrze, bo Jan gotów był wówczas na swoje barki przyjąć winy świata całego. Lecz po przeminięciu miodowego miesiąca, sposób ten był już na nic i naciągany, musiał się w końcu urwać. A zastąpić go nie było czém, bo w sercu i głowie Loli, pomimo całego jéj sprytu do grzeszenia i maskowania się, nie było, jak wiemy, skarbów wiecznie świeżych i nigdy nie wyczerpanych. Była ona podobną do pozytywki, co wygrawszy wszystkie sztuczki, nabite mosiężnemi ćwieczkami na drewnianym walcu, i nie mogąc z siebie wydobyć nowych, powtarza się i w ostatku nudzi.

Gdyby nie to, gdyby Loli posiadała takt kobiet tak zwanego pół-świata (*demi-monde*), a przytém bogate serce i zamożny rozum, to Jan byłby może na wieki wieków zgubionym. Przywiązałby się do kobiety, co pierwsza wprowadziła go w nieznane światy.

Przywiązałby się on do niéj i w takim jeszcze razie, gdyby sam nie przewyższał jéj sercem i głową, gdyby w swojéj sferze miał przekonanie tak nastrojone, jak Gromkiewicza lub Stanisława, Loli wystarczyłaby dla niego. Utraciwszy jednę albo zerwawszy z nią, znalazłby sobie drugą, trzecią, dziesiątą. A powtarzając w jéj imieniu zwrotkę pieśni Gustawa, zakończoną—«Ale twoją być nie mogę»,—zachowałby dla niéj wieczną, nakształt studenckiéj dla ulubionego professora, wdzięczność. A sama ta wdzięczność byłaby fatalną, bo trzymałaby go w zaczarowaném kole, w którém same poziome pełzają istoty.

Strasznie niebezpiecznym dla młodzieńca jest pierwszy łyk z ambrozyjnego puhara rozkoszy. Musi on go

raz łyknąć. Na zapobieżenie temu nie ma rady. I jedynym ratunkiem jest stopień i rodzaj przekonania, jakiém go uprzednio zdołano natchnąć, lub jakie sam sobie urobił. Jeżeli przekonanie jest nijakiém lub słabém, klejonką z bojaźliwych zasad, z wyobrażeń o pół-cnotach i z pseudo-poczuć poświęcenia, to — po nim!.. Popluska się może jeszcze na głębokiém błocie, jak niezręczny pływak, zachłyśnie się, naleje się mu w uszy, da nurka, ale nie jak nurek, po to aby gdzieś daléj wypłynął, lecz jak topielec — utopi się w błocie. Jeżeli zaś przekonanie jest silném i skierowaném ku szlachetnym, podniosłym celom, jeżeli opiera się na śmiałych zasadach, na istotnej cnocie, na prawdziwém poświęceniu, to—chociaż pływak obryzga się w kałuży, ale koniec końcem wypłynie i oschnie, i — ku czemu miał dążyć podąży, co miał zrobić zrobi. Nie jest jeszcze młodzieniec zgubionym, póki trzyma się nitki *Ariadny, mającéj wyprowadzić go z ogromnie w naszych* czasach zagmatwanego labiryntu rozmaitych wyobrażeń o złem i dobrem, o brzydkiem i pięknem. Rozpędziwszy się po drodze istotnéj cnoty, chociaż nieco zboczy, nie zrobi on jednakże na lewo w tył, nie pójdzie wstecz, póki mu przyświeca gwiazda przewodnia silnego, śmiałego i szlachetnego przekonania. Nie złamie go żadna Loli. Nie zaspokoi go żadna. Bo każda jest tylko pozytywką. Nakręcona, gra, gra, aż póki się nie wygra, i wyexpensowawszy wszystkie tony, nie zostanie— politurowaném, z maszyneryą wewnątrz pudłem.

Maszyneryą naszéj Loli Mimowolowéj było to co pospolicie nazywają: edukacyą,— a co jest w istocie tylko opoliturowaniem. Pseudo-edukacya ta była świetnie skończoną. Loli pasiadała wszystko, czego najwybredniejszy gust od kobiety wymagać może. Grała, śpiewała, tańczy-

ła, rysowała, mówiła biegle kilku językami, znała kilka literatur, żadna prawie z nauk nie była jéj zupełnie obcą, umiała dużo kobiecych robotek, prowadziła dobrze gospodarstwo domowe, była rządną, nie była pedantką, była przykładnie nabożną — słowem, pod względem formy nic jéj nie brakło. Pod względem zaś treści — i tu jeszcze niejeden znalazłby dostatek, bo Loli zapatrywała się na świat z punktu Gustawów Gromkiewiczów i Stanisławów Jeżów. A jednakże, pomimo wszystkich tych zalet, pomimo całego uroku niepospolitości romansu, Janowi po roku niespełna, z powodu jedynie gustawo-stanisławowskiego zapatrywania się jéj na świat, dojrzała jego kochanka wydała się czémś nakształt ozdobnego wydania głupiéj książki, bogatéj drukiem, papierem, okładkami, ubogiéj myślami, wybornéj dla tego co chce książki mieć, ale nieużytecznéj dla tego co chce je czytać:

Z razu obałamuciła go ona, zawróciła mu — jak mówią — głowę. Stało się z nim jak z tym, co wychowany od dzieciństwa w jakimś Sybaris i wygnany z rodzinnego miasta, będąc od razu pozbawionym rozkoszy puchów i przemyśliwając nad tém, czémby je zastąpić, ujrzał raptem, pierwszy raz w życiu, trzodę i błoto, i dowiedział się, co za pyszny *faute de mieux* można z błota zrobić użytek. Legł więc, babrał się, używał trzodnéj rozkoszy, aż się na niéj poznał. To samo trafiło się naszemu Janowi. Poznał się na Loli. A rozważywszy dobrze wszystko co z niéj wyczytał, w rok jakoś po zawiązaniu romansu, w szóstéj klasie, powiedział sobie po swojemu:

— Trzeba być niewiem już czém, żeby dłużéj babrać się w tém błocie...

«Wszystko» to, co on «rozważał», składało się z roz-

maitych rzeczy, pomiędzy któremi najprzód wystąpiło rycerstwo.

Rycerstwo wprowadziło go na drogę gonienia za miłością, poszukiwania «damy myśli.» Cóż się z niém stało?—Oto, skruszyło się od pierwszego pocałowania ust Loli, jak kryształowe naczynie od uderzenia kijem. Bo rycerski rumak, na którym w młodocianych rojeniach toczył nasz bohater, nie w tę stronę go unosił, w którą Loli patrzyła. Dla niej musiał zsiąść z konia i zrobić ofiarę z rojeń. Więc mu żal się za niemi zrobiło. Westchnął tak, jak w późniejszych latach wzdycha się za minioną młodością.

Westchnął...

Lecz natychmiast potém dał sobie następującej treści zapytanie i odpowiedź:

— Czém były moje rojenia?... Powiewną szatą, motylemi barwami, *w które ustroiłem sobie przekonania*...

— Barwy i szaty spaliłem w pocałunkach Loli... Szkoda ich!... Było w nich pięknie i wygodnie...

— Lecz, przekonanie?.. To pozostało nagie... a ja z nim pieszo... I musi już takiém pozostać... odartém z ozdób i wygódek... Poniosę je pieszo... Nie spalę go, chyba na stosie, wraz z życiem...

Z tego taka utworzyła się alternatywa: albo pozostać w wygodnej lolo-gustawo-stanisławowskiéj sferze i zrzec się wyniesionego z Hrynenek przekonania; albo wytrwać w przekonaniu a wyrzec się sfery.

W pierwszym razie co Jana czekało?—Oczewiście Loli *in persona* (wyraźnie pani Mimowoli), jako cudza żona, jako przedmiot dorywczéj miłości, znośny dla szesnastoletniego chłopca, ale nie dla młodego człowieka a następnie dojrzałego męża, musiała prędzéj-poźniéj odpaść,

a na jéj miejsce przyszło by całe życie albo przepoziewać w tak zwaném «zastosowywaniu się do okoliczności», i w gonieniu za opiniją «porządnego człowieka», albo wyexpensować na głupstwa, rozpustę a może i podłości.

W drugim razie cel życia był jasnym, i jak słońce wielkim i wyraźnym. Samo jednakże życie zmieniało się w zagadkę. Tu Jan nie mógł pytać się: gdzie zajdę?.. ale: gdzie ja iść powinien? Występowały wielkie, rozległe i w ogromne spólne jedno zlane rozliczne potrzeby, tyczące się ogółu, którego członkiem, jednostką, jedną z cyfr, był Jan. Osobistość zaś Jana wrastała w ten ogół, gubiła się w nim, i w nim jedynie, z nim, przez niego i dla niego, kochała, spodziewała się, bolała, i szła naprzód—pieszo, głodno, boso—ale zawsze naprzód. W tym pochodzie zagrażało niebezpieczeństwo ze strony donkiszoteryi, od któréj zasłonić się należało... rozumem.

Chodziło przeto ostatecznie o to: z jakim znakiem w summie ogółu postawić cyfrę swojéj osobistości: z ujemnym czy z dodatnim?..

W ten sposób, gdy Jan sobie kwestyę postawił, nie mógł wahać się. W obec własnego sumienia zawstydził się na babraninie w brudach, na goszczeniu w sferze ujemnéj spędzonego roku. A jak ujemność zaczął od pocałowania Loli, tak dodatność zaczął od zrzeczenia się jéj.

— Niech ją jasny piorun trzaśnie!..—powiedział sobie raptem.—Noga moja tam już nie postanie!..

Powiedział i dotrzymał.

Nikogo nie pytając, nikogo się nie radząc, bez żadnych pretekstów i przypadków, urwał raptem wizyty u Mimowolich.

Można mu to zaznaczyć jako zasługę. Bo jeżeli za

zasługę poczytuje się uratowanie kogoś od zguby, to nie mniejszą jest uratowanie siebie samego. Lecz jeżeli w nią pilnie wejrzymy, to znaczna część onéj spadnie na Chorążego, który pierś syna opatrzył puklerzem przekonania.

I żadne już preteksta ani przypadki nie były w stanie ściągnąć go pod dach, pod którym skąpał się w gorącém błocie.

Napróżno pan Mimowoli, spotkawszy go, obsypał wymówkami, posądził o niewdzięczność i wzywał o litość nad wędzonką, którą wrony tłumnie napastowały.

Widywał Jan Lolę w kościele, jak niegdyś, zdaleka, ale chociaż — wyznać należy — ciągnęło go do niéj jak pijaka do kieliszka, jednakże nawet jéj skinieniem głowy nie pozdrawiał.

Najważniejszym przypadkiem, a zarazem pretekstem, stała się jéj choroba, która w kilka tygodni po zerwaniu nastąpiła. *Pan Mimowoli* nie czekał już na spotkanie, lecz przybiegł po Jana umyślnie, zgryziony i zadyszany.

— Janie!.. mój Jasiu!..— mówił—czy to się godzi!.. Moja żona śmiertelnie chora..... Ty nas ani odwiedzisz...

— Nie mogę...— odparł Jan sucho i krótko.

— Ona mnie umyślnie po ciebie przysłała...— mówił zdesperowany małżonek.— Chce cię widzieć...— Ona kocha ciebie, jak własnego syna... W malignie nie mówi o nikim, tylko o tobie... Jasiu!... mój Jasiu!.. chodź!..

— Nie mogę...— było znów odpowiedzią.

— Lekarze zwątpili o jéj życiu... Och!..— i łzami nabrzmiały oczy pana Mimowolego.— Zlituj się, Jasiu!..

Jan był nie wzruszony.

Pan Mimowoli dopytywał się o powody, prosił, nalegał, ale na wszystko jedną i tę samą otrzymywał odpowiedź, coraz tylko dobitniej wymawianą:

— Nie mogę...

Postępek ten można sobie wytłómaczyć na niekorzyść Jana. Bo jakkolwiekbądź ktoś powie— wiedział on o powodzie Lolinej choroby. Można więc wziąść mu za złe, że za tyle miłości odpłacił nagłem i zupełnem opuszczeniem. Jak na szesnastoletniego chłopca, to to wyglądało jakby on, w tak młodym wieku, był już w stanie, wzorem ludzi przeżytych, powiedzieć sobie: «będę kochał», i kochać, albo: «nie będę kochał», i nie kochać.

Na usprawiedliwienie jego jednakże należy nie zapominać, że w rozumowaniu, które to opuszczenie poprzedziło, porównał on dwie miłości, niweczące jedna drugą, i spytał siebie:

— Którą wybrać, a którą odepchnąć?..

I wybrał... A że mu rozum doradził wybrać inną, nie tę wygodną, którą reprezentowała Loli, to za to obwiniać go nie można.

On więc kochał... Nie brakło mu uczucia. A tylko w szesnastym już roku życia, uczuciu przypatrywał się przy pochodni rozumu. Ratował je od pokalania.

A niech nikt nie myśli, że to takie odwoływanie się do rozumu zrobiło z naszego Jana sensata, pewien rodzaj *enfant précoce*, zamyślonego jak żydowski chussyt, poważnego jak kleryk, wymagającego jak francuzki *commis voyageur* i ostrożnego jak dewotka. Dzięki hryneńskiemu wychowaniu, przyszło mu ono instynktowym prawie sposobem. Nie myślał nawet długo. Wystarczyło mu półgodzinne zastanowienie, w którém zapatrywanie się na świat i życie przedstawiło się mu pod dwiema postaciami: pod postacią Loli i pod postacią ojca.

Wybór przeto nie był trudnym, a decyzya nie mogła nie być stanowczą.

Warto zanotować samodzielność w decydowaniu się, odmienną jak w sprawie o długi, a bardzo podobną do tej, jaką Jan w sprawie o skarżenie kolegów okazał. W całym tym romansie nikt mu nie powierniczył, nikt o nim nawet nie wiedział. Sam wlazł w błoto i sam wylazł. Dla kolegów zaś pozostał zawsze «dobrym chłopcem.» Dla Hrynenek wesołym i trochę za swawolnym Jasiem.

Po zerwaniu z panią Mimowoli, opanowała go dziwna jakaś, nieopisana czczość. Poznawszy że idzie w świat piechotą, ubogi, krzyżowy rycerz nagiego przekonania, oswoił się z tą myślą, uswoił ją sobie, ukochał, nawet ją nieco upoetyzował, podzielił się nią z kolegami (ci z niej coś nakształt Fidiaszowej zrobili Minerwy), i szedł w przyszłość spokojnie i śmiało. Zawsze jednakże miło by mu było, gdyby obok niego szła jakaś, chociażby żebraczka, w łachmanach w ręku, powrózkiem podpasana. Jeden tylko kładł warunek, a to aby ona zlewała się z nim moralnie tak, «jak dwóch lutni zlewają się głoski, harmonijnem ożenione brzmieniem.» Miło by mu to było — i nic więcej. Oddać się jednakże poszukiwaniu takiej towarzyszki — może dla tego, że żal mu było czasu na poszukiwanie, które zmusiłoby go marudzić w pochodzie — o tem już ani myślał.

E!...— mówił sam do siebie.— Koledzy, przyjaciele... wystarczą... Trzeba żeby wystarczyli, kiedy nie może być inaczéj...

I dodawał z westchnieniem:

— Trzeba stosować się do okoliczności...

Raz mu się wydało, że okoliczności uśmiechnęły się do niego uśmiechem przyjaznego losu.

Był na dokończeniu gimnazyum, na pierwszem półro-

czu, w siódmej klassie. Oddawna Henryk Otocki zapowiedział mu, że zaznajomić go musi ze swoją rodziną, która po raz pierwszy odwiedzić miała Henryka w Niemirowie. Skutkiem zbytecznego oddalenia, utrudzającego u nas podróż niesłychanie, sam tylko jego ojciec zdobywał się niekiedy na przejażdżkę z pod Kijowa do Niemirowa. Ani bracia starsi, z których jeden w Owruckim, drugi w Radomyślskim mieszkał powiecie, ani siostra zamężna, mieszkająca pod Łuckiem ani nawet matka z panną Zofią, drugą siostrą, nie mogli zebrać się przez lat siedm. Nakoniec matka uroczyście mu odwiedziny swoje podczas wakacyj przyrzekła, a gdy on do Niemirowa z Łąk odjechał, przyrzeczenie ustne poparła pisemnem. Henryk, odebrawszy list z poczty i odczytawszy go, natychmiast zawołał Jana:

— Słuchaj... — rzekł. — Oto co mi mama i siostra piszą...

I odczytał mu list matki i przypisek siostry. Ten ostatni szczególnie zaintrygował Jana. Był on krótki i brzmiał, jak następuje:

— «Jaka ja szczęśliwa, mój Henryku, że pojadę do wąs i odetchnę waszém młodém, pełnem nadziei życiem. Liczę niecierpliwie dnie i godziny, i drżę na samą myśl każdej zwłoki, jaka w zachodach około wybrania się w podróż wypaść może. — Do zobaczyska. — Siostra. — Zofija Otocka.»

Charakter pisma był podługowaty i elegancki a nie wykaligrafowany. Litery biegły po papierze, jakby od jednego pociągnięcia piórem rzuconemi były od niechcenia. Żadna ortograficzna omyłka nie szpeciła wyrazów. Znaki pisarskie stały na swoich miejscach.

Jan odczytał powtórnie ten przypisek, przypatrzył się mu, i zapytał:

— Hm!... Czy siostra twoja stara?...

— Starsza odemnie...— odparł Henryk—ale nie stara... Ja mam lat ośmnaście. Zosia dziewiętnaście...

— Dla czegoż, kiedy sama młoda, chce odetchnąć młodém życiem?

— Czyż nie wiesz, że inaczéj żyje się na wsi, ze staremi rodzicami, a inaczéj w gronie rowiesnéj młodzieży!...— odpowiedział Henryk.

— To prawda,.. Ale cóż znaczy ta liczba mnoga: «do was?...»

— Bo ona spodziewa się nietylko mnie samego, ale i kolegów moich zobaczyć...

I dodał z miną znaczącą:

— Ona, Janie, nasza... Ja przed nią nie robię sekretów... *Ona i czuje i rozumie... Przekonasz się sam...*

— Kiedyż jéj nie znam...

— To poznasz... Ona już ciebie zna z moich i z Albina opowiadań, i bardzo życzy sobie zabrać z tobą osobistą, bliższą znajomość...

I dodał śmiejąc się;

—Wie ona i o twoich sztusakach, o bykach, o byczkach, i o walcu na wieczorynce...

Jan zarumienił się na wspomnienie walca.

—Toście mnie ogadali...

—A tak... Do tego ogadaliśmy cię stopnia, że choć Zosi nigdy w życiu nie widziałeś, będziesz z nią od pierwszego spotkania jak z rodzoną siostrą.

Podobały się Janowi te wyrazy «rodzona siostra.« Pomyślał jak to dobrze być musi mieć siostry, te naturalne braci koleżanki, wyrastające z niemi od dzieciństwa

we spólnym postępie wyobraźni i w jednakim rozwoju uczuć. Z góry więc siostrę kolegi i przyjaciela przyjmował za swoją.

Jakoż nie o wiele się omylił. Pierwsze jego spotkanie z panią i panną Otockiemi było jakby powitaniem starych, dawnych i dobrych znajomych.

—Pan Jan Jeż !...— zawołała pani, gdy go jéj syn przedstawił.—Przyjaciel mego syna!.. Znamy się... Chodźże, niech cię po macierzyńsku uściskam...

I pocałowała go w głowę. I już go więcéj panem nie tytułowała.

Panna Zofia nie czekała na ukłon zdaleka. Usłyszawszy nazwisko «Jan Jeż» natychmiast podeszła do naszego bohatera, i z wyrazem serdecznéj w oczach radości podawszy mu rękę, posadziła go obok matki a sama z drugiéj zasiadła strony.

Jan, pomiędzy temi obcemi i pierwszy raz w życiu widzianemi kobietami, znalazł się od razu jak pomiędzy swojemi blizkiemi. Miła i pełna jakiegoś jakby rodzinnego uroku familijność zapanowała w towarzystwie, do którego oprócz pani i panny Otockich, Henryka i Jana, wchodził jeszcze i Albin Skrybicki, który, wiedząc o przyjeździe pani Otockiéj, zjechał się z nią w Niemirowie.

Za salon temu towarzystwu służyła paradna izba w żydowskiém domowstwie, za posiłek podróżne zapasy, za rozrywkę — pogadanka. Ta ostatnia hojnie wynagradzała wszelkie niedostatki, jakie czuć się dawały w salonie i posiłkach. Uplatała się ona, jak girlanda, przetykana kwiatami uczuć i bukietami myśli, szczególniéj ilekroć spadła na przedmiot jaki ulubiony. Nie można jéj było wyczerpać. Rozmaita—stosownie jak o stronę sławy, wielkości, nadziei, lub boleści potrąciła—zachwycająca, nie-

przegadana, pożerała czas który z niepostrzeżoną szybkością mknął przez pory dnia. Jakby minutowéj były wielkości, południe, wieczór i noc, zmieniały się i upływały, że ani ich znać było.

Przedmioty rozmów nie były dla Jana nowemi. Tyle razy rozważał je z ojcem i kolegami, tyle razy mówił o nich z ciotką i Hrynenczanami. Lecz zupełnie nową była dla niego atmosfera, natchniona, że tak się wyrażę, obecnością kobiéty młodéj, harmoniującéj z jego młodzieńczemi wyobrażeniami. Co którą stronę potrącił, to ona natychmiast zgodnym w pannie Zofii oddźwiękła wtórem. Co którą stronę panna Zofia potrąciła, to jakby na jego własném zagrała sercu.

Dodać potrzeba że była to bardzo ładna kobieta. Nie piękność klassyczna, godna figurować na płótnie malarskiém, ale mogąca ujść za bardzo piękną nawet na płótnie, gdyby malarz rysy jéj twarzy zdołał ożywić tym rodzajem życia, jakie z jéj modrych oczów, z jéj gładkiego, jasnego czoła, z całego nakoniec wyrazu jéj twarzy i postaci tryskało. Jasna blondynka, nieco bladawa, lekkim jak cień okraszona rumieńcem, oznaczona gdzieniegdzie na skroniach i szyi drobniutkim śladem sinawych żytek, przebijających się przez delikatną powłokę epidermy, wydawała się przezroczystą i jakąś taką lekką i powiewną, jakby była duchem w dziewicze ubranym ciało. W rozmowie zapalała się, żyłki mocniéj błękitniały, rumieniec wyraźnięj występywał, oczy nabiegały ogniem, ale w takim tylko razie, kiedy treścią rozmowy stawał się interesujący ją przedmiot. Wówczas tak silnie ożywiała się i piękniała, że oczom słuchających i patrzących jawiła się jak geniusz, jak upostaciowanie, żywe przedmiotu rozmowy wcielenie. I tyle tylko o jéj postaci można powiedzieć. Wdawszy się bowiem w iéj opis, powtórzyć by

należało miliony razy powtarzane zwyczajności: o małych nóżkach, zgrabnych, delikatnych rączkach, wiotkiej kibici, alabastrowym gorsie, kształtnej główce, wyciętych niby z różanego listka ustach, o perłach zębów, o dużém i o pogodném oku, o obfitych warkoczach, etc. etc. O stroju zaś jéj tylko wyrazić należy, że zdawało się, jakoby on jéj nie obchodził wcale, i nie ją ozdabiał, ale od niéj szczególnego jakiegoś wdzięku nabierał.

Wymyślcie, jaką powinnaby być najodpowiedniejsza takiéj pannie Zofii matka — a będziecie mieli obraz pani Otockiéj. Poważna, pełna przyzwoitego taktu, łagodna, dla obcych uprzejma, względem swoich niewymagająca, pojmująca obowiązki i stanowisko kobiety w społeczeństwie, była ona istnym typem prawdziwéj polskiéj matki. Poznać to się dawało po niéj od jednego oka rzutu. Poznać to można było lepiéj jeszcze po szacunku, jakim otaczały ją dzieci.

Naszemu Janowi, w towarzystwie tych dwóch kobiet, było jakoś tak dobrze, duszy jego zrobiło się jakoś przestronnie i wygodnie. A nie powstała w nim żadna myśl romansowa, ani w dawniejszéj przedwieczorynkowéj, rycerskiéj postaci, ani w poźniejszéj, naznaczonéj Lolą, ani nawet w ostatniéj przeobrażonéj. Panna Zofia niby jedném skinieniem paluszka, jedném spójrzeniem, wytrąciła go z téj sfery. On zachwycił się, lecz nie nią, ale tém co ona spólnie z nim kochała. Ona, z całą swoją pięknością, gdzieś jakby nikła, a tyle tylko po niéj pozostawało, że robiła wrażenie pieśni, zagrzewającéj do odwagi, muzyki, popychającéj na drogę pięknych i sławnych czynów. Gdy pożegnał się z nią Jan pierwszego wieczora, zamilkł, wpadł w jakiś rodzaj rozmarzenia, i z roztargnieniem odpowiadał odprowadzającemu go Albinowi:

— A co, Jasiu, jakże ci się panna Zofija podobała?...

— Dosyć.

— Tęga... nie prawdaż?.. i nie brzydka?..

— Nie brzydka...

— Muszę przyznać się przed tobą...

— No?..

— Żem się w niej strasznie zakochał...

— To dobrze...

— I staram się o nią!..

Jan nic na to nie odpowiedział.

— Jeżeli mi się uda... A!.. to będę miał żonkę taką, że, ha!.. Bo to, panie, niczego jéj zdaje się nie braknie... He!.. Cóż ty myślisz?..

— Niczego...— odparł Jan machinalnie, i powiedział Albinowi dobranoc.

Przez dwa jeszcze dni pani i panna Otockie bawiły w Niemirowie. Przez cały ten czas Jan był u nich codziennym i prawie całodziennym gościem. Zbieg kilku przypadających w tym czasie świąt, do których pani Otocka swój przyjazd zastosowała, uwalniając uczniów od klass, dozwolił mu używać swobodnie miłego towarzystwa, którém nie tylko cieszył się w teraźniejszéj chwili, ale zapewnił je sobie na przyszłość. W wigilię wyjazdu, pani Otocka powiedziała:

— Mieszkamy o małe trzy milki od Kijowa... Gdy będziesz w uniwersytecie, to pamiętaj, że z góry zapraszam cię do Łąk, na wszystkie święta, na które nie będziesz mógł do Hrynenek pojechać...

Jan podziękował, w szczeréj intencyi korzystania z jéj zaprosin, powtórzonych w chwilę odjazdu przez pannę Zofiję, z takim na pożegnaniu dodatkiem:

— A zamawiam sobie do pierwszego zdybania, w takiém miejscu gdzie będą tańczyć, najpierwszego z panem Janem walca...

— Może pani źle na tém wyjść...— odparł Jan wesoło.— Ja podobno przydatniejszym będę do innego rodzaju tańców... A tam się z panią z pewnością nie spotkam...

— Kto wie...— odpowiedziała panna już z powozu.

I coś jeszcze mówiła, ale już słychać jéj nie było. Powóz ruszył. Więc wychyliła głowę, kiwnęła raz ostatni pozostającym Henrykowi i Janowi na pożegnanie, i znikła.

Za powozem pani Otockiéj potoczyła się wkrótce kryta, na ressorach, z latarniami, najdyczanka Albina, unoszona przez dzielną piątkę szpakowatych koni w krakowskich chomątach.

Janowi, gdy spoglądał za powozem i najdyczanką, przypomniało się dopiero, że Albin stara o pannę Zofiję. Więc pomyślał sobie:

— Toć na taką pannę Zofiję trzeba dobrze zasłużyć... Trzeba odbyć cały nowicyat i wszystkie wytrzymać próby... Do niéj nie godzi się z gołemi przystępować rękami... Jéj nie można lada obiecanką zbywać:

»Gdybyś ty była moją, wszystkie bym ci skarby
Powietrza, wody, ziemi podesłał pod nogi.«

— O czém myślisz?...— zagadnął go Henryk.

— O twojéj siostrze...— odparł Jan.

— Cóż... czyż nie nasza?...

Jan kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Po odjeździe pani Otockiéj, do końca szkolnego roku, który był dla Jana ostatnim w gimnazyum, nie zaszło nic takiego, coby na moralny kierunek naszego bohatera wpływ szczególny wywarło. Na Boże Narodzenie

napolował się w domu, a po Wielkiejnocy wziął się do przysposobienia do egzaminu, który tym razem miał być niby rachunkiem sumienia z całych siedmiu lat. Pomimo, że Jan zaniedbywał się w naukach— w piątej np. klassie, z powodu dystrakcyi jaką Loli mu sprawiła, prawie wcale się nie uczył— jak przysiadł jednakże fałdów, zdał egzamina jak najświetniej, i na zakończenie gimnazyum otrzymał wszystkie nadgrody, jakie najlepszym uczniom były do rozdania i które uwalniały ich od zdawania wstępnego w uniwersytecie egzaminu. Wakacye więc miał zupełnie swobodne.

W Hrynenkach był on zawsze jednakim, pomimo, że w stosunkach jego z gromadą zaszły niektóre odmiany. Naprzykład: nie wszyscy już wołali na niego *Jasiu*. Przywilej ten zachowali tylko starsi i poważniejsi gospodarze i baby. Młodsi poczęli tytułować go *paniczem*. Nikt ich do tego nie nakłaniał. Wzięło się to samo jakoś, jako— zapewne— wynik uznania moralnej Jana wyższości. Żadnej szczególnie dziewczyny za nic w świecie nie namówiłbyś, aby go prosto »Jasiem« bez dodatku «panicz« nazwała. *Panycz Jasio* był u nich często na języku; ale nawet, gdy same pomiędzy sobą o nim mówiły, to nie śmiały imienia jego wymawiać bez: *panycz*.

A mówiły o nim często, bo też on dawał się im we znaki. Gdy bowiem przyjeżdżał do Hrynenek, to trzymał z parobkami, którzy jak wiadomo, na to parobkują, aby myśléć i obmyślać jakiegoby tu dziewkom figla spłatać?... Jan im w zbytkach przewodniczył, a tak dobrze, że niektórym z nich zdawało się, że on tego tylko w Niemirowie się uczy. Ile bowiem razy przyjechał, zawsze coś nowego zmalował— coś nowego

a takiego, że parobcy aż gęby z podziwu rozdziawiali, aż na ziemię od śmiechu się kładli.

Dziewkom niekoniecznie zbytki przykrość sprawiają. One ich się wprawdzie lękają, ale pomimo to lubią i z wielką wspominają o nich przyjemnością, i dobrze trzymają o parobku, umiejącym coraz nowe a niespodziewane wymyślać. Taki parobek uchodzi za mołojca. Taki umie i powierzchownością od innych się odróżniać. Nosi zwykle czapkę na bakier, supiłka mu wygląda z kieszeni, chodzi jak ten indyk i jest bardzo w siebie zaufanym. Takich było kilku w Hrynenkach. Rej pomiędzy nimi wodził Kondrat Bezprozwyśka. Sława ich była wielka.

Sława ta była wielką, ale tylko w czasie nieobecności Jana. Gdy on przyjechał, bladła. Parobcy jednakże nie zazdrościli mu tego, bo on im w drodze nie stawał. Nie podchodził im dziewek, nie używał na bezcześć paniczowskiego swego w gromadzie stanowiska. Ot zwyczajnie, pofiglował i odjechał. I nikt mu tego za złe nie brał. I owszem: mołojce dopomagali mu o ile mogli, bo wiedzieli, że on po pracy przyjeżdża odpocząć i zabawić się pomiędzy nimi. Mylili się oni nieco pod względem pracy, ale nie ich w tém wina. Im się zdawało, że Jan w tym tam Niemirowie odrabia istną książkową pańszczyznę. Toż serdecznie się cieszyli, gdy był wesół, lub gdy coś nowego wypłatał.

Co też to było śmiechu i chichotu, gdy Jan, na wieczornicy u Kociuby, Hapce Zakoleśnikownej jéj przyszłego pokazał.

Zgadało się o nocy Świętego Andrzeja. Jakiś parobek odezwał się, że to nieprawda, aby dziewka mo-

gła w źwierciedle ujrzeć swego przyszłego. Dziewki utrzymywały, że prawda. Parobek trzymał się przy swojém, dziewki przy swojém. Parobek mówił, że nie można, dziewki, że można; ale dodawały, że do tego potrzeba wielkiego źwierciadła, świec z kociego łoju, kadzidła z nietoperzowego oka, i oprócz tego, jakiegoś zaklęcia, które nie każdemu jest wiadomém, a chociażby było i wiadomém, to nie każdy wymówić je potrafi, bo jakby tylko pierwsze powiedział słowo, to by mu język skamieniał i wszystkie zęby powypadały. Spór był długi i trudny do rozstrzygnięcia. Chybaby czekać aż do Śgo Andrzeja, a tymczasem przysposobić źwierciadło, świece i kadzidło, nauczyć się zaklęcia i zabezpieczyć język od skamienienia, a zęby od powypadania. Ale któż-by to tém się zajął!... Bez tego zaś prawda pozostawała po stronie parobka, i stawało na tém, że przyszłego w zwierciedle nie *można* oglądać.

— Ot-że można!..— odezwał się Jan, który długo milczał.— Na to nie potrzeba nawet nocy Śgo Andrzeja...

Dziewki wszystkie w śmiech i jedna po drugiej poczęły odcinać:

— Co to, to nie!..

— A toż, jak być może!..

— Ale!...

Jedna szepnęła półgłośno.

— Tego to już pewno ani nawet w Niemirowie nauczyć nie potrafią!...

Jan mrugnął na parobków. Oni zrozumieli, że coś to będzie.

— Ot-że można!..— odezwał się powtórnie.— Przyniosę zwierciadło i świece, i jutro pokażę...

I zapytał:

— No..... któraż chce swego przyszłego widzieć?...

Dziewkom odpadła na raz do śmiechu ochota. Póki szło o słowa, to jeszcze. Ale jak poszło »jutro pokażę,« to pokazało się, że to nie żarty. Spoglądały więc jedna na drugą i milczały.

— No... która?..— dopytywał się Jan.

Pomiędzy dziewkami jakby makiem zasiał.

— Hej! dziewki!..— zawołał jeden z parobków, podobno sam Kondrat Bezprozwyśka— cóż to!.. czyż żadna się nie odezwie?..

— Jak-że to będzie?..— bąknęła jedna nie śmiało.

— Jak?..— odrzekł Jan.— A... o... Przyniosę zwierciadło... Postawię je tu, w świetlicy... Ta, co zechce widzieć swego przyszłego, zasiądzie przed zwierciadłem... Ja zaklnę... I przyszły przez góry, lasy i wody, przybiegnie do zwierciadła i pokaże się...

Strach i ciekawość zarazem dziewkom do serc zajrzały i poczęły walczyć ze sobą.

Jedna z nich zapytała:

— Ta jakże?... ta taki tu?...' w świetlicy przy ludziach?...

— Tu, w świetlicy, przy ludziach...— odpowiedział Jan stanowczo i wyraźnie.

Odpowiedź ta była wielce zachęcającą. Pomimo to jednakże dziewczęta się wahały, i zarzucały pytania, jak te wędki na ryby, ażeby się ino dowiedzieć jak to będzie?... Ale, gdy się o niczem nie dowiedziały, to przecie żadna się nie odważyła, tylko jedna Hapka Zakoleśnikówna, która— zdawało się— najmniej powinnaby być ciekawą, bo ona była bednarzówną, mogła sobie wybrać

którego chciała parobka, i kilku już swatów odprawiła z niczém.

— A patrzcie-no!..— szepnęli pomiędzy sobą parobcy.— Hapka spodziewa się przyszłego z za świata.... W Hrynenkach go snadź dla niej nie ma...

Złe języki zaraz Hapkę posądziły o ukryte jakieś a wysoko strzelające widoki. A to dla tego zapewne, że była ona ładna, bogata i bardzo harda dziewczyna. Nieraz można ją było usłyszeć, jak zalecającemu się do niéj parobkowi wręcz odpaliła znaną piosenką:

—»Pidy procz, ne marocz, ja ne twoja riwna;
Oj ty tkacz, nytku tkaj, a ja bondariwna.«

Tak to, panie! na pociechę arystokracyi wyznać potrzeba, że arystokratyczne wyobrażenia wkradły się i do hryneńskiéj gromady. Na pociechę jednakże demokracyi dodać pośpieszam, że Hapka była wyjątkiem od ogólnego prawidła.

Nazajutrz tedy Jan, Hapka i liczniejsze jak zwykle towarzystwo, zeszło się na wieczornicę do Kociubowéj chaty. Nie spał nawet sam stary Kociuba, zdjęty ciekawością, co to z tego będzie?..

Jan przyniósł ze sobą czarne jakieś zawiniątko. Rozwinął je i wydobył lusterko w czerwonych ramkach, które dziewczętom bardzo dziwném i misterném się wydało, a które po prostu pochodziło ze szkatułki do golenia się. Wydobył jeszcze i dwie zielone świeczki, Lusterko i świeczki ustawił na maselniczce, w kącie przeciwległym obrazom. Okoliczność ta od razu wpadła dziewczętom w oczy, i kazała im wnioskować, że w tém jest coś niedobrego. Hapka nawet nieco się strwożyła, i gdy Jan, postawiwszy przed maselniczką bednie, zawezwał

ją uroczyście, zawahała się na chwilę czy ma iść, czy nie. Lecz ośmielona obecnością tylu ludzi i ogólną zachętą, pokręciła głową i powiedziała:

— Owa!.. No, taj cóż!.. Ot-żeż pójdę!..

Poszła i usiadła na bedni przed zwierciadłem. Jakaś trwoga ją przejęła na widok odbicia własnéj twarzy, wyglądającéj z po za dwóch bladych płomyków, migocących nad zielonemi pręcikami świczek. Bardziéj jeszcze zatrwożyła się, gdy Jan rozpoczął czary. Gdy ubrawszy się od stóp do głowy w długą białą odzież, którą— mówiąc między nami— była mocna koszula panny Ewy z przyfastrygowanym do kołnierza czepkiem, zakreślił koło czarną laską, będącą pieprzowym cybuchem. Hapka chciałaby zerwać się i uciec, lecz czuła już moc czarów; nie mogła podnieść się z bedni. Jan, wygłosiwszy kilka dzikich wyrazów, zapalił po trzykroć len od zielonych świeczek, wymawiając za każdym razem powoli i poważnie: a-bra-ca-da-bra...

Wywiązywał się on tak doskonale ze swego czarnoksięstwa, że patrząc na niego, całe wieczornicowe towarzystwo ogarniętém zostało jakimś dziwnym rodzajem oczekiwania.

Parobcy, pomimo że przeczuwali w tém figla, umilkli, twarze im się przeciągnęły, oczy szeroko otwarły.

Dziewczęta tuliły się jedna do drugiéj, i ciekawie strwożonym wzrokiem spoglądały na czarodziejskie praktyki.

Pomiędzy dziewczętami była tylko jedna, co się nie bała, co błyszczącém ale śmiałém okiem patrzała na młodego czarodzieja, i która byłaby się w jego moc z ochotą oddała. Lecz ta nie chciała wiedzieć o żadnym przyszłym. Była to Jerynka, wnuczka Kociuby.

Jako ostatni akt czarodziejstwa, rozwinął Jan wiel-

ką czarną chustkę, na rogach której bielały trupie głowy, i wymówiwszy nad nią tajemnicze jakieś zaklęcie, nakrył nią Hapkę.

Dziewczyna drżała. Wydało się jéj, że chustka tchnie odorem siarki.

— Nie bój się...— przemówił Jan łagodnie.— Wytrzyj sobie tą zaklętą chustką czoło, oczy, nos, brodę, policzki, usta i uszy... Ta chustka mostem dla twego miłego rozścieli się przez góry, lasy i wody... To już ostatni czar... Po tym pozostanie ci już tylko popatrzéć w oczy twemu przyszłemu, który biegiem przybiegnie, lotem przyleci, choćby z za najdalszego morza, z za najwyższéj góry, z za najgęstszego lasu i stanie przed tobą, Hapko, takim jakim jest: jeżeli stary to stary, jeżeli młody to młody, jeżeli biały to biały, jeżeli czarny to czarny, jeżeli człowiek to jak człowiek, jeżeli latawiec to jak latawiec...

Hapka wycierała się przyciskając konwulsyjnie chustkę do twarzy. Czuła jakąś duszność. Coś, nakształt subtelnego pyłku, sypało się z chustki, i wlatywało jéj w usta i w nos.

Jan tymczasem zrzucił z siebie nocną koszulę i rzekł:

— No... teraz odkryj się i spójrzyj śmiało w zwierciadło...

Hapka odkryła się, spójrzała— wrzasnęła przeraźliwie i porwała się z miejsca.

Równocześnie cała izba grzmotnym huknęła śmiechem.

Hapka poszła ku miejscu, gdzie skupione były dziewczęta.

Parobcy i dziewczęta śmieli się aż do łez. Śmiał się i stary Kociuba.

Pomiędzy parobkami dawały się słyszeć okrzyki:

—*Harabka!...*

— Hapczyn przyszły będzie *Harab* (Arab) z za morza!...

— Ot... doczekała się czarnego!...

Cały ten śmiech ztąd pochodził, że chustka, którą Hapka mocno się wytarła, napojoną była sadzą i oczerniła jej twarz do czarności węgla. Oczy jej tylko i zęby świeciły się jak u murzynki.

Hapka nadąsała się zrazu, potem napłakała. Lecz wyszło jej to na dobre, bo przestała się drożyć i dała ręczniki najpierwszym swatom, którzy się do niej po tych czarach nadarzyli. I wyszła za mąż bardzo dobrze, chociaż nie za największego we wsi mołojca, nie za tego, co najpierwszy do niej swatów posełał, słowem: nie za Kondrata Bezprozwyśka, o którym chodziła pomiędzy ludźmi mowa, że mu żaba piersi dawała. Ta mowa z tego zapewne poszła, że jak Kondrat stanie wieczorem i zagra na supiłce, to gdzie jaka znajdzie się żaba, czy w stawie, czy po bajurach, wszystkie mu na raz odpowiadają.

Może by Hapka i rada była wyjść za Kondrata, ale on był obrażony, i już ani do niej, ani do żadnej nie zalecał się. Radzono mu, żeby brał się do Jerynki, Kociubowej wnuczki, która dziś-jutro mogła już pod wiankiem stanąć. On jednakże nie brał tego na uwagę, i Jerynka ani mu w głowie była.

— Jerynka!...— wołał, gdy mu kto o niej napomknął— Ihi na was!... Ona, prawda, bodaj czy nie najbogatsza w Hrynenkach, ale to cóż z tego?...

Jerynki po prostu bano się, niby rusałki. Coś w niej było takiego, co mówiło: *ne prystupaj do mene* (nie

zbliżaj się do mnie). Mówiono o niej we wsi półgębkiem, aż póki jej imienia jeden zbytek Jana nie sprzągł z Jana imieniem. Wówczas zagadano o niej głośniej, zwyczajnie jak o osobie do jakiegoś wypadku lub awantury wmieszanej. Było to tak:

Chata Kociuby, z kilką jeszcze innemi leżała za stawem, w takiem miejscu, do którego chcąc z właściwej wsi się dostać trzeba było albo przez groblę, albo przez wierzchowiny stawu obchodzić i obchodząc krążyć przeszło dwie wiorsty. Na prost zaś, przez staw, było blisko, staw bowiem przed Kociubowym przysiołkiem (tak zwano zastawową część Hrynenek) był wązkim. Z tego powodu Kociubowego przysiołka mieszkańcy urządzili sobie przewóz w rodzaju promu, zbudowanego na dwóch czółenkach, albo raczej korytach, spojonych pomostem. Promik ten popędzał się i kierował wiosłem. Na nim przewieść się mogło, jeżeli mężczyzn to najwięcej pięciu, jeżeli dziewcząt to najwięcej ośm, nie licząc w to przewoźnika. Przewoźnikiem dla płci nadobnej a młodej bywał zwykle parobek, zasługujący się na jej względy. Dziewczęta zbierały się na brzegu i czekały, i zazwyczaj nigdy długo nie czekały. Znalazła się bowiem zawsze pomiędzy niemi taka, dla której ktoś w samą porę pośpieszył.

Pewnego razu, podczas ostatnich gimnazyalnych Jana wakacyj, kilka dziewcząt powracających z pola nad wieczorem, poznało z daleka Jana na promiku.

— A patrzajcie-no!...— odezwała się jedna.— Ta tam panicz Jasio... Zdaje się jakby chciał przewozić...

— Ba, ta-że taki tak...— odrzekła druga— bo i rękawy zatoczył i buty zrzucił...

— Wieczór dobry, dziewczęta rybczęta!....— ode-

zwał się Jan.— A czego wy spieszycie na brzeg?.. Czy nie pilno wam na tamtą stronę?... Jeżeli pilno, to oto prom, a ja przewoźnik... Zapłaćcie, przewiozę...

Dziewczęta— jak to w ich zwyczaju, odpowiedziały na tę propozycyę zrazu śmiechem. Ale potém, jedna śmielsza tak odpaliła:

— Nam nie tak to pilno..: Poczekamy na takiego przewoźnika, co z nas nic nie weźmie zapłaty...

— Czekajcie...— odparł Jan obojętnie.— Doczekacie się jasnéj gwiazdy, która będzie przyświecać waszéj wędrówce przez groblę, albo przez wierzchowiny... A na grobli topielec wyskoczy z zasadzki... A na wierzchowinach obłęd na topieliska zawlecze... Szkoda was będzie, piękne dziewczątka!...

— Choć szkoda, to nie wasza... Wy płakać nie będziecie, paniczu, kiedy z nas biednych zapłatę ściągacie... Ot, jeżeli chcecie, powiemy wam: dziękuję... Czy to nie dosyć!... Wszak to najpiękniejsza dziewicza zapłata....

I od słowa do słowa, żartując i śmiejąc się, niby to w ciągłym o zapłatę sporze, ulokowały się dziewczęta na promiku, a Jan odbił od brzegu i począł nawigować. Staw w tém miejscu nie był szeroki, ani głęboki. Tylko na środku, gdzie koryto przechodziło i nurt wody silniejszym biegł prądem, głębia przenosiła miarę wysokości człowieka.

Na środku Jan znów się upomniał:

— Zapłaćcie... Bo jeżeli nie zapłacicie to do wody wyrzucę...

Dziewczęta żartami odpowiadały na pogróżki, i to tém śmieléj, że przepłynęły prąd i widziały się już niedaleko brzegu.

— Nie zapłacicie?...— pytał Jan, bardzo niby seryo.

— Podziękujemy...— odpowiedziały dziewczęta.

— Kiedy tak, to topcież się!...— zawołał.

I począł rozkraczać silnie nogi.

Pod naciskiem nóg Jana, przyrządzone zawczasu przez niego umyślnie ku temu koryta wysuły się z pod pomostu. Pomost spadł na wodę i zanurzył się. Dziewczęta narobiły krzyków »uch!... uch!...“ i wraz z Janem spłynęły, a tałapiąc nogami i rękami, dążyły pospiesznie do brzegu. Jan niby szczupak pomiędzy płotkami, uwijał się pomiędzy niemi, i co którą złapał, to z głową w wodę zanurzył. Dziewczęta ratowały się jak mogły, wrzeszczały w niebogłosy, lub śmiały się do rozpuku, stosownie do tego jak której udało się wywinąć z pod Janowéj ręki.

Parę było już na brzegu i stały ociekając wodą; inne były już nie daleko, gdy Jan spostrzegł raptem, że braknie jednéj. Obejrzał się, i ujrzał Jerynkę, pasującą się z prądem. Odwrócić się i rzucić natychmiast po nią, było dziełem jednego mgnienia oka.

Czy dla tego, że pływać nie umiała, czy, że przestraszyła się, bo bez umiejętności pływania obejść się mogła na głębi sięgającéj jéj tylko po ramiona; czyli też że zachłysnęła się od razu i pociemniało jéj w oczach— nie wiadomo dla jakiéj przyczyny, dość, że Jerynka zmieniła kierunek, i zamiast ku brzegowi, zwróciła ku środkowi i dostała się na głęboki prąd. To spływała, to zanurzała się. Umiała wydobyć się z toni, lecz nie umiała utrzymać na powierzchni. W uszy się jéj nalało. Napiła się już ustami, naciągnęła wody nosem. Już traciła przytomność. Już trzeba było

bardzo szybko ją ratować, bo jéj chwile były policzone.

Jan zrozumiał niebezpieczeństwo i odpowiedzialność, jaka na niego spadała. Rzucił się z rozpaczą. Nie znalazł już Jerynki na powierzchni wody. Więc dał nurka i póty nurkował, póki się z nią nie spotkał.

Porwał ją wpół ciała pod lewe ramię, a prawem płynął. Lecz nie zbyt wprawny pływak, musiał całych z siebie wydobywać sił, aby walczyć z nurtem. Podpływał to cofał się, zanurzał to wynurzał. Nie umiejąc pomódz sobie ruchem ciała i nogami, jednéj tylko używał ręki i męczył się. Jerynkę trzymał mocno. Ona ciężyła mu bezwładném ciałem i ciągnęła do dna. Pozostawało mu już puścić ją, a ratować się samemu. Lecz Jan postanowił z nią się razem uratować, lub z nią się utopić.

Po długiém pasowaniu się, udało mu się nareszcie jednym silnym a ostatnim rzutem wydobyć z nurtu i wynieść topielicę na brzeg.

Brzeg był pusty. Strwożone dziewczęta rozbiegły się, z zamiarem wołania o ratunek. A że była to taka pora, w któréj ludzie nie powracali jeszcze z pola od robót, przeto krzyki ich napróżno rozlegały się pomiędzy chałupami.

Jan złożył swój ciężar na murawie, i pomimo takiego znużenia że ledwo dyszał, wziął się natychmiast do ratowania biednéj.

Z konwulsyjną skwapliwością począł Jerynkę potrząsać, podnosić i odcierać. Co chwila przykładał jéj rękę do serca. Przypomniał sobie, że jednym ze środków ratowania utopionych jest wpompowywanie im powietrza przez usta. Więc zatkał jéj usta swojemi, i z całéj si-

ły wdymał w nie powietrze z własnéj piersi. I jak zaczął potrząsać, podnosić, odcierać i nadymać, dziewczyna, po upływie przeszło kwadransa, odetchnęła.

Odetchnął i Jan.

Ona przychodziła do życia. Jemu powracały spokojność i siły.

Odcierał ją jeszcze, lecz nie tak już gwałtownie. I patrzał jéj w oczy tak radośnie i z takim wyrazem wdzięczności, jakby ona największém obdarzyła go dobrodziejstwem. I przemawiał do niéj:

— Jerynko, serce, jakże tobie?..

— O!.. dobrze mi paniczu...— odpowiedziało dziewcze, po kilkakrotnie powtórzoném zapytaniu.

— Paniczu, serce... o!... jak mi dobrze...— odezwała się po chwili bez zapytania.

Jan podniósł ją, dźwignął, wziął na ręce i tuląc do piersi niby małą dziecinę, odniósł do chałupy.

— Jakże mi dobrze!.. szeptała dziewczyna.

IX.

Korzystając z tej wolności, mocą której powieściopisarz ma prawo jednym skokiem przerzucić się z miejsca na miejsce, i nie dziesięć jakie tygodni albo miesięcy, ale dziesięć, piętnaście i więcej lat pokryć milczeniem, korzystając— powiadam— z tej wolności, mógłbym opowiadanie moje przenieść do Kijowa, gdyby mi nie chodziło o rozstanie Jana z ojcem.

Kiedy Jegomość wyprawiał syna do gimnazyum, to go z góry i zdaleka do tego przysposabiał. Kiedy zaś wyprawiał go do uniwersytetu, to przysposobienie zwlókł aż do przedostatniej godziny, do wigilii odjazdu. Dla czego sobie tak postąpił?... Musiała w tem być jakaś przyczyna, bo człowiek taki, jak Chorąży, nic nie robił bez przyczyny; ale jaka mianowicie— nie wiem.

W wigilię odjazdu, po wieczerzy, kiedy panna Ewa na zwykłem swojem miejscu siedziała z pończoszką, Jan zasiadł po drugiej stronie stołu, a Chorąży, założywszy

w tył ręce, chodził powoli po pokoju; ten ostatni zatrzymał się przed synem i zagabnął z nienacka:

— Powiedz mi, mój Jasiu, z jakiém ty przygotowaniem jedziesz do uniwersytetu?..

Zaskoczony tym pytanie, nie wiedział Jan co odpowiedzieć; po krótkim więc namyśle odpowiada:

— Chcę pójść na wydział matematyczny...— jakby dla powiedzenia ojcu, że się szczególnie do matematyki przykładał.

— Nie o to chodzi...— odrzekł Jegomość.— To zależy od twego własnego pociągu do téj lub owéj kategoryi nauk... Pociągiem tym tłómaczy się poniekąd powołanie, którém możesz stać się użytecznym społeczeństwu... Możesz służyć mu, jako prawnik, lekarz, teolog, matematyk, jako filozof i literat, jako żołnierz lub rolnik... *Prawo, medycyna*, teologia, matematyka, filozofia, literatura, szabla i pług w jednéj prawie mierze potrzebnemi są i ważnemi... Ale najważniejszém jest to: czy wiesz ty, że masz służyć społeczeństwu?.. czy z tém przeświadczeniem jedziesz do uniwersytetu?... czyś się o tém przekonał?...

Jan zrozumiał o co chodzi, i już usta do odpowiedzi otwierał; ale Jegomość ciągnął daléj:

— Bo to widzisz, mój Jasiu, dotychczasowa nauka twoja była tylko syllabizowaniem z elementarzy... Teraz dopiero otworzyć się przed tobą mają księgi... Zajrzysz, że tak powiem, wprost w rozumy, i jeżeli zechcesz, uswoisz je sobie... Wiekowych prac owoce, niby w jakim magazynie, ułożą się w twojéj głowie, wejdą do niéj jako dar, który dostał się tobie od pierwszego człowieka i przeszedł, narastając coraz nowemi bogactwy,

przez wszystkie pokolenia, jako twoja własność, podległa twemu dowolnemu rozporządzeniu...

Pamiętaj-że, że z rozumu dwojaki zrobić można użytek: dobry albo zły.

Pamiętaj żeś go nabył; a nie nabył sam, własnemi siłami i środkami, ale ktoś ci nabycie to ułatwił, ktoś ci dopomógł, ktoś ci podał środki, wsparł siły, pokazał drogi, przygotował sposoby... ktoś, jedném słowem, stał się twoim dobroczyńcą, za pomocą którego przyszedłeś do posiadania owego daru-własności...

Tym twoim dobroczyńcą jest społeczność, któréj jesteś członkiem... Ona to, którą już kochasz w rodzoném dziecku względem matki uczuciem, która ciebie swojém tchnieniem ożywia, swojém łonem odziewa i karmi, któréj ty, chociażbyś był jak najuboższy duchem, obowiązany jesteś służyć krwią i życiem, ona wzbogaca cię jeszcze rozumem...

Ta więc twoja własność jest taką samą jak pieniądze pożyczone... Możesz nią rozporządzać wedle własnéj a wolnéj woli, obracać, pomnażać ją, zastosowywać do rozmaitych spekulacyj, pod warunkiem, jeżeli steś uczciwym człowiekiem a nie żadnym oszustem, abyś ją oddał z procentami... Z rozumem nabytym stoisz przeto względem społeczności, jak dłużnik względem wierzyciela... Jeżeli o tém, moje dziecko, nie zapomnisz', to zrobisz z niego z pewnością dobry użytek...

Tu Chorąży przerwał sobie i przeszedł się parę razy w milczeniu, a zatrzymując się na środku pokoju, rzekł niby do Jana, niby głośno do siebie:

— Rozum... hm!.. to także rzecz względna... Nabyty i pozostawiony w głowie, w kształcie surowego materyału, zda się tylko na to, że ludzie powiedzą: uczo-

ny... Nie wiele na co przyda się być tylko *ex libro doctus*... Trzeba umieć zdać przed sobą z rozumu sprawę własnemi siłami... Trzeba przerobić nauki własnem myśleniem, wniknąć w ich ducha, wysnuć z nich zasady... Bez tego można być głęboko uczonym a przytem wielkim bałwanem...

Znów pochodził po pokoju, i znów takim samym odezwał się tonem:

— Nauka nie istnieje, jako coś oderwanego, sama dla siebie i sama przez siebie, ale przez społeczność i dla społeczności... Inaczej istnienie jéj nie miałoby najmniejszéj racyi, nie mogłoby się nawet urobić...

— A pycha nauki— dodał po chwili— to z pych najgorsza, to nabytek, którego ojcem jest zły duch, to istne szaleństwo przodkujące pysze wiary i pysze kasty, będących także nabytkiem tegoż pochodzenia i wprowadzających nienawiść tam gdzie powinna miłość panować, i siejących pełną garścią błędy i przesądy, z któremi spotkasz się w księgach, na katedrze, w kościele, w mieście, wszędzie na każdym kroku i miejscu... I narzekają potem na rozum, wyklinają, a najniesłuszniéj; robią to ci jedynie, co nie zadadzą sobie pracy wejrzéć w jego istotę... Jedni wołają: niech żyje uczucie, precz z rozumem!.. To głupio... Rozum i uczucie tylko w harmonii, tylko jedno z drugiem i jedno przez drugie mają swoją wielką wartość... Bez téj harmonii psu na buty się nie zdadzą...

Jan uśmiechnął się na to ostatnie dosadne wyrażenie. Chorąży spostrzegł uśmiech syna.

— Widzisz, moje dziecko— rzekł— ja nie uczony i nie mam pretensyi wymagać od ciebie, abyś rady moje przyjmował jak nakaz, jak artykuły wiary... Proszę cię

tylko: rozważ to, co ci mówi stary ojciec, ojciec, który kocha ciebie bardzo... który jedną tylko rzecz kocha bardziej jak ciebie...

Głos starca był tak łagodny i czuły, że na dźwięk jego mimowolnie, z głębokiém uszanowaniem, podniósł się Jan.

— Najdroższy mój tatku...— mówił wzruszony.— Wiernym chcę pozostać przekonaniom, któremi mnie napoiłeś... Przymierzałem już je do rozmaitych książkowych i nieksiążkowych opinij i znalazłem je takiemi, że będę mógł z niemi śmiało, z podniesionem czołem, przejść pomiędzy ludźmi...

— Te przekonania— przerwał Chorąży— wszyscy je uznają... Są to proste, zasadnicze prawdy, zrozumiałe dla każdego, co ma pięć zdrowych klepek w głowie... Po prostu przez lenistwo, nie wszyscy zastosowują się do nich... Ludzie są bardziej leniwi, jak źli... Przez lenistwo nie tylko źle robią, ale i źle myślą... Nie jednemu nie chce się fatygować umysłu, tak samo, jak nie chce się wzuć samemu butów lub nalać sobie wody do szklanki... Gdyby w nas rozbudzić ruchliwość umysłu, to znalazłby się materyał cnót i poświęceń, których wielkości światby się zdumiał...

I długo w noc, w brew zwyczajowi Chorążego, który szedł spać najpóźniéj o dziesiątej, toczyła się pomiędzy nim a synem rozmowa. Gdyby kto podsłuchał jéj z boku, a nie widział rozmawiających, nie pomyślałby, że jeden jest starcem nad grobem, a drugi ośmnastoletnim młodzieńcem. Wziąłby ich za rówienników. Zapał ich do prawdziwéj cnoty był zupełnie jednakim. Nazywali ją istotném jéj nazwiskiem, a nie przezwiskami, maskującemi, najprzód lenistwo, o którém zapomniał

Chorąży, a potém inne przywary, takie np. jak podłość, tchórzostwo, egoizm i t. p. o których Jegomość ani wspomniał, dla téj może przyczyny, dla któréj w pewnym kodeksie karnym nie było pomiędzy zbrodniarzami wymienionego ojcobójstwa, ażeby nie dać poznać że można się go dopuścić. Jedna tylko pomiędzy nimi dawała się postrzegać różnica a mianowicie: że zapał Chorążego był niby wódz stary i doświadczony, odważny ale oględny, gdy Jan rwałby się naprzód, niecierpliwy i zuchwały. Słowa pierwszego brzmiały jak rozumne i wytrawne rady, drugiego— jak piękne, szlachetne zamiary. Chorąży nie powstrzymywał syna, ani go zawracał, tylko mu kierunek życiowego jego pochodu prostował.

Panna Ewa nie brała w rozmowie udziału. Robiła pończochę, zażywała tabaczki, słuchała i milczała, spoglądając od czasu do czasu na Jana okiem macierzyńskiéj miłości. Powoli, nieznacznie, poczęły jéj z oczu ciche płynąć łzy. Chorąży ani Jan nie spostrzegli tego. Panna Ewa ucierała łzy ukradkiem i maskowała płacz zażywaniem tabaczki. Aż w końcu, niechcący, głośniéj się zaniosła i przyłożyła chustkę do ócz. To zwróciło uwagę Jana.

— Co cioci?..— zapytał.— Czego ciocia płacze?..

— Nic to, moje dziecko....— odpowiedziała— Ot... przyszła mi na myśl nieboszczka twoja matka...

I poniosła chustkę do ócz.

— Przyszło mi także na myśl... że nie będę niańczyła twoich dzieci... A to przykro... rozstawać się z nadzieją... I zapłakałam... Ale to nic, mój Jasiu... to nic, moje dziecko...

Otarła łzy, uśmiechnęła się i zażyła tabaczki.

Chorąży zamilkł i z założonemi w tył rękami cho-

dził powoli po pokoju. Jan także zamilkł i spuścił głowę. Miejsce żywej rozmowy zajęła nocna cisza. W niej rozlegały się, wtorując sobie wzajemnie: powolne pukanie zegara i powolne stąpanie Chorążego. Było to niejako usymbolizowaniem stosunku, jaki zachodzi pomiędzy kroczeniem czasu i kroczeniem człowieka.

Świeca dopalała się. Migotliwy płomyk uruchomiał rysy portretu, który jakoby żywemi oczami spoglądał to na starca, reprezentującego ostatki pokolenia schodzącego, to na młodzieńca, reprezentującego zaczątki pokolenia wschodzącego, to na kobietę, reprezentującą cichą, świętą niewieścią rezygnacyę. I zdawało się że w oczach tych igrał uśmiech, jakby cieszył je ten obluz warty pomiędzy dwoma pokoleniami, mogącemi jeszcze zdać sobie hasło życia.

Po długiej chwili milczenia, Chorąży znów zabrał głos. Tym razem jednakże na krótko. Mówił tylko o jutrzejszéj podróży syna, o utrzymaniu w Kijowie, o potrzebie oszczędności, o tém nakoniec, że Jan sam będzie rozporządzał pieniędzmi.

— Mógłbyś — powiadał — utrzymać się z dawania lekcyj... Lecz są od ciebie ubożsi, którym odbierałbyś chléb... Dla tego będziesz miał sto dukatów rocznie na utrzymanie i sto rubli na podróż i umundurowanie... To wystarczy ci na zaspokojenie potrzeb, na książki i nawet na skromne przyjemności... Nie skąp, ale nie rozrzucaj, bo marnotrawstwo wszędzie, ale dla nas zwłaszcza nie tylko jest głupiém, ale i podłém...

Nazajutrz nie było już, jak niegdyś, zbiegowiska gromady na pożegnanie panicza. Hrynenczanie oswoili się z oddaleniem jego. Przyszło tylko kilku najpoważniej-

szych gospodarzy, w liczbie których byli, *ex officio* niejako, Kociuba i gumienny. Ten ostatni wziął Jana na stronę, i szepnął mu z powtórzeniem swoją przypowieść o mańkucie, z dodatkiem wymówionym z kiwaniem palcem koło nosa:

— A trzymaj ucho ostro, i słuchaj gdzie i jak dzwonią, żebyś broń Boże! nie pomylił się i nie pomodlił do cudzych bogów... Bo to nawet i w dziesięciorgu Bożego przykazania najpierwszém przykazaniem jest: »Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną».... O!... rozumiesz?..

I spojrzał na niego ze znaczącą miną.

Wszyscy inni pożegnali go serdecznie i pobłogosławili krzyżami na drogę.

I Jan pojechał.

Dziwnym trafem, ostatnie w kołowrocie pożegnanie, jak przed siedmiu laty od małego, tak znów od tegoż samego odebrał dziewczęcia, ale już nie małego. Jerynka szła snadź w pole do roboty, bo trzymała w ręku grable i przykryte ręcznikiem bliźniaki, i zdarzyło się, że przypadkiem (a może i nie przypadkiem) zatrzymawszy się we wrotach, doczekała się przejazdu panicza. Jan kiwnął do niej głową i zawołał:

— Bądź zdrowa, Jerynko, serce!...

Dziewczyna zapłoniła się. Coś ona odpowiedziała; ale co— nie wiadomo— bo bryczka bardzo turkotała.

Ojcowską bryczką dojechał Jan do pierwszéj stacyi pocztowéj, a z tamtąd, za ukazaniem zawczasu przygotowanéj podorożni i opłaceniem progonów, ruszył do Kijowa.

Szybko chodzi poczta. Pocztylion z miejsca zbierze

lejce, przestrzeże aby się trzymać, swiśnie na konie, zagada do nich, i konie wiatrem gonią. Wiorstowe słupy—zdaje się—uciekają z drogi, chroniąc się przed rozbiciem pocztowego wózka. Umykają z drogi i spotykani przejezdni, ostrzeżeni z daleka jęczeniem dzwonka, przywiązanego do hołobli lub dyszla, i ozdobionego napisem.

Na stacyach witały Jana facyaty pisarzy pocztowych wszędzie jednakowe i tak do siebie wyrazem postaci podobne, jakby wszyscy pisarze z jednego ludzkiego pochodzili gniazda. Ukazywały się niekiedy i ich połowice, także jednakowe i po większej części tłuste. Wyglądały i rumiane panienki, wieczny przedmiot przelotnych westchnień przejezdnych officerów. Te ostatnie, zwabione czerwoną obwódką czapki i mundura, wyzierały i chowały się—wyzierały uśmiechnięte, chowały się nadąsane—gdy poznały że te pąsy zdobiły tylko gimnazistę.

— Gdybyż to choć student uniwersytetu, to jeszcze... tym gimnazystom powinniby zabronić jeździć pocztą...—szeptały same do siebie, nie wiedząc, że jeszcze dni kilka, a pąsowe kolory Janowego mundura ustąpią miejsca szafirowym.

Na niektórych stacyach pisarze drożyli się z daniem koni. Lecz Jan był uprzedzonym przez takich co pocztą jeździli i wiedział co wzdragania te znaczą. Kazał sobie pokazywać sznurową księgę przyjazdów i odjazdów, i w milczeniu zabierał się do téj książki, która, przypieczętowana do stołu, oczekuje na skargi podróżnych. Tym sposobem, bez hałasów i kłótni, rozbrajał pisarzy i jechał daléj.

Pierwszego dnia, bardzo późno przyjechał do Białéj Cerkwi, zdrzémnął się przez parę godzin i o świcie ruszył. Przeleciał, zatrzymując się tyle tylko ile na prze-

przężenie koni potrzeba, przez Hrebenki i Wasylków, i o południu, wyruszywszy z Wety, ostatniéj przed Kijowem stacyi, wjechał na piaski, na których poczta nawet stępem iść musi. Tam, pierwszy raz w życiu, ujrzał sosnowe lasy. Nie zrobiły one na nim takiego wrażenia, jak przedmiot po raz pierwszy widziany, dla tego że w tém miejscu nie przedstawiają się jako las wysokich, smukłych drzew, szeleszczących igłami i szyszkami i skrzypiących gałęziami, ale jako krzaki. Wózek, jak pług, wlókł się powoli drogą, a bohater nasz szedł bokiem, powoli, i dumał.

To jego dumanie, na drodze z Wety do Kijowa, było powtórzeniem tego, na jakiém spędził pierwszy doświtek u Mimowolego. Była to druga, że tak rzeknę, w jego moralnym pochodzie etapa. Zatrzymał się on na niéj, odpoczął, wzmocnił, i poszedł daléj. Różniła się ona od pierwszéj pełnością przekonań. Jan obeznał się już z kierunkiem bitéj drogi, i wiedział dokładnie gdzie i po co idzie. Nie potrzebował już uciekać się do pomocy wyobraźni, nie potrzebował postaciować sobie zasad bryneńskiemi osobistościami. W duszy jego tkwiły już przekonania wyrozumowane. Uswoił sobie zbiorową ideę dobra, piękna i sprawiedliwości, i był jéj wyznawcą i hołdownikiem. Poddawał jéj nie tylko siebie samego, ale cały świat rówiesnéj, wykształconéj, z rozmaitych stron kraju do jednego ogniska ściągnionéj młodzieży, śród któréj miał się wkrótce znaleźć. Widział siebie w gronie kolegów, niby w jednéj ścieśnionéj kolumnie, zlanéj w spoiste, potężne jedno uczucia i rozumu, i zdwojonym krokiem na przebój idącéj w przyszłość.

Onegdajsza rozmowa z ojcem przyszła mu całkowicie na pamięć. Rozmyślał o niéj, ważył ją, rozpatrywał,

ojcowskie zdania porównywał ze swojemi, robił przypuszczenia i wyciągał wnioski; a wszystko to opierał na zasadowych axiomatach, pewnych i nie omylnych, jak matematyczne, ale tylko—rozumie się—dla tych, którzy je chcą uznać. Owóż, to właśnie uznanie było tém moralném bogactwem, które stało się podwaliną jego charakteru. Można już było w téj chwili powiedzieć, że on ich bronić będzie do upadłego, przeciwko wszelkim, bądź zewnętrznym, bądź wewnętrznym napaściom. I chociażby, jako młody, uwlókłszy się namiętnością, lub po prostu ciekawością, potknął się jeszcze, to można było być już pewnym że nie upadnie.

Potknięcie się zagrażało Janowi ze strony tego świata kolegów, o którym on z miłością marzył. Słyszał on o nim, ale go jeszcze nie znał, a musiał poznać, musiał wejść i wejrzeć we wszystkie jego tajemnice.

Za ukazaniem się Kijowa, pierzchły Janowe dumania. Kijow zajął go całkowicie.

Kijów!.. bo też sam ten wyraz ma tyle uroku, a miasto tyle wspomnieniowych świętości. I Kijów i Dniepr razem!.. miasto i rzeka, jednakowo postawione w poetycznéj fantazyi Ukraińca, jednakowo w jego dumach kołysane. Na ich widok — jeżeli ma kroplę uczucia w piersi — zabrzmią od razu wszystkie serdeczne struny pełną pieśnią, która zleje się w chór z szumem wiatrów, z łoskotem sinéj fali, z lotem czajek, ze śpiewem łabędzia, i popędzi stepem na mogiły, i popłynie wodą na porohy, i poleci orłem pod obłoki. Nie dziw-że że nasz Jan okiem i sercem przylgnął do ukazujących się w dali widoków tego ruskiego Krakowa. I nie słyszał jak pocztylion, na twardszy nieco wyjechawszy grunt, zawołał na niego:

— Ej!.. paniczu!.. siadajcie!.. tu możemy pojechać!..

Powtórzyć musiał trzy czy cztery razy, zanim Jan wsiadł na wózek.

A gdy wsiadł, pocztylion świsnął, dzwonek jęknął, trójka posunęła wichrem, unosząc za sobą wózek i wlokąc za wózkiem długi ogon kurzawy.

Wkrótce potém był Jan już w Kijowie.

W umówioném z góry miejscu spotkał się z oznajomionym z miejscowością Henrykiem. Przy jego pomocy znalazł sobie pomieszkanie, nie opodal od uniwersytetu, w części miasta zwanéj *Nowe Strojenije*. Przy jego pomocy obiegł i obejrzał powierzchnie miasto. Spotkał się z niemirowskimi kolegami i zapoznał z nowymi, przybyłymi z rozmaitych gimnazyów, z rozmaitych stron kraju —z Wołynia, Litwy, i z za Dniepru, nawet z Królestwa. Nazajutrz zaprezentował się władzy, złożył papiery i pieniądze, i zapisano go do rejestrów. I został studentem Uniwersytetu Śtego Włodzimierza.

Dla młodego człowieka zostać studentem uniwersytetu ma swoje szczególne znaczenie. Byłem żołnierzem w czasie wojny, i wiém co to za rozkosz, gniotący ramiona karabin i sprawujący ból tornister zamienić na szlify oficerskie i szpadę. Lecz téj rozkoszy porównać nie można z tą, jakiéj doświadcza się w pierwszych chwilach pobytu w uniwersytecie. Młodego człowieka opanowuje pewien rodzaj zawrotu głowy. Czuje się on nie tém czém jest w saméj rzeczy, ale jakąś istotą wyższą, a tak dalece wyższą, że nie ma z kim siebie porównać. Fraszka dostojnicy, na górnych szczeblach drabiny społecznéj stojący!... On student, z dwoma złotemi na kołnierzu belkami, przy szpadzie i w stosowanym z kokardą kapeluszu, nie zajrzy nikomu wstęg, gwiazd i orderów. A chociaż, po skończeniu uniwersytetu, będzie wyciągał po nie

ręce, tymczasem mniéj go nęcą. Nie zamieniłby on swego munduru na żaden na świecie, tak jest nim dumny i pyszny.

To samo, mniéj więcéj, po wszystkich dzieje się uniwersytetach, i służy za podstawę tak zwanego burszostwa. Życie bowiem uniwersyteckie zaczyna się dla człowieka w téj epoce, w któréj najżywsze krążenie krwi w żyłach łączy się z piérwszém budzeniem się ambicyi w głowie. Budząc się ambicya jest najsilniejszą i byle tylko w dobrą skierowana była stronę, to— i dobrze. Człowiek poszumi, poindyczy się, poburszuje, i koniec końcem, gdy z wiekiem krew przystygnie, gdy się wytrawi, wyjdzie na człowieka. Zależy to najzupełniéj od wytkniętego ambicyi celu, około którego kupią się młode umysły.

Cel ten, że tak powiem, koloryzuje burszostwo, które rozmaicie w rozmaitych objawia się uniwersytetach— inaczéj np. we francuzkich, inaczéj w niemieckich, inaczéj w naszych— ale we wszystkich jest.

Student Francuz najpraktyczniéj rzecz bierze. Sprawia on sobie gryzetkę, i staje się tymczasowym *petit père de famille*; formuje sobie maleńkie na poddaszu *chez moi*, i na zewnątrz, wyjąwszy kursów, wszędzie występuje we dwójkę. Ztąd, z powodu obecności płci nadobnéj, pomiędzy francuzkimi studentami panuje pewna etykietalność, nie opuszczająca ich nawet w kankanowych za baryerą pohulankach. Jeżeli rozpustują to parami, i z pięknym na końcu języka komplementem. Jeżeli pracują, to także parami: student się uczy; *studentka* szyje lub céruje, i bynajmniéj nie przeszkadza tymczasowemu towarzyszowi swemu kształcić się na znakomitość uczoną, a to dla tego, że ambicya tego ostatniego ukazuje mu w perspektywie, jako cel, takie stanowiska, jak Araga, Micheleta, Qui-

neta, Thiersa, Guizota, Huga, Blanc'a i tylu, tylu innych, którym dostojeństwo rozumu wyrobiło dostojeństwa sławy i powszechnego szacunku.

Student niemiecki depce nogami wszelką etykietę. Zamiast gryzetki, sprawia on sobie wysoką, piankową lub porcelanową fajkę, i zasiada z nią w knajpie; zapuszcza wielkie wąsy i długie włosy; marzy o dziwacznych rzeczach, a dąży do tego, żeby zostać jakimś Kantem, Heglem, Szelingiem, albo Goethem, Szyllerem, Hejnem, albo Niebuhrem, Herderem, Humboldtem, lub czémś podobném. Więc w knajpie dopełnia sobie kursa uniwersyteckie. Przy kuflu piwa, śpiewa, filozofuje, krytykuje, i zaciąga się knastrem. A to co on przy piwie nagada, jest echem samotnéj jego pracy, w któréj ambicyi jego, jako cel, przyświecają samoistne wielkości.

W naszych uniwersytetach młodzież nie w stronę tego rodzaju co francuzkie i niemieckie wielkości skierowaną ma ambicyę. Nie taki cel przed nią postawiono. Zastępuje go— karyera. Dla niéj warunkiem jest skończenie uniwersytetu, skończenie opatrzone takiemi prerogatywami jakich nigdzie nie ma, bo nadającemi rangę i miejsce...

Młodzież przeto u nas ma przed sobą bez porównania łatwiejsze jak Francuz lub Niemiec zadanie. Samo wstąpienie do uniwersytetu już je w połowie rozwiązuje.

Z tego to powodu, w piérwszych chwilach pobytu w uniwersytecie, czując na sobie siny kołnierz, uczucie, jakiém się młody człowiek przejmuje, jest — nieposiadanie się z radości. Mimowolnie, do téj piérwszéj chwili, ściąga on ostatni szczebel karyery, i czuje się tak wysoko, że aż jego młoda głowa dostaje zawrotu.

Z tego także powodu i burszostwo jego cechuje radość. Bardzo ona jest naturalną, bo pochodzi w znacznéj czę-

ści, z młodzieńczego humoru, ale w znaczniejszéj z nietroszczenia się o przyszłość, z niedążenia ambicyą do jakiegoś uosobnionego celu, z niezapatrywania się na jakiś samoistny wzór. Przy wielkim stole uczty społecznéj, ma on z góry zapewnione dla siebie miejsce, byle tylko zdał egzamin. Więc odnosi wszystko do egzaminu. I dla tego, co się pracy tyczy— tylko niezdolny pracuje— uczy się, kuje, wświdrowuje się w książki, wysysa z nich co zmoże, uczęszcza pilnie na prelekcye; zdolny zaś, wedle wyrażenia pewnego professora, «jest istotą przez cały rok nic a nic nie robiącą, a w miesiącu maju niesłychanie zatrudnioną.»

Burszostwo naszego studenta nie objawia się ani pod postacią *petit homme d'etat*, z damą pod ręką, chodzącego regularnie co wieczór do kawiarni i pozwalającego sobie niekiedy na *des escapades* za baryerą; ani pod postacią wąsatego i patłatego fajkarza, z kuflem piwa w garści. Jako symbol jego, przyjąć można: rozpięty na guziki i haftki mundur: a jako attrybucyę dać mu należy i fajkę i kieliszek i spódniczkę i karty, służące naprzemian do zabijania czasu i mordowania młodości. A że w charakterze naszym mamy egzagierowanie wszystkiego, przeto, gdzie się burszostwo wkradło, tam uchronić się go można tylko sposobem przekradanym.

W podobnéj epoce przybył nasz Jan do Kijowa. Owiany od razu taką atmosferą, olśniony, przejęty potrzebą wniknięcia w życie rówiesnéj młodzi, puścił się on galopem— i szczęściem prędko, bo po upływie pierwszego semestru, raptem zatrzymał się i upamiętał. Zanim jednakże to nastąpiło, skąpał się w błocie po uszy.

Zaczęło się od tego, że załatwiwszy w przeciągu tygodnia wszystkie installacyjne interesa i obejrzawszy do-

kładnie Kijów, rozszerzywszy koło nowych znajomości i doczekawszy się od krawca munduru, wypadła ważna potrzeba oblać ten ostatni. Oblać albo ochrzcić mundur, znaczy upić się. Nigdy w życiu nie był jeszcze Jan pijany. Pomyślał więc sobie:

—Sprobować raz.... i!... to nie zawadzi...

I upił się, ale tak, co się nazywa. Ani ręką ani nogą nie mógł ruszyć. Nowy mundur tak zbrudził, że od razu przerobił go na stary. I przez cały tydzień nie chodził na kursa, dla tego że tak osłabł, iż musiał aż w łóżku odleżeć.

— Mam słabą głowę... Nie mogę pić...— mówił do jednego z kolegów, który go odwiedził.

— Jesteś jeszcze fuks, filister...— powiedział mu kolega, który snadź słyszał coś o niemieckiem burszostwie, że z niego wziął techniczne wyrazy. — Gdy się oswoisz, to głowa się wzmocni.... Przyzwyczajenie przerabia naturę...

I począł zaglądać po kątach Janowego pomieszkania.

— Czego szukasz?...— zapytał Jan.

— Fajki... Aż ckliwo mi już od długiego niepalenia...

— Nie mam... — odrzekł Jan, prawie zawstydzony— nie palę...

— Czy być może!...— zawołał zdumiony kolega. — Odmawiasz sobie niewinnéj rozrywki, popędzającéj na przód czas, który z dymem prędzéj leci...

I zadeklamował:

— «Cóż jest milszego, jak fajka w cieniu?...
A co milszego, jak cień w upałach?..
Jak paląc fajkę, siedzieć w milczeniu,
I o niebieskich marzyć migdałach?»

I taką dodał uwagę:

— Nie kiep był, co to napisał... Cały świat pali... Większość przyjęła fajkę, jako przedmiot pierwszéj potrzeby... Dla czegoż ty sam jeden masz się uchylać od wyroków większości?... Wygląda to, jakbyś ty, sam jeden, chciał mieć więcéj rozumu niż wszyscy... Oto, gdybyś palił a zaciągał się, to i ból z większą znosiłbyś łatwością...

— Sprobuję...— rzekł Jan.

Kolega, jako dobry kolega, przez wzgląd na niemożność ruszenia się naszego bohatera, podjął się ułatwić mu próbę. Poszedł i powrócił z cybuchami, fajkami, tytoniem i kapciuchem. Jan pyknął parę razy, zaciągnął się, i— aż mu w oczach posowiało... Zawrót głowy, gwałtowne nudności, womity i powiększenie bólu, były bezpośredniemi téj próby następstwami.

— Przyzwyczaisz się...— pocieszał go kolega.— Nie od razu Kraków zbudowano... I mnie tak było, kiedy po raz piewszy paliłem... Ale tyle nad sobą miałem mocy, że przezwyciężyłem się, i teraz... widzisz?...

I wciągnął w pierś strumienie dymu, i wysyłał je z ust, jak z komina.

Jan byłby się może tak do palenia, jak do wszystkiego przyzwyczaił, gdyby trzymał się był tego prawidła: «po trochu czego dobrego.» Wbrew temu, od razu skoczył on do ostatniego krańca rozpusty, i zamiast rozgustowywać się w niéj po kropli, zdwajając stopniowo dozę, upił się nią na samym początku. Następstwem tego było, że uczynił ją sobie wstrętną. Po oblaniu np. munduru, odory win, rumów i wódek tak mu śmierdziały, że czuł do nich obrzydliwość, jak do lekarstwa. Dym tytoniu sprawiał mu krztuszenie. Było to dla niego wielkie szczęście. A to szczęście winien był ojcu, który prowadząc życie spartańskiéj wstrzemięźliwości, nie dał mu nigdy pochopności

do próbowania ukradkiem i po troszeczku, to wódeczki, którą ojcowie dla strawności i apetytu przed obiadkiem pijają, to fajeczki, którą dla rozrywki palają, to winka, którem gości traktują— i zaprawiania się przez to powoli do tych i innych niewinnych środeczków, ułatwiających apetyt, strawność i przepędzenie czasu. Perswadowali mu wprawdzie koledzy:

— Przezwycięż się... Potrzeba posiadać moc rozkazania sobie...

Jan przezwyciężenie odkładał do jutra, a tymczasem brał w orgiach udział bardziéj jak widz i świadek.

W owym czasie heroizm rozpusty popłacał w Kijowie wysoko. Kilka nazwisk okryło się na tém polu zasłużoną sławą. Jaśniało kilku bohatérów, o których «tęgich spisaniach się» rozpowiadano *con amore* w studeckich kółkach. Jeden z nich heroizm swój zaprawiał błaznowaniem, i uchodził za dowcipnego. Drugi, Karol X..., obdarzony znakomitemi od natury zdolnościami, rozpasał się na sofizmata, któremi tłómacząc i usprawiedliwiając rozpustę, szerzył zgorszenie. Trzeci, prosty łajdak, okraszał grzech wyprobowanym cynizmem. Oni prowadzili rej, byli wzorami, gwiazdami piérwszéj wielkości, na które zapatrywała się reszta. Bez nich, a szczególnie bez dwóch piérwszych, nie obeszła się żadna pohulanka, żadna gromadniejsza krzyżowa wyprawa. Oni nadawali ton całości studenckiego towarzystwa. Pojedynczo chyba, luzem, ukradkiem, ażeby nie wystawić się na śmieszność, gdzieś ktoś tam pracował; reszta biegła na przód, nie pytając o drogę i cel, jak trzódka cieląt, gdy je giez napadnie.

Do tych cieląt, częścią dla sprobowania, częścią przez ciekawość, przyłączył się i nasz Jan.

Wyprobował się już i zaspokoił ciekawość mniej więcej we wszystkiém, wyjąwszy w jedném: nie grał jeszcze w karty.

— Co w tém może być za przyjemność!... — odpowiedział razu pewnego zachęcającemu go do sztosika Karolowi.

— Emocya ducha...— odparł tenże.— Przyjemność ryzyka, téj saméj natury co ta, jakiéj doświadczał Kolumb, gdy płynął na odkrycie Ameryki... Sama zaś gra w karty jest téj saméj natury co większa część wielkich interesów ludzkości, najżywotniejszych dla tego właśnie, że opartych na szansach losu... Karty reprezentują los... Wystawiasz go przy stoliku na próby... Bawisz się nim... Bawisz się własnym losem... Jest-że jaka zabawa, mogąca bardziéj zająć i mocniéj poruszyć?... A skoro tylko zabawa jest zajmującą i poruszającą, to tém samém odpowiada najgłówniejszym warunkom przyjemności.

Nie był jeszcze Jan biegłym w rozplątywaniu sofistycznych gmatwanin. Nie przekonało go rozumowanie Karola. Postanowił jednak zrobić doświadczenie. Z drugiéj strony, zapał do gry, jaki spostrzegł w Kijowie, wydał mu się godnym doświadczenia.

— Coś w tém być musi...— myślał sobie.— Czy nie jest gra jakim węzłem społecznym, sztucznym, ale węzłem?...

Przypatrywał się więc z razu mechanizmowi sztosików, diabełków, faraoników, preferansików, rozpytywał się i przysłuchiwał rozprawom nad grą, i prędko wtajemniczył się w jéj filozofiję, i poznał znaczenie prostych stawek, parolów, set-lew, nape, wabanków, soników, kaczałek, etc. A oznajomiwszy się z tém wszystkiem, wahał się jeszcze, aż nakoniec puścił się.

— Brawo, Jan!... Niech żyje Jeż!... Oby do niego przez całe życie fortuna wszystkie swoje stare zęby wyszczerzała!...— wołał jeden z poniterów, siedzących przy stole, nawet nie zielonym, w ciemnéj od fajczanego dymu izbie, będącéj zbiorową stancyą kilku studentów, a z tego powodu dość obszernéj i obficie zaopatrzonéj w łóżka, stoły i stołki.

Na to życzenie, patetycznie wygłoszone, kilku głośno się zaśmiało, kilku się uśmiechnęło, a jeden się odezwał:

— Może on wolałby młode ząbki Julki!...

— To musi pożegnać się ze staremi fortuny..— odrzekł piérwszy. — A to kwestya do rozwiązania: która więcéj warta, Julka czy fortuna?...

Śmiech prawie powszechny był odpowiedzią na to pytanie.

Wśród śmiechu dały się słyszeć wyrazy:

—Sztos-fertig!... Cztéry ruble w banku!... Najwyższa stawka, dwadzieścia pięć groszy!...

—Setlewa, rubel...— któryś się odezwał — rachunek krągły... Kaczor choć nie matematyk a umie rachować...

— Nie Kaczór, ale Koczór!...— odparł bankier.

— Prawda! prawda!...— kilka głosów razem zawołało, i kilka piersi śmiechem zagrzmiało.

— Czyż nie wiecie, że on przecie nie Kaczorowski, ale Koczorowski!...— rzekł jeden.

— Sztos-fertig!... — powtórzył Koczorowski, mocniéj jak poprzednio.

I dodał:

Krédka się nie przyjmuje!... Uczciwi ludzie grają na gotówkę!

— Takiém jest najgłówniejsze prawidło z najlepszego kodeksu moralności...— dodał jeden wesoło.

Na to *dictum acerbum* dwóch czy trzech ponterów spuściło ręce pod stół, a inni wyciągnęli je z poniterkami i stawkami ku bankierowi. Koczorowski pociągnął po nich wzrokiem, wywrócił talię i począł ciągnąć.

Gra w tej studenckiej stancyi, o te cztery ruble, szła tak, jak gdzie indziej o czterdzieści albo i więcej tysięcy. Tyle tam budziła ona zajęcia, tak samo wzdymała piersi namiętnością, tak samo, w rozliczne punkta stołu— od bankiera do ponterów i od ponterów do bankiera— przetaczała szczęście, przebiegające niby żywe srebro, po gładkiej rozmaicie pochylanej powierzchni. Bo te cztery ruble w banku było wszystkiem, co Koczorowski posiadał. Znaczyły więc dla niego tyle, co dla bankierów homburgskich, lub tych co po kontraktach i po jarmarkach naszej szlachcie służą, czterdzieści i więcej tysięcy. Miał on je na opłacenie stancyi i wiktu za cały miesiąc. Gdyby przeto je stracił, to tracił z nimi możność mieszkania i jedzenia przez cały miesiąc.

Długo szczęście się ważyło. Nakoniec Koczorowski odsunął ostatniego półrubelką, spoczywającego na kwita-dubl zagiętej karcie, i wstał od stolika. Za nim powstali wszyscy. Gwarna rozmowa zastąpiła miejsce monotonnych wykrzykników.

— Kaczór ciągnie, jakby z nót grał...— odezwał się jeden.

— Nie Kaczór, ale Koczór...— poprawił drugi.

Kilku się zaśmiało.

— Doskonale gra... z zimną krwią, aż miło!... Jedyny do trzymania banku...

— Nic mu nie brak, tylko pieniędzy...— wrzeszczał jeden lubiący dowcipkować.

—Kaczorze, czyli Koczorze!... —zawołał jeden głośno. —Załóż drugi bank, to się odbijesz!...

—Ale!... chyba pięstukiem...— odparł proponującemu po cichu, najbliżei niego siedzący sąsiad. —On już ani na tytoń nie ma...

Zdebankowany bankier,— który powiedzmy nawiasem, nazwę a raczej przezwanie «Kaczór» usprawiedliwiał płaskatym nosem i jakimś ptasim, ale nie orlim (prędzej gęsim) wyrazem twarzy — przechadzał się ze złożonemi jak do gwizdania ustami, uśmiechał się i pociągał zlekka, jak człowiek co się zasiedział. I przechadzając się— niechcący, boczkiem — zbliżył się do Jana, i zagabnął go znienacka:

—Daj mi parę rubli...

Jan wygrał około dwóch rubli. A że to zdarzyło mu się pierwszy raz w życiu, więc radby pozbyć się co rychlej pieniędzy, które w prostocie ducha uważał za źle nabyte. Dobył więc pośpiesznie sakiewkę, i nic nie mówiąc, dał żądanych parę rubli.

— I!... to pożycz-że mi już i więcej...— rzekł Koczorowski, patrząc na sakiewkę.

— Wiele?...— zapytał Jan niepewnym tonem.

— Ot... tak... z dziesięć karbowańców... Wygram, to, słowo honoru, natychmiast ci oddam...

Janowi nie zdało się jakoś godziwem pożyczać na grę. Zarumienił się więc i zawahał.

—Ależ... słowo honoru!... wiesz, co to znaczy...—dodał Koczor, postrzegłszy Janowe wahanie się.

—Bohater nasz, nic nie mówiąc, podał koledze dwa półimperyały.

Zrobiło się to na stronie, tak że nikt tego nie widział. Po chwili Kaczór znów siedział na bankierskiem miej-

scu, znów stasowawszy karty, donośnie i wyraźnie ogłosił:

— Sztos-fertig!... Dwanaście rubli i dwa złote w banku!... Stawka dowolna!... Kredka się nie przyjmuje!...

—O!...— krzyknął świeżo przybyły Antek.—Wabank!..

I postawił pierwszą lepszą kartę, która mu się pod rękę nawinęła. Zrobiło się cicho. Kaczor ciągnął. Słychać było szelest padających na prawo i lewo kart. W połowie talii Kaczor wygrał.

Zrobiło się więc dwadzieścia cztery ruble i cztery złote w banku.

Rozpoczęła się druga faza sztosa, do której przybyło kilku nowych, pieniężniejszych jak pierwotni poniterów. Pomiędzy nimi był Karol, jeden z trzech modelów burszeryi kijowskiej, powitany głośnemi, gdy wszedł, okrzyki.

Nie będę tej wznowionej gry opisywał. Kto grywał, ten wie jak to idzie. Kto zaś nie grywał, tego niechcący zachęciłbym może do sprobowania. Powiem więc tylko, jaki los spotkał naszego bohatera.

Powtórzyła się na nim miliony milionów razy od stworzenia świata powtarzana na frycach historya. Zrazu wygrywał. Skończyło się jednakże na tem, że opłacił frycówkę wszystkiem co miał. Zgrał się— jak powiadają— do denka, albo inaczej, jak włoskie skrzypce. Półimperyały jego rozeszły się pomiędzy poniterów i bankiera, w większej ilości dostawszy się temu ostatniemu. Gdy zaprzestał poniterować, Koczorowski zapytał:

— No, a ty?...

Jan wzruszył ramionami, na znak że nie ma czem.

Koczorowski poruszył ku niemu palcem dwa półimperyały i dwa ruble.

— Staw dalej... Szansa jeszcze nawróci...

— Szczęście jest wspaniałomyślnem...— rzekł Karol z uśmiechem, patrząc na Kaczora.

Jan stawił, i resztę przegrał.

Zrobiło mu się markotno, i zarazem przejął go na wskroś jakiś gniew i żal. Nie okazywał jednakże tego po sobie, a to z tej może przyczyny, że widział jak parę zgranych przed nim fryców gryzło i szarpało karty zębami, deptało je nogami i klęło a łajało od ostatnich asy, damy, walety, dyski, etc. Ochłonął nieco, posiedział podparłszy ręką czoło, i rzekł do Koczorowskiego, gdy ten tasował talię:

— Pożycz mi kilka rubli... sprobuję jeszcze...

— Wygranych nigdy nie pożyczam, szczególnie kiedy bank trzymam...— odpowiedział zagabnięty.— Dawałbym broń sam przeciwko sobie... Psułbym własną szansę...

— On takiego trzyma się prawidła...— odezwał się jeden z poniterów— wygranych nie pożycza a przegranych nie ma...

Koczorowski uśmiechnął się, i ogłosił:

— Ostatnią ciągnę talię!

— Atande!.. ktoś krzyknął— jeszcze choć dwie, mój Kaczorku!.. Mnie tylko co zaczęło iść...

— Nie Kaczorku, ale Koczorku...— odrzekł bankier.— Nie dwie ale tylko jednę... Już późno...

Powinien był powiedzieć raczej: już rano!.. dla tego że dzień biały dawno już pobudził, poubierał i zatrudnił tych, którzy się z wieczora spać położyli.

— Basta!..— zawołał bankier.

Gra się skończyła.

Grający podzielili się na dwie kategorye: tych co przegrali i tych co wygrali. Z pierwszych mało kto dociągnął do ostatka. Kilku spało w odzieży na łóżkach,

a parę siedziało przy stoliku, nasycając się widokiem gry i śledząc tajemnice losu.

Do nieśpiących należał nasz Jan. Nie przypatrywał się on jednakże graniu i wcale nie myślał o losie.— On myślał— o niczém. Usposobienie jego było takiém, że radby był mieć coś w ręku do łamania, pod nogami do deptania, w zębach do gryzienia. Rad-by, żeby to »coś« było nim samym. Usposobienie to malowało się na jego twarzy i w oczach.

Gdy wszyscy powstali, i on wstał— zapiął mundur, nałożył na głowę czapkę, i nikogo nie pożegnawszy, wyszedł. Trzaśnięcie drzwiami mogło służyć za miarę jego humoru, było bowiem tak gwałtowne, że uciszyło na chwilę gwar rozmowy.

— Ależ trzasnął!...— odezwał się jeden z pozostałych.

— Ależ się zgrał!..— powiedział drugi.

— Dureń jakiś!..— rzekl trzeci.— Los mu sam lazł w ręce... Nie umiał korzystać... Gdzież-to!.. sam widziałem, jak raz pięć, drugi raz cztery z rzędu karty trafił, na które ani jednego parola nie zagiął...

— A przegrywając, dublował stawki...— wtrącił inny.

— Cha, cha, cha!..— odezwano się chórem.

— Dureń!..

— I jeszcze się gniewa!..

— Proszę!..

— Chciał pożyczać!..

— Trzeba było pożyczyć!..— rzekł jeden do opromienionego szczęściem bankiera.— Byłbyś wlazł na panicza, co do gry głupi jak but, a gniewa się, jakby ktoś winien był temu, że on głupi...

— Nie chciałem robić podrywu Paszczence...— od-

parł Kaczor. — Niech też on i Jeża wciągnie do rejestru...

— Cha, cha, cha!..— odpowiedziano.

— Czy on jeszcze nie ma honoru znać się z Paszczenkiem?...

— Teraz z pewnością się pozna...

— Trzeba jednakże mu to doradzić i ułatwić...— zauważał jeden, dodając patetycznym tonem...

— Trzeba kolegę ratować w nieszczęściu!.. Koczor!.. idź ty do niego!.. Tobie te dwa pece, coś mu tak wspaniałomyślnie palcem posunął, nadają szczególniejszą powagę!...

Koczorowski uśmiechał się z miną człowieka pełnego najlepszej o sobie opinii, i odpowiedział:

— Co to, to nie!... Gdybym był przegrany to co innego...

Koczor obawia się rozczulenia, któreby go zmusiło złamać regułę...— rzekł inny.

— Któż pójdzie?...— zapytano.

— I!.. do czego takie zapytanie!..— odezwał się Karol.— W nas przecie nie wygasła jeszcze staropolska cnota ratowania nieszczęśliwych, a szczególnie kolegów, a mianowicie którym wioska dziedziczna z za nadrza wygląda... Pewny jestem, że nie jeden z nas ze zdrową radą pośpieszy, jak się tylko prześpi... O to nie ma co troszczyć się!.. Ja dam inne, ważniejsze zapytanie... Jaki jest program dzisiejszej doby.

— *Primo*: spać!..— podchwycił jeden.

— Zgoda!..— odpowiedziano chórem.

— *Secundo*: jeść!..— dodał, drugi.

— O, ty, żarłoku!..— wygłosił trzeci deklamatorskim sposobem— *Animalus vorax!..*

— Nie umie po łacinie...— zauważał opodal stojący.

— Nie obowiązany umieć...— odparł mu sąsiad.

— Ty— ciągnął deklamator— nie wiesz chyba o tém, że człowiek nie samym tylko chlebem, ale i duchem żyje!.. Dla tego panowie, proponuję: wymazać z programu źwierzęcą propozycyę jedzenia!..

— Wymazać!... wymazać!...— wołało kilku wesoło.

— Nie pozwalam!..— krzyknął Karol.— Pozostawić ją, zmodyfikowaną następującą uwagą: jak się komu podoba, i jeżeli ma co...

— Zgoda!...— jednogłośnym odpowiedziano okrzykiem.

— *Tertio!..* i cóż *tertio?*

— No, *tertio!..*

Powstał gwar śmiechu i frazesów, zmieszanych w jeden niewyraźny odmęt, z którego wyraźniej wydobywał się okrzyk:

— Kursa!..

Na okrzyk ten odpowiadał inny:

— To kwestya sumienia!.. Téj do programu zaciągać nie można!.. Każdy rozwiąże ją po swojemu!..

— *Nota bene!..* jeżeli się w czas obudzi!...— odezwał się ktoś w rodzaju dodatku.

W gwarze słyszeć się dawało jak ten i ów mówił:

— Chciałbym trafić na lekcyę Kostomarowa!..

— Ciekawybym był posłuchać Nowickiego, który gotów się zdziwić, gdy moją facyatę po raz pierwszy na egzaminie ujrzy...

— Radbym pójść na Fonberga... Ten stary tak wykłada, jakby łopatą kładł w głowę... Jego lekcye potężnem są do egzaminu ułatwieniem...

— Ja tam, w teatrze anatomicznym, zacząłem preparować nogę... Trzebaby ją skończyć...

— A ja...— głośniej zawołał od innych matematyk— muszę pójść na obserwatoryum!.. Na horyzoncie naszym świeci teraz Wenera!.. Warto popatrzeć na nią przez teleskop.... Ciekawa rzecz, jak też wygląda ona na niebie!..

— A nie zapominaj także...— dodał podobno prawnik— że twojem obserwatoryum wdzierasz się w najważniejsze bo wieczorne programatu paragrafy, mające tę chyba tylko z niebieską Wenerą styczność, że ona będzie miała zaszczyt przyświecać im, a one przy świec blasku nawet o nią pytać się nie będą, a tem mniej o tych, którzy będą ją teleskopami po niebie śledzić...

— Najlepiej, zamiast w teleskop, w oczy Maszki się popatrzeć...— dorzucił Karol.— Tam całe niebo wskroś się obaczy...

— A więc, ostatni programu paragraf?— zapytał jeden.

— Krzyżowa wyprawa!..— odparto chórem.

— I funda!..— zawołał Karol, patrząc na Kaczora.

— Któż funduje?...

— Któż, jeżeli nie kochanek fortuny, Krezus tej chwili, Koczorowski, *vulgo* Kaczor!..— odpowiedział Karol, tonem stanowczym.

Koczorowski uśmiechał się i kiwał głową sposobem twierdzącym.

— A nie zgraj się nam tylko gdzie do wieczora.— upomniał go jeden z kolegów.

— Gdzie też!...— odrzekł inny, w jego niby imieniu.— On do wieczora będzie spał jak kamień na laurach nocnych... Dobry to chłopiec!... Pożyczyć, ani grosza nie pożyczy, ale przepić do ostatniej kopiejki przepije, i to z kolegami!... Lubię go, bo ma pryncypia!...

Cała ta rozmowa toczyła się wśród zbierań się do wyjścia. Ten szukał czapki, ów oglądał odzież, opatrywał guziki i haftki, inny z pod śpiących wyciągał rękawiczki, inny zmaczanym w wodzie ręcznikiem ocierał sobie przed lusterkiem twarz, inny przewiązywał chustkę na szyi, tamten się przyczesywał, a każdy skończył na tem, że zapiął się szczelnie od podbródka do pasa, i wyglądał jak żołnierz, gdy na przegląd się wybiera.

Wszyscy nareszcie oporządzili się i rozeszli. Jedni poszli na kwatery i położyli się spać; jaki taki udał się do uniwersytetu, po to aby wydrzemać się podczas prelekcyi.

Spotykając tę młodzież na ulicy, widziałeś ją czysto elegancko ubraną, wygoloną, uczesaną i opiętą, a w twarzy jej i oczach postrzegłeś pewne znużenie, pochodzące niby od bezsennie strawionych nocy na pracy i myśleniu. Młodzież śliczna, taka że za spojrzeniem na nią to aż serce do niej rwie się,— ta nasza, której podobną bodaj czy Pan Bóg stworzył na świecie,— ta, której rozum, serce, szlachetność i odwaga tryskają z oczu, patrzą z całej postaci— ta młodzież!... Wolno ci patrzeć na nią z daleka, cieszyć się nią i marzyć że ona coś warta... Ale, jeżeliby kto marzenie to twoje nazwał utopią, to nie wolno ci plunąć mu w oczy i powiedzieć— kłamiesz!...

Wyjąwszy płaskatonosego Kaczora, będącego pewnym rodzajem uniwersyteckiego inwentarza, przechodzącego przez wszystkie fakultety i nie wiedzącego nigdy dokładnie, jakim kiedy oddaje się naukom; wyjąwszy takiego Karola, który z powodu może szczególniejszéj jakiejś organizacyi serca i głowy, był watażką rozpusty; wyjąwszy

tych dwóch, i kilku jeszcze, kilkunastu może innych, całe zresztą kilkusetne grono uniwersyteckie składało się z takiej mniej więcej, jak nasz Jan, młodzieży. Nic jéj nie brakło, wyjąwszy idei przewodniéj, około któréj skupiałaby ducha. A idea taka mała zdaje się rzecz!.. tak ją łatwo zastąpić... głębokiém naprzykład westchnieniem, przy któróm wspomnieć można: o skuteczności mléka wyssanego z matczynéj piersi, o doniosłości bogactwa, odziedziczonego po ojcowej myśli... A jednakże— patrzcie!.. z tego mléka i bogactwa jaki nie wielki pożytek... Jedno nie zabezpiecza zdrowia sercu, drugie nie zaopatruje przeciw nędzy duszy. Młodzieniec, z jednem i drugiém puszcza się na ponitera, i tak w tém rzemiośle postępuje, że w końcu sam z charakteru staje poniterką. Wyciera się, jak ona, obrukuje na wszystkie strony i nabiera wartości od stawki i załamania.

Zrozumiał to Jan, gdy się zgrał. Zrozumiał, ale tylko przez pół. Tak bowiem raptownie i niespodzianie spadło na niego to nieszczęście, że nie mógł jeszcze przyjść do siebie.

Dla przedstawienia sobie dobrze usposobienia naszego bohatera, niech czytelnik przed oczyma swojej wyobraźni, postawi sobie człowieka najpoważniejszego jakiego tylko zna, męża, którego wszyscy chwalą, któremu się wszyscy kłaniają, którego cały świat szanuje, który tylko zazdrośników ma za nieprzyjaciół, i wiedząc o tém, nosi się z pewną własnéj wartości dumą na czole, z lekką na ustach ironiją. Owoż, wyobraźcie sobie, że ktoś z tych zwyczajnych »ktosiów« dla których się jest tylko grzecznym, poszedł niespodzianie do owego męża, i ni z tego ni z owego dał mu szczutka w nos. Wyobraźcież jedną jeszcze sobie rzecz, a mianowicie: jaką sen-

sacyę ów szczutek sprawiłby na owym mężu?.. Taka sama, jota w jotę, sensacya miotała naszym Janem po zgraniu się. Z tego powodu, przyszedłszy do swego mieszkania i szèrokiemi krokami chodząc po niebardzo szerokiéj stancyi, nie mógł złożyć dwóch myśli w taki sposób, aby jedna zaczepiła się o drugą. Pojedyńczo zaś wzięte, myśli jego były następujące:

— Co to się stało?..

— Po co to ja do Kijowa przyjechał i do uniwersytetu wstąpił?..

— Koledzy!.. przyjaciele!.. młodzież!..— tu ironija się przebijała— bodaj ich wszyscy djabli porwali!..

A wpadając w dobitność hryneńskich wyrażeń klął energicznie.

I z tematu obwinienia to siebie, to kolegów, snuł myśli długo. Kładł się wstawał, znów kładł się, znow wstawał. Stawał przed oknem i spoglądał to na niebo, to na ulicę. Zasiadał przy stoliku i brał mechanicznie książkę, którą przypadkiem była: *Théorie analitique des probabilités*, Laplace'a. Według niéj wypadało, że prawdopodobnie mógł najwięcéj przegrać połowę tylko tego co przegrał. Rzucał książkę, znów wstawał, chedził, pił całemi szklankami wodę, i ani myślał o spaniu.

Tak upłynął mu czas do wieczora.

Przed wieczorem wpadło do niego dwóch kolegów. Umyślnie używam wyrażenia «wpadło,» dla oznaczenia sposobu ich wejścia, podobnego do wpadania kuli armatniej, gdyby—rozumie się—kulę opatrzyć człowieczemi warunkami, to jest; nadać jej nogi, ręce, brzuch, głowę etc., które ona musiałaby chronić od rozbicia. Jeden z nich był

Karol, jedna ze znakomitości burszowskich, drugi Antek, liczący się do fryców podskubanych i oswojonych.

Jan przyjął ich z marsem na czole.

Karol, któremu podobało się wedle niemieckich podań manierować swoje burszostwo, wszedł w czapce na bakier i tył przechylonej i miał na ustach nutę niemieckiej piosneczki, którą stanąwszy przed Janem i pokazując kolejno na piersi to sobie to jemu, głośno i dobitnie zaśpiewał:

—«Alle schwarze Brüder
Leben so wie ich und du:
Sie legen sich besofen nieder;
Sie stehen auf und saufen wieder.
Alle schwarze Brüder
Leben so wie ich und du.« (1)

— Jak się masz, Jeżu!...— i wyciągnął prawicę do uściśnienia ręki.

Jan podał rękę w milczeniu.

Piosnka i widok Karola wesołego, zamaszystego i z takim jakimś na twarzy wyrazem, że zdawało się, jakby serce miał w oczach i na języku, od razu podziałały na niego w sposób odurzający. Kolega przynosił mu niby pociechę. Nie można więc było gniewać się na niego. Powitał przeto Karola, powitał i Antka.

Ten ostatni rumiany i delikatny panicz, zwany był zdrobniale *Antkiem*, dla tego szczególnie, że był bogaty i lazł w zepsucie z całą głupotą najlepszej wiary—zmuszał się, krztusił, ale lazł.

---

(1) Wszyscy czarni bracia, żyją tak jak ja i ty; idą spać pijani; wstają i upijają się znowu. Wszyscy czarni bracia żyją tak jak ja i ty.

— Dobre chłopczysko...— mówiono o nim—taki papinecik, a z taką mocą duszy!...

Po każdem np. upiciu się odchorował; ale nie zrażał się i wyzdrowiawszy, upijał się na nowo, przezwyciężając odważnie wstręt, jaki w nim sprawiał smród madery, francuzkich wódek, rumów etc. To samo było z graniem w karty i ze wszystkiem. Niepowodzenia nie psuły mu humoru. Kontent był ze wszystkiego, z kolegów i z siebie, nie narzekał na los i skubał osobno ojca, osobno matkę, osobno stryja, osobno jakąś starą ciotkę, których był po najdłuższem—«co daj Boże«—ich życiu, ogólnym spadkobiercą. Obok Karola był on żywym przykładem rozpustnej rezygnacyi, a w gronie innych, nieoszacowanym «dobrym chłopcem« mającym zawsze albo gotówkę, albo kredyt na usługi kolegów.

Jan powitał kolegów, lecz nie mógł zmusić się do uśmiechu.

— «Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!...»—rzekł do niego Karol. – Czegożeś taki kwaśny?...

— Zgrał się, biedaczek...—odpowiedział Antek.

— Wielka rzecz!... Czy to ty pierwszy albo ostatni?... Od stworzenia świata ludzie grają... Jedni wygrywają, drudzy zgrywają się... Fortuna kołem się toczy... I jakoś to idzie, bo iść musi, bo inaczej być nie może... Złe szanse przy stoliku spotkać mogą i nie przy stoliku... Wszędzie, w każdym momencie człowiek się ryzykuje... Stawiąc stopę na podłodze, może ją źle postawić, i nogę złamać... Pijąc wodę, może wypić odłamaną od siarniczka okruszynę fosforu i otruć się... Takie to, mości Jeżu, nasze życie na tym płaczu padole!... Czyż dla tego mamy kwasić się i smucić?..

— Co innego nabiedz na złą szansę przypadkiem... —odrzekł Jan—a co innego umyślnie jéj szukać...

— Cha, cha, cha!...—przerwał Karol.—Czyż ty jéj przy stosie szukasz? A!... Szukasz przyjemności, rozrywki, emocyi, przepędzenia czasu... na czém?... oto na zapasach z losem... Z losem!... uważaj!... to przeciwnik wcale dostojny... Bynajmniej nie wstyd być przez niego pokonanym a nader zaszczytnie dotrwać mu do ostatka... Bo zważ:

»Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety,
Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety,
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy...»

Jan uśmiechnął się na dźwięk doskonale znanych sobie rymów.

— *Victoria!*...—krzyknął Karol.—He!... ho! a widzisz!... Mickiewiczem w sedno ci trafiłem... Niech żyje Mickiewicz!...

I objął Jana za szyję.

Antek obejrzał się na drzwi, i jak echo powtórzył: Niech żyje... autor Grażyny!...

— Ależ ja...—wtrącił Jan, uwolniwszy się od uścisków kolegi—ani jednéj sztuki monety nie posiadam...

— Głupstwo!..—odparł Karol.—Czyż nie wiesz, że wedle zasad politycznej ekonomii, pieniądze reprezentują wszystko, i na odwrót, wszystko reprezentuje pieniądze... Wszystko bracie, można *skruszyć*, to jest w kruszec, w mamonę zamienić, byle tylko żył i był zdrów Paszczenko...

Paszczenko?..—rzekł Jan tonem pytającego zdziwienia.

Nazwisko to nieraz już obijało się mu o uszy, ale nie wiedział jeszcze co ono znaczy.

— Tak... on... nasz dobrodziéj.,.—ciągnął Karol—

który bierze w zastaw co masz: zegarek, prześcieradła, książki, poduszkę, mundur, płaszcz, koszulę, stosowany kapelusz, gatki, szpadę, szkarpętki, wszystko i dostarcza ci kruszcu w gotówce, po trzydzieści od sta na rok... Jest przytem cierpliwy i dyskretny, jak spowiednik...

— Poczciwy człowiek...—odezwał się Antek.—On mi wielkie oddaje usługi...

— Bierz zegarek i chodź!...—rzekł Karol, pociągając na sobie mundur i poprawiając na głowie czapkę.—Zastawisz go na trzy miesiące i odbijesz swoje.

Jan wahał się. Karol dodał:

— Chodź prędko, bo nie mamy czasu do stracenia... Musimy spieszyć na fundę, którą za bywsze twoje pieniądze sprawia Kaczor...

Ostatnie to powiedzenie o fundzie, o której Jan nie wiedział, w taki go jakiś ukłuło sposób, że poczuł potrzebę, bądź co bądź, mieć pieniądze. Może nadzieja odbicia się zadrżała w jego sercu, może w obec Kaczora nie chciał wyglądać jak upokorzony; może zachciał mieć pieniądze dla tego, iż trafiło do jego przekonania, że «nie zgrał się póki jedną ma sztukę monety,» może..... Lecz któż zdać w stanie sprawę z uczuć młodego człowieka, w którym namiętności jeszcze fermentują!... Dzieje się z nim jak z młodem winem, będącem w stanie mustu. Znasz winnicę i gatunek gron, wiesz z jakiemi zbierano je, tłoczono i do beczki zlano ostróżnościami, i z góry cieszysz się wybornością trunku—aż tu, jakiś promyczek obcego światła, jakiś strumyczek niewłaściwego ciepła, zakrada się niewiedzieć zkąd i jak, zapada jakaś czegoś okruszyna, i wino zamienia się na ocet lub rozsadza beczkę.

Na podobny wypadek zaniosło się z Janem, gdy on

wziął zegarek dany mu przez ciotkę na pamiątkę i udał się z Karolem do Paszczenka. Antek pożegnał ich:

— Do zobaczyska, na fundzie...

Do Paszczenka nie bardzo było daleko. Z nowego miasta, zeszli nasi dwaj studenci na Kreszczatik, wzięli się na prawo, niedochodząc do Łebedy zawrócili na lewo i weszli pod górę, pomiędzy domki mające przedmieściowy charakter. W jednym z tych domków, bardzo schludnym i zacisznym, otoczonym podwórkiem i przypierającym tylną stroną do wiśniowego sadku, mieszkał dobrodziéj studencki. Był w domu, jak zwykle: bo Paszczenko bardzo rzadko, chyba w niedzielę i uroczyste święto, podczas kiedy w parafialnéj cerkwi msza się odprawiła, nie bywał u siebie. Zresztą można go było zastać o każdéj dnia porze, latem, jeżeli nie na drzewnianéj zastępującéj przyzbę galeryi, to w sadku pod czeresznią, albo w pierwszéj izbie, będącéj skromnym ale bardzo porządniutkim bawialnym pokoikiem; zimą—zimą z pewnością w téj ostatniéj. Po obiedzie jednakże, chociaż zastawało się go w domu, ale był niewidzialnym, dla tego, że *oddychał*, to jest rozbierał się, kładł do łóżka i spał dwie z okładem godziny, w przeciągu których nikt z domowników za żadne nie zbudziłby go pieniądze. Dwie te godziny nazywały się *godzinką.*

Pod względem powierzchowności był to sobie człowiek niewielkiego wzrostu, grubawy, pucołowatéj, golonéj raz na tydzień twarzy, siwiejących włosów, siwych oczu i nader dobrodusznego wyrazu fizyognomii. Mówił łamanym i kaleczącym z ruska i polska rossyjskim językiem.

Jak sia macie gaspadin Karł...—rzekł, odpowiadając na Karolowe zapytanie.— Prywodyte meni, jak baczu, no-

woje znakomstwo... Zdrastwujte... zdrastwujte... Z dobrom pryjszli... A może choczete koje-szczo wykupyty?..

— Jeszcze nie...—odparł Karol.—Przyprowadzam wam, panie Paszczenko, przyjaciela mego, Jana Jeża, którego wam rekomenduję...

— Jeża!..—rzekł Paszczenko, okazując pewne, lekkie zadziwienie.—To i wy do mnie?... Uuu!.... Nie spodziewałem się przynajmniej tak rychło...

Jana zdziwiło to powiedzenie. Więc zapytał:

— Dla czego?..

Paszczenko ścisnął ramionami i odparł:

— Hm!... tak sobie...

A zwracając mowę do Karola, zapytał.

— Nie myślicie wy tam, panie Karolu, o wykupieniu tych zastawów, co to już trzeci rok u mnie leżą?... Tak długo trzymać, to czysta dla mnie strata... Zapłaćcie przynajmniej procenta, to będzie jakbyście na nowo pożyczkę zaciągnęli...

Karol zaśmiał się i machnął ręką, z giestem oznaczającym: nie dbam o to...

— Zróbcie z tém—rzekł—co wam się podoba, tylko wymawiam sobie ten portrecik...

— A... tę krasawicę... No... no... to ją na stronę odłożę, a resztę sprzedam...

— Sprzedajcie...

I znów obojętnie machnął Karol ręką.

— Czém-że mam panu Jeżowi służyć?..—zapytał Paszczenko.

— Pokaż mu zegarek...—rzekł Karol.

Jan zdjął z szyi zegarek i podał go Paszczence.

— A!.. antyk!..—powiedział Paszczenko, gdy nań tyl-

ko okiem rzucił.—Zapewne pamiątka... od... może... od... cioci...

— Zkąd o tém wiecie?....—zapytał zdziwiony Jan.

— Zkąd?.. hm!..—i uśmiechnął się zapytany dobrotliwie.—Z nizkąd... Ot... Zgaduję... Tylu do mnie przychodzi, a każdy coś przynosi, to od tatka, to od mamy, to od dziadunia, to od babuni, to nareszcie od cioci... Na was wypadło, że od cioci... no!.. to i dobrze... Wieleż wam za to dać?..—zapytał sam siebie.

I sam sobie odpowiedział:

Piętnaście rubli... Jeżeli przez trzy lata nie wykupicie, to sprzedam za trzydzieści..... Czy zgoda?...

— Zgoda...—odpowiedział za Jana Karol.

— Dam wam numer, który sobie do pularesu zapiszcie... Pod tym numerem będziecie składali wszystko co przyniesiecie...

To powiedziawszy wstał, wyszedł do drugiego pokoju i za chwilę powrócił z grubą pod pachą księgą. Usiadł przy stoliku, otworzył księgę, wpisał w nią Jana, ze szczegółowém wymienieniem daty, przedmiotu zastawu i ilości pożyczki, odliczył mu pietnaście rubli i podyktował numer:

— 28,946.

I rzekł:

— Pan jesteś dwudziesto-ośmio-tysięcznym dziewięćset czterdziestym szóstym moim dłużnikiem... Daj wam boże, na szczęście... Aby wam pożyczka na dobre *ta na tałan* się obróciła...

— Daj Boże...—dopowiadał Karol.—Ale panie Paszczenko, pokażcież też mnie ten portrecik...

— Czemu nie!..—odparł zagabnięty.

Wyszedł i wyniósł ślicznie w safian oprawne pudełecz-

ko, w którém za szlifowaném szkiełkiem zawierała się w złote ramki oprawiona miniatura.

— Moja kochanka... — rzekł Karol, odbierając z rąk Paszczenki pudełeczko i otwierając je.

Jan wyciągnął szyję z giestem ciekawości. Lecz Karol uchylił mu miniaturę z przed oczu i odwrócił się:

— Nie wolno...

— Chciałem wiedzieć, co myśléć o twoim guście... —powiedział Jan obojętnie.

— Niczego... niczego... — mówił Paszczenko, kiwając głową i mrugając na Jana oczami, w celu zwrócenia uwagi jego na Karola, który na stronie przypatrywał się miniaturze z komiczném zachwyceniem, przykładał rękę do serca i wykrzykiwał co chwila:

— Ach!.. ach!.. ach!..

— Musi to być z rodzaju jakichś Julek...— odezwał się Jan.

— Patrz!...— odparł mu Karol patetycznie i pokazał minaturę.

Jan spojrzał. Lecz ledwo okiem rzucił, oczy mu się otwarły szeroko, twarz przeciągnęła, a z ust wypłynęło powoli, z akcentem wielkiego zdumienia:

— Ona!..

— Czy ją znasz?.. cha, cha, cha!...—zaśmiał się Karol.—Powierzam wam, panie Paszczenko, ten mój skarb...

I zamknąwszy pudełeczko, oddał temu ostatniemu miniaturę.

— Czy ją znasz?..— powtórzył zapytanie.

Jan milczał. Po chwili westchnął.

— Och!.. jakże to czule!..— zawołał Karol.

— Ale chodźmy-no już, bo tam te bibuły gotowi powitać nas filozoficzną sentencyą: *tarde venientibus ossa*,

której sens moralny zawrze się dla nas w próżnych butelkach, co bynajmniej nie będzie zabawnem..... Czy nie tak, panie Paszczenko?..

— A tak... tak... — odpowiedział zapytany. — Och!.. wy *prokaznik* (figlarz)!..

— Wszak i pan nie lubisz próżnych butelek?...

— Ta-że, nie... ha!.. ha!.. ha!..

— A więc, bądźcie zdrowi!..

Paszczenko kolejném uściśnieniem dłoni pożegnał swoich dłużników, i wyprowadził ich aż na ganek.

Studenci nasi puścili się ku Kreszczatikowi.

Karol, jak zwykle wesół i nietroszczący się o nic, idąc to mówił, to z cicha coś nucił, to spoglądał z uśmiechem wewnętrznego zadowolnienia. Jan milczał i był jakiś ponury.

Korzystając z tego, że idą obok siebie, możemy porównać ich jednego z drugim. Nie byli oni bynajmniej jeden do drugiego podobni, a jednakże opis powierzchowności jednego można było zastosować do drugiego. Obydwa bowiem byli szatyni, mocno i kształtnie zbudowani, rysy ich twarzy były wyraziste i przytem takie, że niewłaściwém czyniły zapytanie: który z nich ładniejszy—Jan czy Karol?. — Przystojnym był Karol, przystojnym i Jan. Z ich postaci bił ten prawdziwie młodzieńczo-męzki wdzięk, który szczególniejszego nabiera uroku pod postacią żołnierza, w chwili szarży. Gdyby malującemu bitwę malarzowi potrzeba było młodych na przedstawienie tych, co to na czele, z wzniesioną do góry szablą lub z rozwiniętym sztandarem, prowadzą kolumny pod kul ulewą, to mógłby poprosić któregokolwiek z nich, aby mu jako model pozował. Różnica jaka, oprócz w rysach twarzy, zachodziła pomiędzy nimi, była ta, że Karol delikatniej ja-

koś od Jana wyglądał i był od niego o parę cali słuszniejszym. Różnicy wzrostu wcale dziwić się nie należy, gdyż bohater nasz o pięć czy sześć lat liczył mniej jak jego towarzysz, mógł więc mu jeszcze dorównać.

Takimi mniej więcej jak Jan i Karol, byli wszyscy zgromadzeni na fundzie: była to bowiem bliźnia jednéj matki dziatwa, wśród któréj płaskatonose Kaczory i papinkowate Antki stanowili wyjątki.

Długim okrzykiem powitali oni Karola i Jana. Okrzyk ten stosował się bardziéj do piérwszego, gdyż słychać było wyraźnie wołania:

— Karol!... Karol!...

— Daleko już zajechaliście?... — zapytał ten ostatni głośno, stając przy wysuniętym na środek i zastawionym butelkami, kieliszkami i szklankami stole.

— Dziesięć!... dwanaście!... Dwanaście!... dziesięć!... — odzywały się głosy.

Znaczyło to, że towarzystwo jest już po dziesiątym, albo dwunastym kieliszku.

— Hej!... dopędzaj!... maroderze!... nalewajcie!... hej!... gospodarz!... Karol i Jeż!... marodery!... —powtarzały się okrzyki.

Skutek tych okrzyków był następujący:

Na stole stanęło dwa szeregi kieliszków (w każdym szeregu po dwanaście), napełnionych wódką, rumem, dżinem i maderą, a przy szeregach, przy jednym stanął Karol, przy drugim Jan. Karol wziął piérwszy kieliszek, podniósł do góry i zawołał:

— Niech żyje fundator!... Oby mu się karty same tasowały!...

Odpowiedziano mu:

— Wiwat Kaczor!...

Kaczor uśmiechał się szerzeniem ust od ucha do ucha, co w kombinacyi z nosem czyniło twarz jego podobną nie wiedzieć do czego.

Karol jednym haustem wychylił kieliszek i postawił. I tak kolejno brał kieliszek po kieliszku, wnosząc przenajrozmaitsze toasty, na które odpowiadano mu bądź hucznym śmiechem, bądź okrzykiem: bravo!...

Wszystkie te toasty odnosiły się do przedmiotów zaczerpniętych z birbanckiego życia.

Gdy Karol skończył, zawołano zewsząd:

— A Jeż!... a Jeż!...

Jan wziął pierwszy kieliszek równocześnie z Karolem i podniósł do ust, lecz nie wychylił i trzymał go jeszcze w ręku. Coś mu go jakby odtrącało. Wspomnienie pierwszego upicia się budziło w nim wstręt. I byłby odszedł od stolika, a może i opuścił towarzystwo, gdyby nie zatrzymywała go dziwna jakaś potrzeba zagłuszenia czegoś, co się w nim wewnątrz odzywało — tego może, co pospolicie nazywają «robakiem», którego zalewanie stanowi jedną z głównych pijaństwa podniet. Trzymał kieliszek i wahał się. Śmierdziało mu. Cała atmosfera napełniająca izbę, w której pohulanka miała miejsce, była obrzydliwą. Wolałby w tej chwili świeżem oddychać powietrzem Bezsennica, głuszący hałas, śmierdzące wyziewy, a wreszcie może i ujrzenie owej miniatury w ręku Paszczenka, sprawiały w nim jakiś rodzaj nieprzytomności umysłu.

— Dalej Jeżu!...— wołano.— Naprzód!... Śmiało!...

Jan, jakby gwałt naturze zadając, poniósł do ust kieliszek, wychylił i zakrztusił się. Pochwycił natychmiast drugi i znów wychylił. Oczy mu krwią nabiegły. Chwytał kieliszki jeden po drugim z konwulsyjną jakąś niecier-

pliwością i wlewał je w siebie. Towarzystwo brzmiało okrzykami:

—Bravo, Jeż!... Zuch!... Chwat! *Maładiec!...*

Wychyliwszy ostatni kieliszek, cisnął go Jan o podłogę z taką siłą, że się niemal w proch rozsypał.

Towarzystwo zaintonowało w chór:

«Wypił, wypił, nic nie zostawił,
Nic nie zostawił....
Bodaj go, bodaj go Bóg błogosławił,
Bodaj go, bodaj go Bóg błogosławił.,.»

Pohulanka zwykłym poszła trybem i zwykłym skończyła się sposobem. Nie wszyscy wytrwać mogli do wykonania ostatniego paragrafu programu, bo nie wszyscy aż do końca utrzymać się byli w stanie na nogach.

Napróżno Kaczor zasiadał za stołem i wołał bełkocąc językiem:

— Atande!... panowie!... sztos fertig!...

Nikt nań nie zważał, a i zważać nie było na co, bo Kaczor nie tylko wczorajszą wygranę, ale i odegrane swoje cztery ruble włożył w fundę. W pijanej tylko wyobraźni wydawać mu się mogło, że trzyma bank.

Przy końcu więc niektórzy tylko ruszyli na kriesty; niektórzy zaś powlekli się na kwatery lub ciałami swojemi zalegli plac pobojowiska.

Najtrzeźwiejszym pomiędzy wszystkiemi był Jan. On jednakże nie dotrwał do końca. Po tuzinie kieliszków zakręciło mu się w głowie, ale ten tuzin był jedynym i ostatnim. Gdy go zaczęło rozbierać, poszedł chwiejnym krokiem do Karola i zapytał znienacka:

— Karolu!... ty kłamiesz?... Przyznaj się, ona nie jest twoją kochanką?...

Karol odpowiedział mu śmiechem.

Śmiech ten wniknął w półtrzeźwy umysł Jana jak szyderstwo, i sprawił na nim dziwnie przykre wrażenie. Raptem poczuł potrzebę samotności. Usiadł więc na stronie— posiedział, pomilczał — wstał i poszedł, rzucając pohulankę w najświetniejszéj chwili.

Jak on zasnął, po bezsenności nocy przeszłéj i świeżéj libacyi, o tém nie potrzeba pisać.

X.

Nazajutrz po fundzie Kaczora, wyspawszy się co się nazywa, oddał się nasz Jan rozmyślaniu.

— Jeżeli tak ma pójść dalej, to wolę pozostać sam, na boku, zasklepić się jak ślimak w sobie samym...— mówił do siebie: —Do czego to doprowadzi?... Zaspokoiłem ciekawość aż do zbytku, naraziłem się na kosztowne próby i tyle tylko zyskałem, żem poznał, iż cała przyjemność takiego życia zależy na głuszeniu sumienia...

Na zgłuszeniu sumienia i na niczém inném...— powtórzył po chwili milczenia.— Bo gdybyśmy nie grali w karty, nie pili, nie włóczyli się, to musielibyśmy czémś zapełnić nasz czas... Czémże naprzykład?... Nauką?... Sama nauka znudziłaby nas... Chociażby tylko dla rozrywki, wybiegalibyśmy myślą po za obręb nauki, w świat, w sferę przyszłych naszych obowiązków i z nich wiązalibyśmy rozmowy, które inaczéj zapewne, jak te wykrzykniki pijanéj radości byłyby przyjemnemi...

I długo myślał, chodząc po stancyi.

Raptem zatrzymał się, uderzył dłonią w czoło, jakby coś sobie przypomniał, i rzekł:

— Ona!... Ona i Karol!... takie dwie przeciwności!... Jeżeli to prawda, to szkodą jéj... wielka szkoda... On!... Czémże on jest?... Apostołem rozpusty... A ona!... Biedna dziewczyna!

Znów chodził i myślał.

Po niejakimś czasie usiadł i napisał list do ojca.

—«Drogi Tatku,

«Mówiłeś, że jesteś moim przyjacielem. Jako więc do przyjaciela udaję się do ciebie po dwie rzeczy. Naprzód: abyś był łaskaw, z pieniędzy które masz mi wypłacić w przyszłym roku, przysłał mi sto rubli i summę tę odciągnął od przyszłorocznej. Straciłem wszystko na próby i zaspokojenie ciekawości. Powtóre: proszę cię, mój tatku, o radę. Chcę sprobować, czy nie możnaby młodzież naszą zwrócić na drogę upamiętania i obowiązku. Jak się wziąść do tego?...»

Chorąży odpisał:

—«Żądanych sto rubli posyłam. Otwartość twoja dobrą mi daje otuchę. Nie bądź ciekawym zła, bo nic łatwiejszego, jak zaspakajając ciekawość, wleźć w nałóg po same uszy. Wszyscy pijacy i rozpustnicy od niewinnych zaczynali próbek. Jeżeliś grał w karty i zgrał się, to radzę ci: nie odgrywaj się.— Co się zaś tyczy twego zamiaru, pochwalam go z całego serca. Innéj ci jednakże rady dać nie mogę, jak tylko: abyś pamiętał kim jesteś i na co cię Pan Bóg stworzył. Jeżeli stosownie do tego urządzisz własne postępowanie, to nie wątpię, że pomiędzy kolegami twoimi znajdą się tacy, którym się ono podoba. Wziąwszy się za ręce, będziecie w stanie na innych,

na cały ogół wywrzeć wpływ bardzo zbawienny. Uprzedzam cię wszakże, że na téj drodze spotkać się musisz koniecznie z nieprzyjemnościami. Nie zrażaj się niémi. Idź synu i trwaj w dobrém. Gdy na téj będziesz drodze, niech cię Bóg błogosławi...»

Jan spodziewał się, jeżeli nie takiego jak po odłużeniu się w gimnazyum obejścia, to przynajmniéj ostrych i surowych ze strony ojca wymówek. Taki list jaki otrzymał, zdziwił go i rozrzewnił, i stał się jedną z głównych radykalnéj a natychmiastowéj zmiany postępowania pobudek.

Bohater nasz nie zamknął się, jak ślimak, na osobności, jak czynić zwykli zajęci wyłącznie sobą zarozumialcy, którym zdaje się, że inni nie są ich godni— na co zanosiło się, gdy powiedział po ostatniéj orgii:

Wolę pozostać sam...

Po otrzymaniu wszelako ojcowskiego listu, taką z tego frazesu wyciągnął konsekwencyę:

— Sam?... I cóżbym sam zrobił?... Toć w takim razie lepiéj byłoby nie wyjeżdżać z Hrynenek... Tam zastąpiłbym i wyręczył starego ojca, i gdybym to tylko robił co on, to wystarczyłbym sobie sam i zaspokoił odosobnione sumienie... To za mało... Sam ojciec mi powiadał, że młodém skrzydłem szerzéj zatoczyć i daléj trzeba sięgnąć.... A na tém szerszém przestworzu *sam* — jestem niczém....

Téj samej mniéj więcéj treści była spowiedź Jana na piaskach, pomiędzy Wetą a Kijowem. Rychłe jéj wznowienie dobrą było wróżbą.

Ze zmienioną niby naturą wszedł Jan znowu pomiędzy kolegów, wnosząc pomiędzy nich od razu silną zepsuciu opozycyę. Kiedy go namawiano na Kriesty, nie wymawiał się już strachem, ale odpowiadał:

Szkoda zdrowia.... Lepiéj zachowajmy je na co lepszego....

Kiedy namawiano go na pijatykę, do powyższéj odpowiedzi dodawał:

— Szkoda rozumu, który przygasa zalewany trunkiem.

Kiedy ciągniono go do sztosa, odpowiadał:

—Wyexpensuję uczucie na emocye gry i zajmę w społeczeństwie stanowisko dziurawego worka...

Perswadowano mu:

— Jeżeli nie chcesz ryzykować się w gry hazardowne, to naucz-że się przynajmniéj preferansika, dla rozrywki, dla zabicia czasu, na długie zimowe wieczory...

—Szkoda czasu...— była odpowiedź Jana.— Życie nasze krótkie... Roboty przed nami dużo... Jeżeli przeto na preferansiki, wiściki i sztosiki będziemy trwonili czas, to zabraknie go nam na ważniejsze rzeczy...

— Na jakie?...— zapytywano.

Tu Jan podnosił zadanie życia młodzieży, wielkie ciężące na niéj obowiązki, za które ona iest odpowiedzialną, i nie zrażał się ani sofizmatami Karola, ani dowcipami dowcipnisia, ani przykładami cynika. Powiadał:

—Każda najlepsza i najświętsza rzecz ma swoją słabą, ujemną stronę, za którą można ją potępić lub wyszydzić. Nie mniéj przeto jest ona zawsze świętą, i przyjemniéj, godziwiéj i zaszczytniéj jéj poświęcić zdrowie, czas, uczucie i rozum, niż trwonić je na nierządnice, kieliszek i karty...

Wystąpił przeto jako adwokat zdrowia, czasu, uczucia i rozumu, i popierał ich sprawę bardzo zręcznie, zręczniéj niż tego spodziewać się po nim było można. Bynajmniéj bowiem nie narzucał się z morałami, ale tylko odpierając zarzuty, jakie moralnemu prowadzeniu się czy-

niono, sam tak postępował, że wszystkie te zarzuty ściągnął na siebie. A jeżeli spotkał się gdzie z którym z większych zuchów lub apostołów zła, to nie wahał się, gdy tego potrzeba wypadła, bluznąć mu w żywe oczy obelgą. Już w ten sposób żartobliwego łotra nazwał bez ogródek durniem i z najzimniejszą w świecie krwią wypowiedział mu jego wartość i wyśmiał jego dowcipy. W gronie, w którém to uczynił, zdumienie stało się powszechném, że się na taką targnął znakomitość. Lecz w tém samém właśnie zdumieniu spoczywała w zarodku reakcya ku dobremu, którą Jan wywoływał zuchwalstwem swojém.

W spotkaniach z jednym tylko Karolem okazywał się jakby niby bojaźliwym. Wystrzegał się obrażać go, unikał starć z nim, i nawet rad z nim się wdawał. Byłoby to może trudném do zrozumienia, gdybym zechciał niepowiedzieć, że miniatura, którą on u Paszczenka widział, miniatura, według Karola, jego kochanki, była bardzo starannie zrobionym portrecikiem panny Zofii Otockiéj. Ile więc razy spotkał Karola, tyle razy panna Zofija na myśl mu przychodziła. Nie pytał go już o nią więcéj, bo mu ciągle brzmiał w uszach ten śmiech szyderski, którym mu na fundzie Kaczora na zapytanie odpowiedział. Dziwnym mu się wszakże wydawał zbieg następujących okoliczności: o pannę Zofiję stara się Albin; panna Zofija jest kochanką Karola; Henryk, brat rodzony panny Zofji, poznał się z Karolem dopiero w uniwersytecie. Wszystko to pachnęło jakąś ultra-romansową awanturą, nawiniętą około kobiety, dla któréj Jan zachował w sercu cześć, jak dla istoty wyższym na świat i życie obdarzonéj poglądem.

Cześć, nie miłość. W naszym wieku tak trudno się zakochać... Nasz wiek taki rachunkowy. Nam w chwilach piérwszéj młodości, jakaś Maryśka, jakaś pani Loli, albo

jakaś jeszcze gorsza, zbiera śmietankę uczucia, i potém jeżeli upieramy się jeszcze przy kochaniu, to rozprowadzamy je rzadkiém mléczkiem. Kochamy się... ot... dla tego, że to przecie wypada się kochać, że pomiędzy piętnastym a dwudziestym rokiem życia naszego, mamy tam jakieś do tego prawo. Kochamy się trochę z nałogu, trochę dla przepędzenia czasu, tak jak z tych samych także powodów czytujemy poezye i powieści. Ale kto, jak Jan, życie bierze na seryo, i wyexpensowawszy już raz kwiat uczucia, ma jednakże tyle dla płci nadobnéj szacunku, że nie chce jéj resztkami traktować, ten miłości romansowéj powiada: «bądź zdrowa!... nie spotkamy się już na tym Bożym świecie...» Można być jeszcze przyjacielem, ale już nie kochankiem, można zostać doskonałym mężem, wzorowym ojcem, ale nigdy kochankiem. Kochać się zaś po motylemu, jak to jeszcze bywa u niektórych we zwyczaju, jest to bawić się z nudów w westchnienia i zawracanie oczami. Nie mówię tego o kobietach, one dłużéj zachowują serca w niepokalanéj czystości. Ale my?... O!...

Przytém z nami bywa jeszcze tak: jeżeli który wpatrzy się w jaki cel, to celowi temu pali miłość na ofiarę i ubiera serce w habit, pod którym bije ono bądź dla wzniosłéj szlachetnéj idei, bądź dla poziomych, egoistycznych widoków.

Dla dwóch więc powodów nie kochał się Jan w pannie Zofii: raz dla tego, że co miał w sercu dla płci nadobnéj kochania, to wszystko już ulokował, jak kapitał na procenta u złego wierzyciela, i stracił i kapitał i procenta; powtóre, dla tego: że rozkochał się w celach dobra powszechnego, a zatem tamta miłość sprawiałaby dystrakcyę w téj; gdyby zaś chciał je jednę z drugą połączyć, to nie szczególnie mogłaby wyjść na tém i jedna i druga.

Odnosząc wszystko do owych celów, gdy poznał Jan pannę Zofiję, ta kobieta przedstawiła się mu jako naturalny mężczyzny sprzymierzeniec, pomagający mu i dopełniający go we właściwej sobie sferze: jako nieustająca podnieta— budząca go ile razy zdrzemnie, popychająca jeżeli na chwilę przystanie, przypominająca jeżeli zapomni, popędzająca go nieustannie, na drodze pięknych czynów wciąż naprzód i naprzód.

Taką wydała się mu panna Zofija.

— Bo nie w Arkadyi— myślał sobie żyjemy... Nie gruchania miłośnych gołębic, nie szczebiotania rozkochanych pasterek głaskać powinny nasz słuch i kołysać nas do roskosznych marzeń i usypiać.

Dziwił go przeto ten stosunek panny Zofii do Karola, i stanął mu w myśli, jak zagadka, której inaczej rozwiązać sobie nie mógł, tylko przypuszczając, że albo panna Zofija omyliła się na Karolu, albo poświęciła siebie dla niego, chcąc wydźwignąć z toni zepsucia.

Za tem ostatniem przypuszczeniem przemawiały wielkie, istotnie niepospolite zdolności Karola. Rzeczywiście, gdyby on dary, któremi z prawdziwie wielkopańską hojnością obdarzyła go natura, zechciał obrócić na dobre, to znakomitą zyskałby pomoc.

Na kredyt może tego przypuszczenia nie zrywał Jan z Karolem, i nawzajem, Karol miał dla bohatera naszego pewne względy, jakby uznawał lub podejrzywał w nim jakąś śmielszą wyższość umysłową. Dwaj ci młodzi ludzie mieli się do siebie, jak dwaj z różnych obozów, ale szanujący się wzajemnie nieprzyjaciele, którzy jeden drugiego na swoją radziby przeciągnąć stronę.

Tak stały rzeczy, gdy skończył się pierwszy semestr i i nadeszły zimowe wakacye. Wielu studentów wyjechało

do rodziu, ale ci, którym było daleko, pozostali w Kijowie. Jan był z liczby tych ostatnich. Zaproszonym on był wprawdzie raz na zawsze do państwa Otockich; lecz bez ponowienia zaprosin nie myślał z tego korzystać, a to dla tego, że jakoś, niby rozszedł się z Henrykiem. Nie zerwał on z nim, ani się poróżnił, ale w Kijowie ustała pomiędzy nimi ta nierozłączność, jaka panowała w Niemirowie. Wsiąknęli w dwie różne sfery.

Jan wsiąknął w towarzystwo czysto-studenckie i puścił się na doświadczenia. Henryk zamieszkał u wuja, pana Dolańskiego, trudniącego się adwokaturą, i wszedł w świat etykietalny, w towarzystwo dobrego tonu, które przypadło mu do gustu i od którego nie mógłby się oderwać dla doświadczenia na sposób Janowy. Pochodziło to z tego głównie powodu, że Henryk w temperamencie swoim miał inklinacyę do wielkoświatowego porządku. Rozumiał on piękno i dobro, zachwycał się poświęceniem, oburzał podłością, gotów był należeć do wszystkiego co zacne i stronić od zła, i jeżeli miał do wyboru, to wybrał zawsze lepsze; ale należał przytem do tego rodzaju ludzi, którzy sami nie są w stanie stworzyć dobra ani zła, dla których potrzeba aby jedno i drugie było gotowem, i, że tak powiem, podanem im do wybrania. Dodatnią stroną Henrykowego charakteru było jedynie to, że się prędko decydował. Z tego powodu, gdy przedstawił mu się taki do rozwiązania dillemat: albo brnąć z Janem w błocie doświadczeń, albo wejść w sferę świata dobrego tonu, w przyzwoite towarzystwo— odsunął się od przyjaciela i wybrał to ostatnie. Miał pomieszkanie bardzo porządne, składające się z saloniku, gabinetu do pracy i sypialnego pokoju, trzymał lokaja, nosił świeże rękawiczki, oddawał i odbierał wizyty, uczęszczał na herbaty, wieczory i kon-

certa, na których nie spotykał się z Janem, pomimo że probował wciągnąć go na nie. Jan odkładał zawsze na później i nie szedł. Henryk wiedział co on robi i żałował go, ale nie śmiał wręcz powiedzieć mu:

— Gubisz się...

W ciągu pierwszego półrocza, pani Otocka z córką kilkakrotnie odwiedziły Henryka i za każdą bytnością dopytywały się o Jana, ale się z nim nie widziały. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, panna Zofija w dopisku przypomniała bratu:

— «A nie zapominaj, że macie przyjechać we dwóch. Pan Jan Jeż pamięta zapewne o danem słowie.»

Henryk poszedł z tym listem do Jana, i pokazawszy mu dopisek siostry, zapytał:

— Jedziesz?...

— Jadę...— odparł Jan.

Dla Henryka odpowiedź ta była niespodzianką; zdawało mu się bowiem, że usłyszy, jak zwykle:

— Niechaj-no... później... teraz nie mogę...

Nie mógł więc ukryć radości.

— Wielką— rzekł— przyjemność sprawisz rodzicom moim i siostrze, i sam pozabierasz znajomości, których, mój drogi, nie będziesz żałował...

— Jakie?...— zapytał Jan lakonicznie.

— Poznasz się z ojcem moim i wujem... Poznasz moją wujenkę i jej córki... Przyjadą bracia moi z żonami i siostra z mężem... Poznasz moich synowców i synowice, siostrzeńców i siostrzenice... Będzie i Albin... Ale znajomość, z której najbardziej będziesz kontent, będzie.... zgadnij z kim?...

— Z kim?...— zapytał nasz bohater.

— Z Józefem Ambrożym Porońskim...

Jan usmiechnął się, bo jakkolwiekbądź, zawsze jednakże bardzo jest przyjemnie i podchlebnie poznać osobiście jakąś znakomitość. Ale powiedział:

— Toż nas tam będzie za dużo... Rodzice twoi doświadczą subjekcyi...

— Żadnéj.. najmniejszéj...— odrzekł Henryk pospiesznie.— Mamy dom bardzo obszerny, usługę liczną i zręczną... Rodzice moi mogliby cztéry razy tyle ludzi przyjąć, pomieścić i ugościć, i jeszcze nie mieliby subjekcyi... A przytém, trzeba żebyś wiedział, że u nas jeszcze po staremu: «gość w dom, Bóg w dom.»

I tak było w saméj rzeczy. Państwo Otoccy słynęli z gościnności, takiéj serdecznéj i miłéj, że kto wpadł do Łąk, to nie chciało mu się ztamtąd wyjeżdżać. Stawał się jeńcem z dobréj woli, bo w Łąkach było jak w raju. Bo to i położenie wsi— w jarze, w którym sączył się wpadający do Dniepru strumień, nad którym w malowniczym nieładzie rozłożyły się pola, lasy łąki i skały— pachło naddnieprską okolicą, i dwór pod słomianą strzechą wiał z daleka staroświecką uprzejmością, i gospodarstwo byli radzi.

Dwór łąkski miał tę pod względem powierzchowności szczególność, że nie można było powiedzieć jakiego on kształtu; pierwotnie bowiem był podobno podłużnie-kwadratowy, ale w miarę jak rodziły się i podrastały państwu Otockim dzieci, dobudowywano pokoje i pokoiki z rozmaitych stron, w zygzaki, w labirynt, w linije łamane, bacząc na to, aby nie pozasłaniać okien i nie pozabudowywać drzwi. Działy się więc z dworem tym przenajrozmaitsze metamorfozy. Co parę lat, zewnątrz i wewnątrz wyglądał inaczéj. Dla wzniesienia ścian zewnętrznych, rozwalano wewnętrzne; dla przybudowanta dwóch pokoi, ro-

biono z trzech jeden. Doszło nakoniec do tego, że były dwa ogromne salony, jeden pokój bawialny a większych i mniejszych pokoików i klitek co nie miara, nie licząc w to officyn, w których także przybudowano kilka izb, zwanych pokojami kawalerskiemi. Pan Otocki miał zwyczaj każdego świeżego gościa po całym oprowadzać domu i opowiadać historyę wszystkich przybudowań, dodając często:

— Już to przyznać się muszę, że urodziłem się z passyą do architektury...

Skutkiem téj passyi, w Łąkach nieustannie coś się budowało, przebudowywało lub przybudowywało, a zawsze według planu i pomysłu samego pana. Przebudowywaniu najczęściéj ulegała sekretna kancellarya, która w dwudziestem przynajmniéj miejscu już stała i dwudziestą formę nosiła. Najdłużéj wytrwała ona pod postacią sąga drew, a ostatecznie przybrała kształt chińskiéj pagody, i pod tym kształtem ukryła się za krzakami róż.

Z Kijowa do Łąk było trzy mile. Przyjaciele nasi, przy pomocy wybornéj sanny i dzielnéj czwórki, zaprzężonéj wściąż do łubianych krytych sani, przebiegli tę przestrzeń w trzy niespełna godziny.

Henrykowa rodzina powitała Jana, jakby należał do ich grona. Pan Otocki, który po raz piérwszy widział naszego bohatera, wyściskał go i wycałował, jak starego znajomego.

Przyjechali po obiedzie. Ale że się ich spodziewano, więc zaledwie wyprostowali się po trzygodzinnem siedzeniu w budzie, już zastawiono dla nich zawiesistą polewkę piwną na rozgrzanie i bifsztyk z kwaszonemi ogórkami na oszukanie głodu.

—Jedzcie chłopcy...— namawiał pan Otocki, kiedy już

akademicy nasi doskonale sobie podjedli—bo to przejażdżka na mrozie daje apetyt, a do kolacyi jeszcze daleko...

— Dziękuję...— odpowiadał to Jan, to Henryk — nie mogę...

—Co to, nie mogę!... nie wierz gębie, kładź na zębie... No!... podziękowawszy.... Więcej nic już nie dostaniecie, tylko ten jeden bifsztyczek, a to nie jedzenie...

A gdy zmogli bifsztyk, pojawiła się potrawka z kury, a potém przygrzane pierożki, a potém (z powodu adwentu) ryba smażona, a potém jeszcze coś, i jeszcze coś. Pani Otocka z jednej, pan Otocki z drugiéj strony pilnowali a namawiali, za każdém daniem zaręczając, że to już ostatnie i przy każdém wmawiając, że tém się nie najeść a tylko oszukać można żołądek.

Panią znamy już trochę. Pan dobrał się do niéj, jakby jedno dla drugiego umyślnie byli stworzonemi. Tytułowano go sędzią, nie tylko dla tego, że kilkakrotnie sprawował ten urząd, ale bardziéj, że nader często występował jako arbiter, albo superarbiter w sądach polubownych, i miał szczególniejszy talent godzenia powaśnionych stron. Znano go w całéj Kijowskiéj gubernii, ale bliżéj w Kijowskim, Wasylkowskim i Radomyślskim powiatach i mówiono o nim, że więcej miał w obywatelstwie zasług, jak na głowie włosów. Mówienie to zakrawało trochę na uszczypliwość, bo pan Otocki nie miał wiele włosów na głowie, był bowiem łysy. Na całém ciemieniu, jak na kolanie, ani jednego nie posiadał włoska. I nie było mu z tém źle. Od téj łysiny twarz jego nabierała wyrazu nagiéj szczeroty i dobroduszności, i wyraz ten — dodać należy — nie był ani na jotę kłamliwym.

Gdy się akademicy nasi najedli, pan Otocki odezwał się do Jana:

— Jeżeliś głodny, toś sam sobie winien... Namawiałem... nie słuchałeś...

Jan tłómaczył się, że więcej nawet za karę nie potrafiłby jeść.

—No... no... nie tłómacz się...

I zapytał:

— Jakże ci się Łąki podobają?..

— Przysypane śniegiem.... Latem ładnie muszą wyglądać...

—Hm!... szkoda... Gdyby nie zima, pokazałbym ci wiele rzeczy, które zapewne przydałyby się tobie, bo ty tam na matematykę chodzisz, to znasz się na architekturze...

— A mój domek?... A!... — wykrzyknął z żalem — Kiedyż to zima!... Ale mogę ci wewnątrz go sprezentować... Chodź!

I poprowadził bohatera naszego z pokoju do pokoju, zatrzymując się często i rozpowiadając:

— Kiedyśmy się z żoną moją pobrali, poczęły się nam rodzić dzieci... Urodził się Kazimierz, potém Paulinka... Przybyło kołysek, mamek, nianiek, krzyku... Trzeba było się rozszerzyć... Co tu robić?... Budować nowy dom, nie sztuka; ale sztuka doczekać się go... Więc ja po rozum do głowy... Obszedłem dom do koła, skreśliłem planik i natychmiast do roboty... My sobie po staremu mieszkali, a za ścianą budowało się... A gdy się skończyło, wyprawiłem żonę z dziećmi na kilka dni do Kijowa, kazałem w ścianie wybić drzwi; zalepiono, zasmarowano i miałem gdzie wygodnie się pomieścić... Oto tu były te trzy pokoje przybudowane... Teraz tu salon?... Widzisz?... Przypatrz-no się gzymsom... A co?...

Jan popatrzył na gzymsy i kiwnął głową na znak zadowolnienia.

— Z tych trzech pokojów musiałem zrobić salon, gdy Paulinka dorosła... Ale pierwej, chodź-no...

I przeszedłszy do innego pokoju, ciągnął dalej:

— Gdy mi przybył Włodzimierz, a potém w pięć lat Zosia, to już do Kazimierza trzeba było nauczyciela, a dla Paulinki guwernantki... Więc, jakże tu pomieścić się z nauczycielami, guwernantkami, z mamkami, niańkami, kołyskami, fortepianami, tablicami, krzykami?... Więc ja, nic nikomu nie mówiąc, sprowadzam cieśli, mularzów, drzewo, kamień, cegłę, glinę, wapno i golę cztery pokoje, dwa z tej, a dwa z tamtej strony... i mierzę wszystko wygodnie... Wówczas i w oficynach przybudowałem jeden pokój a dwa które tam były, przerobiłem na trzy...

Szedł dalej i mówił:

— Gdy Zosia dorastała, tamte dwa pokoje przerobiłem na jeden, a te pozostały jak były... Z tamtemi miałem kłopot, w jednym podłoga była wyżej, w drugim niżej... Jak tu zrobić?... Czy tam zniżyć, czy tu podłożyć?... Więc musiałem w jednym zniżyć a w drugim podwyższyć... No, jakże ci się podoba?...

— Bardzo...— odparł Jan.

Pan Otocki uśmiechnął się z zadowolnieniem.

— A oto— rzekł idąc dalej— pokój mojej żony... Tu był przedtém bawialny; ale że trzeba było przechodzić przez sień, więc sień skasowałem, pokój bawialny przeniosłem obok sali jadalnej a palnąłem przepierzenie, przebiłem drzwi i z sienią zrobiło się trzy pokoje... Aż jak mi Paulinka dorosła i Zosia potrzebowała guwernantki a Włodzio nauczyciela, więc znów kłopot... Znów musiałem restaurować i dobudowywać do domu i do oficyn... Bo tu, jak na toż, jeszcze i Henryk przybył, więc i kołysek, mamek, nianiek nie można było wyrzucać...

— Wówczas to — powiedział przechodząc do innej izby — przybyło te dwa pokoje, a reszta pozostała nietknięta...

A przekraczając próg nowy, rzekł:

— A oto pokoik Zosi...

Gdyby pan Otocki tego nie powiedział, to bohater nasz z pewnością domyśliłby się, do jakiego wkracza przybytku.

Łatwoż bo takich rzeczy domyślić się... Przypomnijcie sobie, łaskawi czytelnicy (nie czytelniczki), gdy, kiedyście kończyli ośmnaście lat, zdarzyło się wam po raz pierwszy wejść do pokoju ładnej panienki. Czy nie roztwierały się wam nozdrza mimowolnie, dla ciągnięcia jakiegoś zapachu?... czy nie rozszerzały się wam oczy, dla dojrzenia czegoś tajemniczego?... czy nie puszczały się wasze pulsa w szybsze tętno, nie wiedzieć dla czego?...

Na wyrazy «pokoik Zosi», Janowi raptem zapachło, zajaśniało i zatętniało. Obejrzał się do koła.

Pod ścianą stało mahoniowe łóżeczko, przysłonięte kotarą, przez którą przebijała się czerwona kołderka i białe jak śnieg prześcieradła i poszewki. Pomiędzy dwóma oknami stała palisandrowa gotowalnia, lekką, zgrabna, gustownie rzeźbiona, ale bynajmniéj nie zawalona gotowalnianemi przyborami. W ogólności, w tym pokoiku mało było widać strojowych zapasów. Nad łóżeczkiem wisiał obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj, a przy łóżeczku stał niewielki stolik z lampą zasłoniętą ekranikiem z ruchomym pulpitem, na którym spoczywała rozłożona do czytania książka. Duża zamknięta szafa i komoda zawierały zapewne suknie i bieliznę. Na komodzie leżało kilkanaście nowiutkich książek, snadź niedawno sprowadzonych, bo pomiędzy niemi było jeszcze kilka nieporozcina-

nych. Na ośmiogrannym podłużnym stoliku, przed niewielką, wygodną postawionym kanapą, leżały krosienka i stał koszyk z włóczkami i *necessaire* z narzędziami do kobiecych robótek, a pomiędzy temi sprzętami wyglądały trzy książeczki, pootwierane i rzucone od niechcenia, jakby krosienkowa robotnica, dzierzgając na kanwie, kładła niekiedy w zamyśleniu szydełko, zawieszała robotę i od niechcenia sięgała ręką po jednę z nich. Przed jednem z okien wznosiło się na stopniach kilkanaście wazoników z różą miesięczną, z których jedna tylko-co odkwitła, druga kwitła, a trzecia była na rozkwitnięciu. Snadź róże te tak były dobrane, aby jedna zawsze świeży miała kwiatek. Za różami, obok okna, wisiała klatka z kanarkiem.

Pokój był obszerny, więc wszystkie sprzęty mieściły się w nim bardzo swobodnie i na środku dużo było miejsca. Nazywał się on zdrobniale *pokoikiem*, dla tego zapewne, że służył za mieszkanie panience.

Jan obejrzał się po pokoiku, pomilczał przez chwilę i lekko westchnął. Lecz wnet zarumienił się, jakby ze wstydu przed sobą samym za własne westchnienie, i machinalnie sięgnął ręką po książkę na stoliku z krosienkami, wziął ją.

Zaledwie jednakże zdołał rozpatrzyć się w tych książeczkach, usłyszał głos pana Otockiego:

— Chodź-no tu, do okna!... patrz!...

Jan podszedł i przez wpółzamarznięte podwójne szyby puścił oko w kierunku, w jakim mu pan Otocki palcem pokazywał.

—A co, widzisz?...

—Widzę, ogród... Drzewa szronem okryte...

—Ale, nie!...—przerwał pan Otocki.— Nie o to cho-

dzi... Tam w głębi ogrodu, za różanemi krzakami, przy końcu alei, czy widzisz budynek?...

Jan przypatrzył się i odrzekł:

— Widzę...

— Zgadnij co to jest?...

Jan przypatrywał się. Widne mu były kształty wysmukłe, z których nie umiał sobie zdać sprawy. Więc na chybił-trafił odpowiedział:

— Gołębnik...

— Masz go!...— podchwycił żywo pan Otocki.— Któż widział kiedy gołębnik w kształcie pagody chińskiej budować!... Czyż nie widzisz wyraźnie kształtów pagody?

Po podpowiedzeniu poznał Jan rzeczywiście pagodę. Więc odrzekł:

— Widzę...

— A!... jakże się tobie zdaje?... co to jest?...

— Altana... Świątynia dumania...

— Doskonale!... Cha, cha, cha!... — i śmiał się pan Otocki. — Świątynia dumania!... Muszę o tém nowém *qui pro quo* żonie powiedzieć... Już nie jeden się oszukał, gdy chodząc po ogrodzie, zaszedł tam spocząć i podumać... To mi się wybornie udało!... To mój własny wynalazek... Połączyłem w nim piękność z wygodą, estetykę z praktyką... Bo trzeba żebyś wiedział, że mam passyę do architektury... Jutro pokażę ci jeszcze co innego: fronton karczmy i kolumnadę przy stodole.... Bo to nie sztuka budować kiedy są materyały, kamienie, marmury, porfiry; ale budować bez materyałów, to mi sztuka!... Chodźmy daléj...

Tak obeszli wszystkie kolejno pokoje, nie pomijając garderób i garderóbek, sieni i sioneczek, rozliczne mających znaczenia i przeznaczenia.

Słuchając historyi budownictwa łąkskiego dworu, do-

wiedział się Jan ze wszystkiemi szczegółami o familijnéj historyi jego mieszkańców. Szczegółów tych jednakże nie będę powtarzać. Poprzestańmy na tém, żeśmy zabrali znajomość z panem, z panią, a szczególnie z panną.

Z téj ostatniéj znajomości bardzo był nasz Jan kontent. Obejrzenie jéj pokoiku dziwny na niego wpływ wywarło i wynagrodziło mu sowicie całe nudy, jakie mu sprawiła historya architektoniczna dworu, któréj zaledwie połuchem słuchał. Trochę naiwna szczerota pana Otockiego podobała się mu. Niepodobała się mu jednakże jego drobiazgowość.

— Czy ten dobry i uczciwy człowiek— myślał sobie— posiadający takie w obywatelstwie znaczenie, nie ma nic lepszego do myślenia i robienia!...

— Wziąwszy się bowiem— myślał daléj— w położeniu naszém do przyozdabiania gniazd naszych, prędzéj późniéj skończyć musimy na stawianiu i przestawianiu głupstw, bo do nich ostatecznie redukuje się sens ozdób, któremi w dobréj wierze, jako naszemi, cieszyć się możemy. I ten zacny człowiek nie zastanawia się nad tém!... Ależ panna Zofija!...

Przysiadł Jan do panny Zofii i w taki ją zaczepił sposób:

— Pani się dobrze bawi...

— Co pan pod tém rozumie?...— zapytała panna.

— To, że w dobrém pani towarzystwie czas spędza...

— Z mamą, z papą, i niekiedy z gośćmi, którzy nas często nawiedzają i których bardzo lubię...

— Z panem Adamem, z panem Julianem i z panem Zygmuntem...— podchwycił Jan.— Byłem w pokoiku pani i oglądałem robotę na krosienkach...

— I założę się, że nie wiesz pan co robię...— rzekła panna wesoło.

— Nie wiem... — odparł Jan. — Ale za to wiem kto pani pomaga...

— Głównym moim pomocnikiem jest pan Albin... On to zasila mnie temi cudnemi rzeczami... Czy pan to zna?..

— Nie wszystko...

— Albin przypomniał Janowi Karola.

— Winszuj-że pan sobie, żeś się zdecydował do nas przyjechać... A już myślałam, żeś o nas zapomniał, żeś się nas wyrzekł?... Co to, nie zabrać znajomości z mojém wujostwem!... nie odwiedzić nas w Kijowie!... To nie ładnie!...

Niech się pani nie gniewa...— zaczął Jan tłómaczenie, któremu nie wiedział jaki dać obrót. Lecz mu panna Zofija przerwała:

— Nie gniewam się, i na dowód podzielę się z panem wszystkiém co mam...

— Pani!...— podchwycił Jan tonem upokorzenia.

— Podzielę się z panem wszystkiém — ciągnęła panna Zofija— pod warunkiem, abyś to rozpowszechnił... Bo mnie, gdy się karmię sama, wydaje się żem egoistka, że podobną jestem do pensyonarki, która dostawszy cukierków, chowa się w kącik i zjada je z pod rękawa, oglądając się aby koleżanki nie widziały...

Janowi dziwnie się około serca zrobiło. Panna Zofija wydała się mu jakoś jaśniejszą i piękniejszą. Milczał i myślał przez chwilę.

— Pani masz brata... Henryka...— rzekł przerywając milczenie...

— Czy pan się wymawiasz?...— zapytała panna Zofija, wpadając niejako w sens Janowego powiedzenia.

— Nie!... o! nie!...— zawołał Jan.— Nie w tém powiedziałem znaczeniu... Zdziwiło mnie, dla czego pani mnie nad brata przekładasz...

Dostrzedz można było lekkie na pannie Zofii zmieszanie. Jan zrobił jéj zarzut bez ogródek, na który bez ogródek należało odpowiedzieć.

— Nie wiem...— odparła.— Nie wiem... Nie umiałabym jasno wytłómaczyć się przed panem... Od piérwszego poznania się naszego natchnąłeś mnie pan dziwną ku sobie ufnością, jakbyś był mi bliższym od Henryka....

Któż to na miejscu Jana, usłyszawszy takie wyznanie, nie pomyślałby, że panna zagięła na niego parolik!... Albo któż nie pomyślałby, że natchnął ją raptowną ku sobie miłością!... Któż nie odpowiedziałby jéj jakimś stereotypowym komplementem, popartym czułém spojrzeniem i westchnieniem!... Jan zaś nic nie odrzekł, ani westchnął, tylko sobie ręką potarł czoło. Panna mówiła daléj:

— Ile razy byłyśmy z mamą w Kijowie, wyglądałam pana z niecierpliwością... Dopytywałam się o pana... Pod rozmaitemi pretekstami chodziłam po mieście, szukając spotkania... Chciałam nawet iść do pana sama... Chciałem pisać... Ale mówiono mi, żeś się... się...

Tu zacięła się, jakby jéj brakło wyrazu.

— Rozłajdaczył...— podpowiedział Jan.

— Miałożby to być prawdą!...— zawołała panna Zofija z akcentem przerażenia i zmierzyła Jana dziwnym od stóp do głowy wzrokiem.

Było... prawdą...— odparł Jan.

Panna popatrzyła na niego z wyrazem żalu i usta jéj zadrżały niby strachem.

Rozmowę tę przerwała Pani Otocka wezwaniem do herbaty.

Przy herbacie panna Zofija była smutna i zamyślona. Jan był także zamyślony i tak roztargniony, że często ni w pięć, ni w dziewięć odpowiadał panu Otockiemu, który rozpowiedziawszy najprzód *qui pro quo* o świątyni dumania, zawiązał dyskurs o sławnym jakimś procesie, zakończonym tém, że obie strony wygrały.

Po herbacie dyskurs ze zmienioną treścią ciągnął się do kolacyi i zmieniwszy znów treść przewlókł się do dziewiątej godziny. Jan i panna Zofija nie mieli sposobności wznowić przerwanéj rozmowy. Dziesiąta rozwiązała towarzystwo. Oddano sobie «dobranoc». Każdy udał się na spoczynek, pan i pani do swoich pokojów, Henryk z Janem do oficyn, panna Zofija do swego pokoiku.

Pójdźmy do téj ostatniéj i zadajmy sobie następne pytanie:

Dla czego ona, rozebrawszy się z sukienki, zarzuciwszy na siebie szlafroczek, i uwięziwszy warkocze pod nocnym czepeczkiem, uklękła przy łóżeczku, złożyła ręce, wzniosła oczy do Matki Boskiéj i zamiast zwykłych słów pacierza, taką odezwała się modlitwą:

— I ten ginie... Panie, ratuj go!... Panie, podaj mu rękę i wydźwignij z toni!... Matko Zbawiciela, osłoń go twoją macierzyńską opieką!... Niech on stanie się naśladowcą syna twego, i jak on, twój Jezus, wyznawcą i rozpowszechnicielem prawdy. Panie! Panie!... ratuj go!

Przez chwil kilka usta jéj cichym poruszały się poszeptem, z oczu łzy płynęły. I popłynęła skarga:

— Czemuż my tacy nieszczęśliwi!... Czemuż, zaledwie znajdzie się ktoś co sercem i głową nad innych wystrzeli, natychmiast zepsucie jad do serca mu wsącza i głowę nachyla i czyni go niedołęgą lub występnym?...

Łatwo domyślić się, że owo «on» odnosiło się do na-

szego Jana. Można więc wnioskować, że panna Zofija kochała go, ale... jaką miłością!...

Następnego dnia zajść musiało pomiędzy niemi wzajemne porozumienie, bo panna Zofija powróciła do zwykłéj wesołości, a Jan przestał być roztargnionym.

Przyszło później do takiej zażyłości, że nieraz, w ciągu tych kilku dni, które upłynęły przed wigilią Bożego Narodzenia, dwoje tych młodych ludzi znaleźć można było razem, w pokoiku panny Zofji, niekiedy w towarzystwie pana i pani Otockich i Henryka, niekiedy samych. Rozmawiali ze sobą, albo panna szyła na krosienkach a Jan głośno czytał. Czytywał często, po raz może setny, rzeczy doskonale znane, a pomimo to bywały chwile, w których czytelnik i słuchaczka tak zachwycali się temi znanemi rzeczami, że aż oboje ze wzruszenia płakali. Jemu głos drżał i wyrazy więzły w piersiach. Ona wpatrywała się w niego mokrém, błyszczącém okiem i zapominała o krosienkach.

Te literacko-pogadankowe posiedzenia przerwała wigilia Bożego Narodzenia.

Do łąkskiego dworu zjechało się dużo gości. Przyjechali: pani Paulina z mężem, i pan Kazimierz i Włodzimierz z żonami, a z niemi tuzin bez mała obojéj płci dzieci. Przyjechali państwo Dolańscy z dwiema córkami na wydaniu. W sam dzień wigilii zjechał pan Józef Ambroży. A w chwili gdy pan Otocki chodził z opłatkiem i barszcz z grzybkami i uszkami pachł już na okrytym sianem i zastawionym struclami, pierożkami i knyszykami stole, trzaskanie z bata i podzwanianie krakowskich dzwoneczków oznajmiło Albina.

W łąkskim dworze zrobiło się ludno, gwarno i wesoło.

Nie będę opisywał szczegółów świątecznych. Powiem

tylko, że czas zbiegał szybko, urozmaicony gawędkami, rozrywkami i zabawami, które się zmieniały, ale nie wyczerpywały. Niekiedy we dnie organizowano szlichtady. Wieczorami same, niechcący, zawięzywały się tańce i gry. Od drugich świątek począwszy, nie było dnia, aby ktoś z sąsiedztwa nie przyjechał i nie wnosił nowych dodatkowych towarzystwu żywiołów, które i bez tych dodatków były dość rozmaitemi, a w rozmaitości swojej harmonizującemi ze sobą. Składały się bowiem — w części niewieściej: z dwóch poważnych matron, z trzech młodych mężatek i trzech wykształconych i ładnych panien; — w części męzkiej: z jednego szanownego starca, z trzech młodych żonatych obywateli, ze znakomitego adwokata, ze znakomitego literata, z młodego obywatela na ożenieniu i z dwóch akademików. Więc, o czémkolwiek rozmowa się zawiązała, to wszystkich interesowała, gdy się zabawa uorganizowała, to wszyscy brali w niej udział.

Domyśli się zapewne czytelnik, że pana Józefa Ambrożego otoczono od razu, jak przystało, szacunkiem i niemal czcią. Nieraz się zdarzało, że on sam zabierał głos i towarzystwo całe na jego ustach zawieszało słuchy i pożądliwie łowiło każdy jego wyraz, a jeżeli się kto odezwał, to dla tego chyba, aby potwierdzić jego zdanie, lub dać mu wątek do nowych wywodów. Działo się to zwykle w razach, gdy potrącono o kwestyę cnót publicznych lub obowiązków społecznych. Była to woda na koło pana Porońskiego. Miodopłynnie wykładał on swoje zasady życia «poczciwego, po bożemu», i zastosowywał je do literatury, do nauk, do obchodzenia się wyższych z niższymi, do obywatelskich i sąsiedzkich stosunków, do kościołów, do pamiątek, słowem — do wszystkiego. Nie będę powtarzał jego zasad. Któż ich nie zna!... Kursują one pomiędzy

nami dotychczas, jak najlepsza moneta. A komu nie dość jeszcze są jasne, niech przypomnieć sobie raczy wizytę, jaką ten mąż mnie zaszczycił, którą w drugim rozdziale niniejszej powieści opisałem.

Wszyscy słuchali pana Porońskiego z pewnym rodzajem skruchy. Uznawano niejako w jego osobie kapłaństwo, o którém on dość często, w odniesieniu do literątury, wspominał. Albin powtarzał:

—Oto mówi!... aż miło!... Trafia do przekonania, jak kulą w płot... Gdyby go wszyscy chcieli posłuchać, to dalibóg-że! zrobilibyśmy sobie raj na ziemi...

Było to zdanie, które podzielało, aż do przeddnia wigilii Nowego Roku, całe w Łąkach zgromadzone towarzystwo. Do owego dnia nikt ani półsłówkiem nie zaprzeczył znakomitemu literatowi. Apoteoza tak zwanéj «cichéj cnoty», odmierzonéj łokciem chromnéj wiary, zwanym «to co można», wszystkim bardzo przypadła do smaku. Każdy sam oszacowywał «to co można» i przez proste zastosowanie się do tego, robił «poświęcenie», urastał na «męża zasługi, bohatera». Heroizm takiego poświęcenia zatrzymywał się na uprawie języka, podtrzymywaniu pism, teatrów, muzeów, kościołów, budowaniu pomników, zakładaniu muzeów, dobroczynném i gospodarskiém stowarzyszaniu się, na względném traktowaniu poddanych, na kupowaniu krajowych wyrobów, na wystrzeganiu się cudzoziemczyzny, i na tym podobnych, bardzo dobrych, pięknych i potrzebnych rzeczach, którym dobroci, piękności i potrzeby żadną miarą zaprzeczyć nie można, ale wielkość których tak wysoko przez pana Porońskiego podniesioną była, że już to, coby po nad nią myślą, chęcią lub uczynkiem wznieść się próbowało, byłoby chyba szaleństwem.

Wymowa i sposób przedstawienia rzeczy skaptowały dla zasad pana Porońskiego umysły.

Jakim był jego wpływ, o tém sądzić można po wrażeniu, jakie wywarł na pannę Zofiję. Raz wieczorem, po długiéj rozprawie, przyszedłszy do swego pokoiku i znalazłszy się samą, zgarnęła z jakąś konwulsyjną pospiesznością rzucane na komodzie książki, i patrząc na nie z wyrazem żalu, powiedziała:

— A więc to wszystko, com ztąd wysnuła, było tylko złotém rojeniem głupiéj dziewczyny, która uwierzyła, najprzód w pożądania własnego serca, a potém...— kończyła kiwając smutnie głową i patrząc na książki— tym... szaleńcom!... Więc jedno tylko jest prawdą, którą do nich zastosować można:

«. . . . . książki zbójeckie!
Młodości mojéj niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł!...

Co się zaś Jana tyczy, to ten w milczeniu, odchrząkując czasami a zawsze bardzo uważnie, przysłuchiwał się panu Porońskiemu i tylko widać było po nim jak niekiedy bladł, niekiedy czerwieniał. Aż w przeddzień wigilii Nowego Roku po raz piérwszy zabrał głos. Drżąco z razu i niepewnie w taki odezwał się sposób:

— Panie dobrodzieju... Wszystko co pan mówisz jest pięknem i dobrém... Tylko nie do właściwych rzeczy przywiązujesz pan znaczenie cnoty i poświęcenia... To co pan nazywasz cnotą i poświęceniem i otaczasz blaskiem wysokiego heroizmu, są to powszednie obowiązki, niepełnienie których pochodzić może tylko ze spodlenia i ogłupienia... Pokażę panu heroizm, niegrzeszący oni brakiem prawdy, ani brakiem możliwości, bo za dni naszych praktykujący się...

Tu krótko, dobitnie i pewnym już mocnym głosem wypowiedział swoje przekonanie.

Głuche milczenie było miarą zdumienia, jakiemu uległo towarzystwo na niespodziane odezwanie się naszego Jana, odezwanie się, obdzierające z całego uroku wygodne zasady i tanie cnoty pana Porońskiego.

Gdy Jan skończył, wszyscy jeszcze milczeli, czekając co pan Józef Ambroży odpowie.

Ten ostatni uśmiechał się dobrotliwie i przerwał milczenie jednym tylko wyrazem:

— Poezya...

Jakby na dane hasło, wszyscy go poparli i wyraz «poezya». chórem został powtórzony. W tym chórze brakowało głosu jednéj panny Zofii. Z prawdziwém zachwyceniem patrzała ona na młodego akademika i jaśniała— uśmiechem na twarzy, jakiémś opromienieniem w oczach, jakiémś uniesieniem w całéj postaci— jakby zachwycenie wylało się z niéj i całą jéj postać oblało aureolą blasku.

Sędzia Otocki, adwokat Dolański, synowie sędziego, jego zięć, Albin, jacyś obywatele z sąsiedztwa, kobiety, wszyscy, wyjąwszy panny Zofii, wzięli stronę pana Porońskiego, i gwarnie, na wyścigi dowodzili Janowi, że to co on powiedział, jest tylko:

— Poezya...

Jan odcinał się każdemu z osobna i wszystkim razem.

— Mojem przekonaniem jest — wołał— że nie z poezyi czerpią się prawidła życia!... Poezya w pochodzie społecznym jest tém, co muzyka w pochodzie pułku, co łoskot bębnów w momencie kiedy kolumna zdwojonym krokiem rzuca się na bagnety... Poezya zagrzewa, unosi, porywa, ale nie prowadzi... Jak pułkom i kolumnom rozkazuje wódz, tak społeczeństwom przewodniczy idea posłannictwa, wiel-

ka, wzniosła, jedna i boska... Jak odznaczeniem się w półkach jest najlepsze zrozumienie i najtrafniejsze, przy największem narażeniu się, wykonanie rozkazów wodza,— tak poświęceniem i cnotą w społeczeństwie jest najlepsze zrozumienie i najtrafniejsze wykonanie idei posłanniczéj. Nie to bowiem stanowi heroizm żołnierza, że czyści regularnie broń, stoi równo w szeregu, zgrabnie wykonywa obroty i ma rynsztunek w porządku; to jego powinność powszednia; i nie inaczéj, jak wznosząc się nad tę powszedniość, staje się bohaterem, zasługuje na odznaczenie za życia i na pomniki, jeżeli zginie... Nie to stanowi heroizm obywatela, że kupuje książki, daje składki...

Powstano na Jana tak silnie i głośno, że nie zdołał rozwinąć dostatecznie swojéj myśli, ani mógł odpowiadać na liczne zarzuty, któremi go jak gradem obsypano. Odpowiedział tylko pani Paulinie. gdy go ta w taki sposób zagabnęła:

— Pan Jeż zapomina, że społeczność składa się z mężczyzn i kobiet... Kobiety są towarzyszkami mężczyzn... Czyż nie tak?...

— Tak...— odparł Jan.

— Otóż, wedle rozumowania pańskiego, my przestajemy być towarzyszkami, bo my, słabe istoty, nie zajdziemy tak daleko... Wedle teoryi pana Jeża, heroizm dla nas nie istnieje...

— Wy, panie, jesteście żywém wcieleniem poezyi...— odciął Jan.— Wasza rola i znaczenie są takiemi samemi, jak rola i znaczenie poezyi...

— Więc uważaj-że Paulinko...— podchwycił jéj mąż. —Poprzednio dowiedzieliśmy się, że poezya jest bębnem, a teraz, że kobieta jest poezyą... Z tego wypada, że je-

steś bębnem i powołaniem twojém jest bębnić mi nad uszami... Dziękuję!...

Śmiech powszechny pokrył żart zięcia pana Otockiego i przerwał dyskussyę, która rozbiła się na luźne pogadanki. Nie obeszło się i bez osobistych przymówek. Pan Dolański powiedział do Jana:

— Lepiéjby było, gdyby młodzież zamiast myśléć o zamkach na lodzie, nie łajdaczyła się, a uczęszczała raczéj regularnie na wykłady w uniwersytecie i sposobiła się na użytecznych obywateli...

— Zapewne...— odrzekł Jan i zarumienił się, bo zrozumiał, że słowa te pod jego były adresem.

Wkrótce potém towarzystwo zajęło się innym jakimś przedmiotem. Gdy się rozchodziło, panna Zofija, która przez cały czas dyskussyi milczała i tylko, niby w obraz cudowny, wpatrywała się w naszego bohatera (który— powiedzmy nawiasem— w zapale sporu, sam jeden naprzeciw wszystkich, ślicznie wyglądał), podeszła do niego, podała mu rączkę, swoją delikatną drobną dłonią uścisnęła jego szeroką i szorstką łapę, a uścisnęła z tym przyciskiem, od którego-to mężczyznom dreszcz elektryczny przebiega po ciele, a zamiast zwykłego «dobranoc» powiedziała:

— Dziękuję!...

Podszedł do niego i pan Poroński i także mu podał rękę, mówiąc:

— Bardzo się cieszę ze znajomości z panem... Mam nadzieję, że poznamy się lepiéj i bliżéj...

Nazajutrz był dzień Ś-go Sylwestra, mający się uczcić zjazdem sąsiedztwa i wieczornym balikiem. Było to bowiem z dawien dawna we zwyczaju, że wigilię Nowego Roku obchodzono w Łąkach.

Od rana, wszyscy mężczyźni, wyjąwszy sędziego i pana Porońskiego, byli na polowaniu. Gdy powrócili nad wieczorem, zastali już sąsiedztwo licznie zgromadzone. Wędrowna muzyka Tyrolczyków, krążących przed kontraktami w okolicach Kijowa i wzwyczajonych na Nowy Rok zachodzić do Łąk, przedymała już instrumenta.

Nie mam zamiaru zapisywać do kroniki powieściowéj, jakie i w jakim porządku tańczono tańce, jakie i jakiego gustu były stroje dam, jacy i z jakiém powodzeniem wystąpili kawalerowie. Powiem tylko, że Nowy Rok powitano wesołym i zawiesistym mazurem, do którego stanęło około dwudziestu par, z Włodzimierzem Otockim, sławnym mazurzystą na czele.

Jan tańczył z panną Zofiją. Była to od wczorajszéj dyskussyi piérwsza okazya, która zbliżyła dwoje tych młodych ludzi. Bo chociaż do północy kilka już tańców przeminęło i mogliby się byli kilkakrotnie w ten sposób zbliżyć, ale Jan od tańców uciekał. Nie dla innéj stanął on do tego ostatniego w starym, a piérwszego w nowym roku mazura przyczyny, tylko dla téj, że został złapanym i gwałtem prawie wciągnionym.

— Tak wzięłam do serca potrzebę podziękowania panu — rzekła panna Zofija w przestanku tanecznym — że niecierpliwiło mnie, iż pan tańców unikasz i sama pana wciągnęłam...

— Za cóż mi pani masz dziękować? — zapytał Jan.

— Ach! za wczorajszy, panie Janie, wieczór... Uratowałeś mi bardzo drogie skarby, które już widziałam jak giną: wiarę i nadzieję...

Takim był początek rozmowy, któréj ciąg dalszy powlókł się przez kilka lat.

Najbliższa część tego «ciągu dalszego», miała miejsce

po upływie trzech dni, kiedy dwór łąkski wyludnił się z gości, i z niedomowników pozostali tylko: Jan i Albin. Trafiło się, że raz w poobiedniej godzinie, panią Otocką i Henryka jakaś domowa potrzeba w inną odciągnęła stronę, sędzia zatrzymał Albina nad planami i bardzo ciekawą historyą budowli kurników nad potokiem, a Jan i panna Zofija znaleźli się sam na sam w pokoiku téj ostatniéj.

—To smutno! — mówiła panna— tylko ja jedna podzielam pańskie przekonanie... To smutno!...

— Gdyby się poszukało, to znalazłoby się, że nie tylko pani jedna...— odpowiedział Jan.

—Daj Boże!...— odrzekła panna.— Możesz się jednakże pan mylić... Bo zważ tylko, z kim zwiodłeś spór... Oto, miałeś naprzeciw sobie przedstawicieli wszystkiego tego, co z łona naszéj społeczności najzacniejszego w porównaniu z całym ogółem wykwitnąć może... Miałeś mego ojca, poważnego i szanownego obywatela; mego wuja, prawego i zdolnego adwokata; moich braci i szwagra, mężów w sile wieku i rozumu, i posiadających dostateczne w ręku środki; miałeś Albina, człowieka młodego, zamożnego i pełnego najlepszych uczuć i chęci; miałeś nakoniec pana Porońskiego, znakomitość... Nie mówię już o kobietach, przezacnych i wykształconych, jakiemi są: moja matka, wujenka, siostra, bratowe i kuzynki... Cała strona dodatnia naszego społeczeństwa była przeciwko panu... Tak, cała; brakowało tylko lekarza i księdza; bo to coby się jeszcze z téj sfery znałazło, to już pasożytnym chyba tylko sposobem w niéj egzystuje... I zważ, panie Janie: było nas tylko dwoje, a wszyscy przeciwko nam... To smutno.

Dziwnie jakoś brzmiał ten rachunek w ustach młodéj, ładnéj i światowéj panny. Wysłuchał go Jan w milczeniu, ze zwieszoną głową, a gdy skończyła, odezwał się:

— Sfera w której spór nasz toczył się, bardzo jest ważną, ale nie jedyną i ostatnią. Ale chociażby nią i była, to odpowiem pani słowami, które nieraz od mego ojca słyszałem: że dla przekonania ludzi jest dwa rodzaje krasomowstwa: krasomowstwo słów i krasomowstwo przykładów... To ostatnie potężniejszém jest od piérwszego... W sporze naszym wystąpiło piérwsze... Ale gdyby przyszło drugie, to kto wie, czy bez dyskussyi nie przekonałoby i ojca pani, i wuja, i braci, i szwagra, i Albina... i... ale, nie!... Poroński nie dałby się przekonać... On zbytecznie się zapisał; duszę atramentem zawalał.

Domawiając ostatnich wyrazów uśmiechnął się Jan.

— Złośliwy jesteś, Panie Janie...— rzekła panna Zofija.

I wstała. Poczęła szybko po pokoju chodzić, jakby ją jakoweś wewnętrzne poganiało wrzenie. Po chwili zatrzymując się raptem przed Janem, zapytała:

— Nie prawdaż: ale trzeba pracować?...

— Trzeba...— odparł Jan.

— Trzeba szczepić cnotę i poświęcenie?

— Trzeba...

— Trzeba szukać sposobów i środków do umoralizowania ogółu ofiarą?...

— Trzeba...

— I na to wszystko nas dwoje: pan, młody, bardzo młody; ja słaba dziewczyna...

— Nie wiecznie będę ja młody...— podchwycił Jan z uśmiechem.— Pani nie jesteś bardzo słabą...

Znów panna Zofija przeszła się po pokoju, i znów zatrzymała się przed Janem z zapytaniem:

— Nie będziesz już pan probował doświadczeń?...

Jan lekko się zapłonił.

— Bo to, panie Janie...—ciągnęła z modlitewnym w gło-

sie akcentem i w twarzy wyrazem— kto się sponiewiera za młodu, ten potém staje się do niczego: wypala się w nim święta oliwa...

Wejście sędziego, niosącego w ręce plany i prowadzącego za sobą Albina przerwało rozmowę.

Albin przedstawił panu Otockiemu plan nowego domu, jaki w Chomenkach budował, i pytał go o radę względem mechanizmu żaluzyj, któremi opatrzéć zamierzał szklanne części dachu..

— Oto matematyk, mechanik....— mówił pan Otocki wchodząc i rozkładając plany na stoliku panny Zofii. — Chodź-no, panie Jeżu; jak to zrobić?...

I opowiedział o co rzecz poszła.

Przerwana rozmowa pomiędzy bohaterem naszym i panną Zofiją wznowiła się po paru dniach, i znów została przerwaną.

Po Trzech Królach Jan i Henryk odjechali do Kijowa.

Przy pożegnaniu panna Zofija rzekła do Jana:

— Będziemy widywać się u wujostwa...

Zapomnialem bowiem na swojém powiedzieć miejscu, że pomimo przymówki osobistéj, jaką Jana, z powodu sporu jego z panem Porońskim, dotknął pan Dolański, odjeżdżając, temi go pożegnał wyrazy:

— Do zobaczyska, panie Jeżu.... Spodziewam się że będę miał zaszczyt powitać pana w moim domu...

Pani Dolańska i panny także go «do zobaczyska» żegnały.

Jan przyjął to «do zobaczyska» dla dwóch powodów: raz dla tego, że uczuł słuszność przymówki pana Dolańskiego; powtóre dla panny Zofji.

Rozmowa więc przeniosła się do Kijowa, wznawiając się i przerywając kilkakrotnie. Najbardziéj rozwinęła się

pod koniec kontraktów, kiedy nie wiem z powodu czego, Jan przypomniał pannie Zofji ten wiersz naszego wieszcza:

«Gdy na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją żywcem pogrzebiono».

— Dziewczyna umiera...—podchwyciła panna Zofija —ale odradza się natychmiast pod postacią matki-obywatelki, w roli w której dla kobiety obszerne do życia i działania otwiera się pole...

— Toć-to tak wiele od męża zależy!...—rzekł Jan —o panią stara się Albin?..

— Stara się, i ma się oświadczyć, jak tylko dom skończy...

Jan zamilkł i zamyślał się. Parę razy usta już otwierał chcąc coś przemówić, lecz tylko chrząknął, jakby mu wyrazy na poprzek w gardle stawały. Nakoniec odetchnął i rzekł:

— A gdybym też ja jako współzawodnik Albina wystąpił...

Panna Zofija uśmiechnęła się na te ukośne oświadczyny.

— Czy nie chcesz pan powiedzieć, żeś się we mnie zakochał?..

— Nie...—odparł Jan zapłoniwszy się.—Chcę powiedzieć, że zespolilibyśmy siły nasze w jedno ognisko...

— I odgrodzilibyśmy się od reszty świata... Pokazywanoby na nas jak na bardzo dobrane stadło i dziwionoby się, że co mówi mąż, to żona powtarza, co mówi żona, to mąż potwierdza... Ognisko nasze świętym płomieniem gorzałoby dla nas tylko dwojga; dla innych zaś, jako coś w guście bengalskiego światła...

— To prawda...—rzekł Jan po cichu i po cichu westchnął.—Więc pani pójdzie za Albina?..

— Jeżeli się oświadczy...

— To najmniejszej nie podpada wątpliwości...

— Kto wie!..

— Ależ, Albin!..

— Co, Albin?..—zapytała panna niespokojnie.

— Zachwycony Porońskim... Ślepo weń wierzy... Zniedołężnieje, jeżeli już nie zniedołężniał...

— Ale ma dobre serce i dobre chęci, posiada ogromne środki i jest bardzo uczciwy...

— To prawda...—odparł Jan.

Na tém zatrzymała się tym razem rozmowa. Przerwali ją pan Poroński i Albin, którzy powracali z sali kontraktowéj i przynieśli ze sobą dwie pyszne litografije: Stefana Czarnieckiego i Stefana Batorego.

Albin wydobył z zanadrza jakąś książeczkę i podał ją pannie Zofji, która chowając ją popatrzyła na Jana wzrokiem zdającym się mówić:

— Widzisz... i Albin przecie na coś się przyda...

Pan Poroński chwalił rysownika przyniesionych fotografij:

— Jak on ich (Czarnieckiego i Batorego) postawił!.. Co za wyraz im nadał!.. Te obrazy mówią!.. Możemy śmiało pokazać je światu i powiedzieć: patrzcie, jakich mieliśmy ojców!..

— A jeżeliby świat zapytał — odezwał się Jan — czy zostawili oni godne siebie potomstwo?..

I wywiązał się spór, w którym i panna Zofija żywy udział wzięła i Albin jéj niby echo wtórował.

Spór ten dla bardzo ważnych powodów których domyślny domyśli się a niedomyślny niech się domyśla, pokryję milczeniem.

Wróćmy do przerwanej rozmowy. Chcąc jéj wątek uchwycić, musimy śledzić ją we cztery miesiące później, w aleach spacerowego kijowskiego ogrodu.

Ślicznym majowym wieczorem krążyło po ulicach o-

grodowych mnóstwo ludzi, a pomiędzy tém mnóstwem było czterech mężczyzn, prowadzących pod ręce cztery damy. W pierwszéj parze szli państwo Dolańscy, w drugiéj Henryk i jedna z panien Dolańskich, w trzeciéj młody jakiś mężczyzna, z miny na urzędnika z gubernatorskiéj kancellaryi wyglądający i druga panna Dolańska, w czwartéj Jan i panna Zofija. Odległości pomiędzy parami były nierówne: najbliżéj Henryk szlusował do wuja, najdaléj wlókł się Jan. Spacerujących było dużo; powiedzieć jednakże należy, że pomiędzy wszystkiemi odznaczała się nasza ostatnia para: on, młodzieńczą tęgością, wyrażającą zarazem hart ciała i hart duszy; ona takim jakimś niewieścim powabem, o którym wątpić należy, aby był z ziemskich urobionym rzeczy. Ona mówiła i często mu z uśmiechem w oczy zaglądała; on odpowiadał i także twarz często uśmiechem rozjaśniał. Przechodzący, z którymi się para nasza krzyżowała, myśleli i mówili:

— Zakochani...

Był to tylko domysł; gdyby jednakże podsłuchali ich rozmowy, to bezwątpienia domysł rzeczywistością by nazwali i przysięgliby, że Jan i panna Zofija są «zakochani».

Bo też treść ich rozmowy taką była, jak dwójga narzeczonych i już zaręczonych, którym jedynie brak formalności ślubnej przeszkadzał do nazwania się mężem i żoną.

Panna Zofija snuła projekta przyszłego urządzenia domu. Miało to być coś nakształt owych starożytno-greckich akademij i gimnazyów, w których nauczali Arystoteles, Plato i inni; nie pedagogiczne jednakże, ale pełniejsze i jeszcze doskonalsze. Wszystko tam przemawiać miało na raz do rozumu, do serca i do wyobraźni. Biblioteka, muzeum, ozdoby, ugoszczenie, wychowanie dzieci, dobór słu-

żących, słowem — wszystko tak miało być nastrojoném, jak struny harfy przez doskonałego mistrza, i razem a zgodnie taką wydzielać z siebie naukę, którąby nie pozory ale skuteczność nauki posiadała. Bliżsi i dalsi sąsiedzi i obywatele z odległych okolic, jak ptaki brać się mieli na sidła powabów zgromadzonych i harmonijnie ułożonych pod dachem pani Zofji i z pod dachu tego wychodzić mieli pokrzepionymi na duchu i przygotowanymi do wstąpienia na drogę istotnéj cnoty.

— Jeden na stu — mówiła panna Zofija — jeżeli wyjdzie od nas cnotliwym, to zasługa nasza będzie nie małą, bo ten jeden, mimochcąc, będzie szerzył cnotę daléj i daléj, aż innych ogarnie... A w najgorszym razie, ci «jeden na stu» posłużą do przemówienia do ogółu krasomowstwem przykładu... Czy nie tak, panie Janie?..

I zajrzała mu w oczy. Jan się uśmiechnął.

— A pan będziesz także pracował... I przyjedziesz do mnie niekiedy... I udzielisz mi rad i postrzeżeń... I zdamy przed sobą wzajemnie sprawę...

Ale...—przerwała sobie raptem.— Może z tego nic nie będzie...

— Dla czego?..— zapytał Jan.

— Dla prostéj przyczyny... Albin się jeszcze nie oświadczył... Jeżeli się domyśli, co z jego domu zamierzam zrobić, to może się nie oświadczy... On go urządza na gniazdo, wedle zasad Porońskiego; ja chcę go urządzić także na gniazdo, lecz wedle zasad pańskich, panie Janie ..

— W takim razie...

Chciał Jan coś mówić, lecz panna Zofija pociągnęła go raptem w boczną aleę i ręka jej, niby z trwogi, zadrżała pod jego ramieniem.

W tej chwili przeszło mimo nich dwóch akademików. Jeden z nich był Karolem.

— Chodźmy...—szepnęła panna Zofija, przyspieszając kroku.

W tym momencie dał się słyszeć szyderski śmiech Karola. Jan obejrzał się i dosłyszał rzucony na wiatr wyraz:

— Nawrócony...

Księżyc już był zeszedł. W alei było ciemno. Para nasza utonęła w cieniu i po chwili wynurzyła się na światło przed altaną, na ulicy idącej wzdłuż urwiska, u stóp którego płynie Dniepr. Nie zatrzymał jej pyszny widok, jaki przed nią w posrebrzeniu księżycowém się rozwinął. Szli szybko, póki nie spotkali się z państwem Dolańskiemi.

— Pójdziemy już, wujaszku...—rzekła panna Zofija.

— Pójdziemy...—odparł pan Dolański—wieczór zaczyna być chłodny...

I wszystkie cztery pary wysunęły z ogrodu.

Przed ogrodową bramą kawalerowie pomogli damom wsiąść do powozu.

Jan wrócił nad brzeg dnieprowy i długo jeszcze chodził samotny.

Nie prędko potém znalazł on sposobność wznowić przerwaną rozmowę. Lecz do tej rozmowy zastosował ściśle prowadzenie się swoje akademickie. Nie robił już doświadczeń, nie probował nogą gruntu pod sobą, ale śmiałym szedł krokiem i zepsuciu otwartą wypowiedział wojnę. I stał się przeciwnikiem jego tém niebezpieczniejszym, że je znał, że był dezerterem z jego szeregów. Długo był jednakże sam, długo nie mógł znaleźć spółpracowników: nie mógł bowiem liczyć na tych luzaków, którzy się po ką-

tach «dla siebie» uczyli i moralność swoją tem salwowali, «że się do złego mieszać nie chcieli».

Nic jednakże nie trwa wiecznie. Upada dobre a na jego miejsce występuje złe; upada z kolei złe, ustępując miejsca dobremu. Umysł ludzki bawi się ciągłym, w jednem i drugim sensie, działaniem i przeciwdziałaniem.

Doczekał się i bohater nasz lepszych czasów. Z rozpoczęciem następnego nowego akademickiego roku przybyło do Kijowa parę dziesiątków Mińszczanów, tęgich co się nazywa chłopców, którzy kończąc gimnazyum dali sobie słowo «pracować w uniwersytecie». A słowo ich nie było podobnem do owych, przezwanych «honorowemi», ważnych wówczas tylko gdy chodzi o głupstwo — o dług karciany np. — ale w rzeczach ważnych najmniejszej nie mających wartości. Dali słowo — i dotrzymali. Zjechali do Kijowa i stanęli jako falanga pracowników.

Do nich przyłączył się nasz bohater i wniósł pomiędzy nich własnym kosztem zrobione doświadczenie, którego im brakowało.

Życie akademickie natychmiast innem popłynęło korytem. Poczęto się pytać:

— Co ty robisz?.. co myślisz?.. Jak czas przepędzasz?..

I nie wolno już było odpowiadać:

— Co komu do tego!.. Patrzaj swego nosa!..

Bo wyrobiła się opinija, która zarówno karciła bezcelność i występne widoki.

Więc i Janowi poszło lepiej i łatwiej.

Co by on począł gdyby Mińszczanie nie przybyli?..— Na to trudno odpowiedzieć. Może wysiliłby się w szamotaniu i upadł. Może stałby się samolubem, z tego dość

powszechnego samolubów rodzaju, co to klątwę na świat i ludzi rzucają i umywają sobie ręce, jak Piłat.

Lecz i to polepszenie napoiło w końcu duszę Jana goryczą. Rozwinęło się ono ku dobremu, lecz ku dobremu w sensie Porońskiego, ku takiemu które atrybucye, dodatkowości i ozdoby przyjmuje za istotę rzeczy. Postrzegł się na tém nasz bohater, ale trochę za późno, gdy był już na czwartym kursie: gdy na rozstaniu z kolegami, w chwili rozejścia się na świat we wsze strony, przyszło do dania stanowczych i jak śmierć nieodwołalnych zobowiązań. Wówczas tańsze i łatwiejsze wystąpiły na przód, a droższe i trudniejsze poszły na «niechajno.»

A zanim doszedł nasz Jan do czwartego kursu, w Łąkach tymczasem nie było już panny Zofji.

Myliła się ona, przypuszczając, że Albin może się jej nie oświadczy. Oświadczył się w jesieni, po żniwach, w tym samym roku, z którego ostatnią przerwaną przytoczyliśmy rozmowę. Na Boże Narodzenie odbyły się zaręczyny a w zapusty ślub.

W parę dni po zaręczynach przerwana rozmowa miała swój dalszy ciąg:

— Pani mnie zadziwiasz...—mówił Jan.—Wiem o tém, że miłość jest życiem, duszą kobiety... Já w pani nie dostrzegam téj miłości... Idziesz za Albina, a nie zdaje się abyś go kochała...

— Czy pan nie przypuszczasz ofiary z uczucia!..—odpowiedziała panna Zofija. — Na ofiarę, według mnie, dawać się to powinno, co kto ma najlepszego... Wy mężczyzni, życie; my kobiety, serca... O! i ja kocham, panie Janie...

Ostatnie te wyrazy wymówiła z takim smutnym akcentem, że Jan, któremu był na myśli Karol, nie śmiał jej

o niego zapytać, ani o znaczenie tej trwogi w ogrodzie, ani o miniaturę u Paszczenka.

— Ale teraz...—ciągnęła coraz mocniejszym głosem nabierając rumieńcem na twarzy, sinością w żyłkach skroniowych i blaskiem w oczach—teraz, gdybym mogła, słałabym was, panowie, na wszelkie śmierci, przyklaskując tylko najgodniejszym z pomiędzy was!.. Dla takich nie ma u mnie łzy za powieką!.. Nie!.. Uwielbiam ich!... Zachwycam się nimi!.. A płaczę nad tymi, którzy się podlą lub gniją!..

W oczach jej błysnęły dwie duże łzy. Stoczyły się po policzkach, spadły i nie zostawiły śladu po sobie.

— A!.. lepiej dajmy temu pokój...—mówiła zwyczajnym, chociaż mocno wzruszonym głosem.—Na co ja przed panem odkrywać mam rany serca mego kobiecego!... Bolą one... a!... to, niech sobie bolą!.. Leczę je uczuciami obywatelki...

Z tych słów miarkować można, co za przesilenie przebyć musiało to serce.

Domyślił się tego Jan, i o nic nie pytał.

W zapusty przyjechał na wesele, które odbyło się hucznie i okazale.

Jako dawny Albina kolega, bohater nasz był drużbą, odprowadzającym pannę młodę do ołtarza. Ze wzruszeniem przypatrywał się on, z jaką dziwną skruchą wiązała się panna Zofija ślubem małżeńskim. Wyglądała jak suchotnica, w chwili skonu uśmiechająca się jeszcze nadzieją życia.

XI.

Wśród prac i zatrudnień, na piérwszym semestrze czwartego kursu spadło na Jana wielkie nieszczęście.

Chorąży umarł.

Podczas ostatnich Jana wakacyj, Jegomość jakby przeczuwał zbliżającą się śmierć.

— Nie długo już plątać mi nogami...— mówił do syna.

A gdy ten odjeżdżał do Kijowa, żegnając się z nim, pobłogosławił go, przycisnął do piersi i powiedział:

—Może ostatni to już raz... Nie wiemy ani dnia ani godziny...

Wkrótce po odjeździe Jana opadł na siłach, osłabł i chodził podpierając się laską. Nie długo jednakże mógł chodzić.

Panna Ewa, widząc brata w tym stanie osłabienia, radziła mu wezwać lekarza.

— Nie trzeba...—odrzekł Jegomość.— Zbliża się kres... Wyleczy mnie Pan Bóg...

Radziła napisać do Jana.

— Nie trzeba...— mówił Jegomość.— Nie przeszkadzajcie mu...

Wzywał do siebie często starego Kociubę i co najpoważniejszych gospodarzy, i rozmawiał z nimi.

—Może wkrótce rozstanę się z wami... — mówił.— Zostaniecie z moim synem.... Radbym, aby on ulepszał urządzenie Hrynenek... On ma dobre skłonności... Ale czy obróci je na dobre?... Pomagajcie mu... Wy go lepiéj znacie niż ja, bo ja ojciec prześlepiłem zapewne nie jednę z jego wad... Nie zostawię mu po sobie żadnych rozkazów, tylko rady... On powinien być lepszym i rozumniejszym odemnie... Od niego wiele, wszystko zależy...

W Hrynenkach gruchnęła wieść:

— Jegomość mówi o śmierci!...

I wszystko osmutniało.

Po chałupach o niczém inném nie było mowy, tylko o tém co Jegomość ze starcami rozmawiał.

Kilkadziesiątletni jego zarząd nikomu się nie uprzykrzył. Przeciwnie, każdemu się zdawało, że był krótkim, kilkodniowym. Pocieszano się. Mówiono:

— Przyszło na starego człowieka osłabienie... Zachorował, jak temu lat piętnaście... Ale to przejdzie...

Starzy, obliczając lata, które Chorąży przeżył, dodawali:

— Boże! pozwól Jegomości jeszcze choć kilka przeżyć latek... choć dwanaście, żeby do stu dociągnął... Boże! nie zabieraj go od nas... Niech on nas przynajmniéj pochowa...

Mylili się jednakże, tak ci, którym się zdawało, że «to przejdzie», jak ci co zanosili prośby do Boga, myśląc że Bóg ich wysłucha.

Dług śmierci, jaki pokoleniami spłaca ludzkość naturze, jest nieubłaganym. Jeden z ostatnich Kościuszkowców gasnął.

Piękną zawsze jest śmierć sprawiedliwego. Jest ona uroczystém przejściem z jednego do drugiego życia.

Taką była śmierć Chorążego.

Zbliżała się ona powoli, z daleka, jakby szanując każdą chwilę jego życia, i do samego ostatka nie pozbawiała go przytomności umysłu.

Na kilka dni przed zejściem swojém z tego świata, zaprosił Jegomość do Hrynenek trzech obywateli: dwóch najbliższych sąsiadów i marszałka. Marszałkiem podówczas był świeżo wybrany Albin Skrzybicki.

— Panowie...— przemówił, siedząc oparty o poduszki i trzymając w ręku opieczętowany, złożony w kształcie dużego listu papier. — Sprosiłem was dla zakommunikowania wam ostatniéj mojéj woli, która jest prośbą do was.

Obywatele skłonili się z uszanowaniem.

— Wręczcie to memu synowi... — rzekł podając Albinowi papier. — To mój testament... Zyczę sobie, aby on był otwartym w obec jak największéj ilości świadków. Dla tego proszę was, gdy Jan powróci z uniwersytetu, zgromadźcie się i wręczcie mu go.... Bardzo was o to proszę...

— Wola twoja, panie Chorąży, będzie spełnioną...— odparł Albin, pochylając z uszanowaniem głowę przed starcem.

Dwaj sąsiedzi uczynili to samo. Jeden z nich odezwał się:

— Jegomość dobrodziéj ma dwóch synów...

— Miałem...— odparł Chorąży spokojnie.

— Stanisławowi godziłoby się przynajmniéj przebaczyć...

— Niech mu Bóg przebaczy... — odrzekł Chorąży.— Ja... nie mogę.

Wyraz «nie mogę» wymówiony był takim głosem, że sąsiad zamilkł.

— Uczynicie więc panowie zadość mojej prośbie?..— zapytał po chwili.

— Czyż możesz o tem Chorąży dobrodzieju wątpić!... —odpowiedział Albin.— Wolelibyśmy jednakże, aby to nie było potrzebném, abyś nam żył... Może też zwrócę jeszcze Jegomości dobrodziejowi ten testament...

— Niech on już u ciebie panie marszałku zostanie... Myślałem nad nim długo i obmyśliłem dostatecznie... Nic nie dodam, nic nie zmienię... Prędzéj późniéj, a zawsze prędzéj jak późniéj wybije moja godzina...

Po odjeździe obywateli, przygotował się na śmierć spokojnie, przytomnie i po chrześcijańsku. Nie zapomniał i o rozporządzeniach gospodarskich. Bublewiczowi zostawił dyspozycye na każdy tydzień aż do powrotu Jana, a ogólnym dozorczym administratorem i zarazem kassyerem zrobił pannę Ewę.

— Jak Jan przyjedzie, to mu zdacie całe gospodarstwo...— mówił do nich.— Trzeba, żeby wszystko zastał w porządku... A co on potem zrobi, to już jego rzecz...

— Nie opuszczaj Jana, moja Ewo...— mówił do siostry —chyba dla połączenia się ze mną!...

Panna Ewa okrywała ręce jego pocałunkami i oblewała je łzami.

— Nie płacz siostro... Nie warto wylewać tyle łez, kiedy żegnamy się «do widzenia»...

Nocami sypiał Jegomość spokojnie. Lampa paliła się w pokoju. I zawsze ktoś ze sług albo z gromady czuwał przy jego łóżku.

Jegomość tego nie wymagał. Lecz gospodarze uparli się i uprosili:

—Toście, nasz Jegomościu, słabi... Możecie czego zapotrzebować... Niech tamkto będzie, coby wam choć wody podał.

Ale nie dla podania tylko wody siedział tam wartownik. Miał on polecenie zdawać przed gromadą sprawę z postępów słabości.

— A jakże tam?...— pytali co rana jedni drugich.— Co tam słychać?

Każdy wiedział do czego te pytania odnoszą się.

Przez kilka dni z rzędu odpowiadano:

— Zawsze jednakowo... Ni lepiéj, ni gorzéj...

Aż nareszcie około północy, gruchnęła wieść:

— Kona!...

Wyraz ten rozbiegł się po chałupach i całą gromadę postawił na nogach.

Chaty opustoszały. Wszystko co żyło spieszyło do dworu. Podwórze dworskie napełniło się ludem obojéj płci i wszelkiego wieku, który skupił się około jegomościnego okna i w milczeniu oczekiwał na wieści od tych, co byli przy konającym.

Przy łóżku Jegomościa klęczała panna Ewa, podtrzymując gromnicę, którą on coraz bardziéj słabnącą trzymał ręką. Około łóżka, w pełném uszanowania milczeniu, ze spuszczonemi smutnie głowami, stali przedniejsi gospodarze, mając na czele Kociubę, Hryhora, Bublewicza i Jastrzębskiego.

Panna Ewa nie płakała. Półgłosem odmawiała ona modlitwy za konających, zamilkając, gdy Chorąży od czasu do czasu po kilka przemawiał wyrazów.

Najprzód przeżegnał się, wymawiając głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen!...

— Amen!...— powtórzyli przytomni.

Potém nakreślił w powietrzu krzyż, jak to zawsze zwykł czynić, ile razy w podróż wyruszał.

Potém nie mógł już udźwignąć ręki. Więc rzucał wyrazy:

— Opuszczam was... bracia moi... Rozstajemy się nie na długo... Doczekam się tam... was wszystkich...

Bądźcie zgodni... kochajcie się...

Kochajcie mego syna.... mego Jana... jak brata.... jak wasze dziecko... On z wami.. z waszemi dziećmi... się wychował...

Świadczcie przed Janem... że w ostatniej chwili... błogosławię mu... na życie... na pracę... na poświęcenie... na ofiarę...

Coraz słabszym mówił głosem:

— Miłość... i ofiara... zbawiły już świat... i jeszcze... go... zbawią...

Ruszał jeszcze ustami, niby usiłując mówić, niby dla zachwycenia powietrza w płuca. Jeszcze raz się odezwał:

— Miłość i ofiara... Do widzenia...

I już potém z trudnością, jakby snem ociężałe podnosił powieki, i oddychał rzadko, coraz rzadziéj.

Nakoniec powieki się zwarły i oddech ustał.

Nastąpiła chwila grobowego milczenia, cisza taka, jakby przytomni dosłyszeć chcieli szelest ulatującéj duszy.

Ciszę przerwała panna Ewa. Głośno, dobitnie i wyraźnie odezwała się:

— Anioł Pański zwiastował pannie Maryi, i poczęła z Ducha świętego...

Wszyscy przytomni padli razem na kolana, i jednym głosem powtarzali modlitwę za duszę zmarłego.

Wyraz «umarł» wyleciał na podwórze. Gromada boleśnie jęknęła jednym przeciągłym jękiem, który rozbił się na płacze i narzekania i zlał w ogromny chór głębokiego żalu.

Hryhor, Bublewicz i Jastrzębski zajęli się ubraniem ciała do grobu i przyrządzeniem katafalku.

Katafalk postawionym został w znajomej nam izbie, w której widywaliśmy Chorążego z panną Ewą i Janem. Okryto go całunem, obstawiono jarzęcemi świecami i ustawiono tak, że głowa nieboszczyka spoczęła pod portretem Kościuszki, jakby dla usymbolizowania połączenia, jakie w tej chwili pomiędzy dawniej zmarłym Naczelnikiem i świeżo zmarłym żołnierzem nastąpiło. Zrobiło się to przypadkowym sposobem: tak wypadło miejsce na katafalk. Hryhor pierwszy to spostrzegł, przeniosł kilkakrotnie wzrok z twarzy nieboszczyka na portret, i z portretu na twarz nieboszczyka, pokiwał głową i rzekł:

— O! toż i mnie niezabawem przyjdzie się pośpieszyć do apelu i zdać raport najprzód przed Bogiem, a potém przed tym...— i ukazał palcem na potret.

Gromada nie poczęła się rozchodzić, póki ciała nie złożono na katafalku. Wówczas ten tylko odszedł, kto je widział i pomodlił się przy niém. Co kto wszedł, to ukląkł pobożnie, odmówił pacierz, pocałował nieboszczyka w nogę i oddalał się, skruszony i smutny. Kobiety przynosiły dziatki na rękach, i ani przez myśl im nie przeszło, aby przelękły się one trupa. Nachylały usteczka ich do zimnéj Chorążego nogi i namawiały je:

— Ciom, moja dziecinko, ciom Jegomościa w nożkę...

A na odmalowanie pośmiertnego jego wyglądania, dobierały jak najczulszych i jak najzdrobnialszych wyrazów:

— Zasnął nasz siweńki gołąbeczek, nasz tatuńcio lubeńki ta miłeńki...

Rzeczywiście, gdyby nie katafalk, nie całun, nie świece, to mogłoby się wydawać, że Chorąży w kontuszu, skrzyżowawszy ręce na piersiach, położył się na wznak i śpi, tak śmierć jego podobną była do snu. Oblicze jego pra-

wie się nie zmieniło. Ciała ani ubyło, ani przybyło. A wpatrując się w niego, zdawało się, że się widzi ruch ust pod wąsami i wznoszenie się i opadanie oddechu łona pod kontuszem. Rzekł-byś, że ot— nie widać— jak się obudzi.

Ze złudnej to zapewne obawy obudzenia snem wieczystym uśpionego, ludzie wchodzili i wychodzili na palcach i zaledwie cichém szeptaniem ośmielali się przerywać uroczystą ciszę, panującą do koła katafalku. Ten trup zimny, to martwe ciało ukochanego człowieka taką cześć wzbudzało, jak gdyby było świętém, jak gdyby za jego pośrednictwem żywi z samym Bogiem w styczność wejść mogli.

Przez trzy dni ciało spoczywało na katafalku i przez całe te trzy dni Hrynenczanie nie odstępowali go. Zmieniali się. Jedni odchodzili, drudzy przychodzili, a odchodzący wracali po kilkanastokrotnie. Trup ciągnął ich ku sobie. Chcieli się nań napatrzyć i wrazić go w pamięć małym dzieciom. Modlili się za jego duszę, a wciąż im zdawało się, że nie dosyć i nie dość gorąco.

Pogrzeb równie był uroczystym jak skonanie.

Pomimo reputacyi dziwactwa, jaką nieboszczyk Chorąży miał pomiędzy obywatelstwem; jego gruntowna uczciwość, jego sposób myślenia i niezłomny charakter, zjednały mu powszechny szacunek. Te rzeczy umieją jeszcze u nas, dzięki Bogu! oceniać. Dla nich to, niezaproszone żadném okolném wezwaniem, zjechało się sąsiedztwo. Jeden z najpiérwszych przyjechał Albin z żoną, pomimo że marszałkowstwo nieco daléj, bo prawie o cztéry mile mieszkali.

Poważnym i tém poważniejszym że prostym był kondukt pogrzebowy. Ciało nieboszczyka złożono w dębowéj trumnie, a trumnę nieśli na ramionach chłopi Hryneńscy.

Przed nią szedł ksiądz z poblizkiego miasteczka, w towarzystwie miejscowego proboszcza, za nią sąsiedzi zmieszani z gromadą, a po obydwóch jéj stronach niesiono kościelne chorągwie. Każdy z sąsiadów i każdy z gospodarzy miał w ręku świeczkę.

Najbliżéj za trumną postępowała panna Ewa, w grubéj żałobie, sierota— jaka sierota!... niegdyś po ojcu i matce, potém po wszystkich nadziejach dziewiczych, potém po wielu, wielu jeszcze rzeczach, które dla niéj kolejno umierały— rzeczach, których my nie rozumiemy, i— głupcy!— szydzimy z naszych starych panien. Teraz osierociała po bracie-ojcu. Nie płakała ona. O! ona tyle już łez w życiu wylała... Szła z wlepioném w trumnę ale suchém okiem, a pogoda, jaka na jéj obliczu świeciła, była spokojem chrześcijańskiéj rezygnacyi.

Na trumnie, jako insygnia stanu, złożył Hryhor szablę nieboszczyka, która mu raz ostatni pod Maciejowicami służyła. Składając ją, rzekł:

— Jegomość nie wziął dymissyi... Do śmierci był żołnierzem...

Konwojowi pogrzebowemu nie towarzyszyła muzyka marszem żałobnym. Zastąpiły ją w jeden żałosny chór zlane śpiewanie księży, szlochanie kobiet i jęczenie dzwonów kościelnych.

Posuwał się konwoj powoli, a nie daleko, bo tylko od dworu do wiejskiego cmentarza. I zatrzymał się przed otwartym grobem, wykopanym obok zarosłéj wysoką trawą mogiły, pod którą spoczywała nieboszczka Chorążyna.

Spuszczono trumnę do grobu. Okropiono ją święconą wodą. Posypały się na nią garstki ziemi, dudniły zrazu o wieko i sypały się póty, póki obok staréj nie wzniosła się świeża mogiła.

Przykryty ziemią szlachic w kontuszu, położył się na wieczny spoczynek wśród swojej braci w siermięgach.

W tymże jeszcze dniu, na grobie Chorążego zatknęli gospodarze krzyż drewniany. Później Jan przykrył go kamieniem, na którym czytać można było wyryty napis:

Tu leży

Xawary Jeż.

Urodził się

dnia 10-go marca, roku 1758.

Zmarł

dnia 25-go września, roku 1846.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci.— Amen.

Taki sam kamień, z podobnym napisem, położył Jan i na grobie matki.

To jednakże nastąpiło później. Tymczasem wznosiły się tam dwa krzyże, jeden obok drugiego— Jeden stary i nadpruchniały, drugi nowy— większe, okazalsze i staranniej od wszystkich na cmentarzu ciosane.

Podczas kiedy gospodarze stawiali krzyż, ćmentarz wypróżniał się powoli z ludzi. Gromada rozchodziła się. Sąsiedzi odjeżdżali.

Pozostał tylko Albin, który z powodu że posiadał w depozycie testament, uważał za potrzebne oświadomić się ze stanem, w jakim zostawał majątek i zająć się nim, jeżeliby nie było żadnych rozporządzeń. Lecz Bublewicz pokazał mu instrukcye, a panna Ewa serdecznie podziękowała za troskliwość. Marszałkostwo jednakże zostali w Hrynenkach na noc.

Cały wieczór zeszedł im z panną Ewą, która bawiła

ich opowiadaniem o nieboszczyku, przeplatanem łzami i modlitwą. Marszałkowa mocno była wzruszoną. Uspokajała ona i pocieszała pannę Ewę jak mogła, lecz długo napróżno; długo sierota tylu i takich pogrzebów nie mogła wydrzeć się z zaczarowanéj sfery smutku. Aż trafiła ją w jednę, ostatnią, weselszą strunę, z tych co się w jéj piersi jeszcze nie pozrywały. Wspomniała o Janie i pochwaliła go. Panna Ewa uśmiechnęła się.

— Pani go zna?...— zapytała.— Gdzież go pani poznała?...

— Najprzód w Niemirowie, potém bliżéj w Łąkach, a jeszcze bliżéj w Kijowie...

— W Łąkach?... On o Łąkach często mówił...

— Tam rodzice moi mieszkają...

— Państwo?...

— Otoccy...— podpowiedziała marszałkowa.

— Więc pani jesteś?...

— Zofija Otocka...— znów podpowiedziała.

— Ach!... a on o pani tak często mówił z Jegomością... nieboszczykiem.... Ach!.... — tu pokiwała smutnie głową.— Nie mogę przywyknąć do tego, że Ksawery jest już nieboszczykiem...

— Jan przyrzekł odwiedzać nas w Chomenkach podczas wakacyj...— odezwał się Albin.— Niedobry... Ani razu nie odwiedził... A dwa razy od czasu naszego pobrania się przyjeżdżał do Hrynenek...

— Bo nie miał, panie marszałku, czasu...— tłómaczyła ciotka synowca. —Nieboszczyk korzystał z wakacyj, dla przyuczenia go do gospodarstwa... Całe dnie spędzali z sobą razem, w polu, na toku, na wsi... Ciągle dużo mieli z sobą do mówienia, że nawet niekiedy, co było wbrew zwyczajom Jegomościa, przeciągali rozmowy w noc... A byli

z sobą nie jak ojciec z synem, ale jak brat z bratem, przyjaciel z przyjacielem, że tylko z powierzchowności znać na nich było różnicę wieku... O cóż to za bolesny dla Jasia cios!...

I zasłoniła oczy chustką i rzewniéj zapłakała, bo tym razem swoim i ukochanego synowca zasmuciła się smutkiem.

Marszałkowéj także łzy puściły się z oczu.

— Trzeba Jana przygotować...— rzekł Albin, któremu, sądząc po jego skrzywionéj minie, dużo przykrości sprawiała rola świadka cudzéj boleści.

— Trzeba go przygotować...— powtórzyła pani Zofija.

I wszczęła się narada jak to zrobić?...

Z narady téj wypadło, że najlepiéj napisać wręcz, uwiadamiając Jana, że ojciec umarł.

Tak też i zrobiono. Nazajutrz marszałkostwo opuścili Hrynenki, zabrawszy z sobą list panny Ewy, dla oddania go mimojazdem na pocztę, i umówiwszy się, że zostaną uwiadomieni o przyjeździe Jana.

W Hrynenkach, po pogrzebie Jegomości, wszystko powróciło do dawnego trybu, jakby nad wszystkiém z zagrobowego świata czuwało oko Chorążego. W jego pokoju, na stole, w bibliotece, pomiędzy papierami, nic nie zostało zmienioném, przestawioném, ani nawet ruszoném. *Silva Rerum*, *Spostrzeżenia gospodarskie* i kalendarz, leżały na podorędziu, jakby oczekując na dalszy ciąg. Gazety i pisma przychodziły swoim porządkiem. Z officyalistów i sług nikt nie był zmienionym ani odprawionym. Bublewicz prowadził gospodarstwo, Jastrzębski szkołę, Hryhor rej wodził na toku, Daniło w stajni, Kociuba prezydował gromadzie.. Przybyła tylko pannie Ewie towarzyszka, która ją często nawiedzała.

Towarzyszką tą była wnuczka starego Kociuby.

Milczałem o niéj podczas uroczystéj chwili konania i poważnego aktu pogrzebu Chorążego, dla tego, że to cobym o Jerynce mówił, można było o każdéj powiedzieć dziewczynie. Wszystkie rzewnie, jak po rodzonym ojcu, płakały po Jegomości. Lecz żadnéj nie przyszło na myśl ofiarowania usług swoich osierociałéj pannie Ewie. Jerynka wprosiła się.

— Pani serce...— mówiła całując ją w rękę.— Weźcie mnie... Niech ja będę przy was... Wam będzie weseléj i mnie lżéj będzie na sercu...

— A twój dziadek, moje dziecko...— przerwała jéj łagodnie panna Ewa.

— Ja z dziadkiem mówiłam... Oni tyle mają wnuk i wnuków!... A wy sami... Ja nie chcę brać żadnéj płacy... Niech tylko będę przy was...

Tak prosiła, że panna Ewa nie mogła odmówić, tém bardziéj, że i stary Kociuba wniósł za wnuczką instancyę.

— Dziewczyna— powiadał— ma ochotę wam służyć... Weźcie ją pani... Ona przy was czegoś się nauczy, choć tyle co każda, która ze dworu za mąż poszła... Dwór naszego Jegomościa... niech mu Bóg da wieczny odpoczynek!... nie był gniazdem zepsucia... Każda dziewczyna, co z niego wyszła, czerwony pas po namitce na weselu swojém wiązała...

Nie wzięła jéj jednakże panna Ewa jako sługę, ani nawet sprowadziła na stałe do dworu mieszkanie. Jerynka odwiedzała ją i bawiła po kilka niekiedy z rzędu dni. Panna Ewa traktowała ją jako wnuczkę naczelnika gromady i znalazła w niéj czułą wnuczkę i pojętną dziewczynę, która i jéj smutek rozumieć i podzielać umiała, i w samotności była dla niéj prawie tém, co córka dla matki.-

Panna Ewa lubiła mówić, więc długiemi zimowemi wieczorami opowiadała jéj to samo, co niegdyś małemu Jasiowi. Dziewczyna rozpytywała się i chciwie pożerała każdy jéj wyraz. Rozpytywaniem się wkraczała w sfery nieprzystępne dla chłopskiego dziecka i dowiadywała się o rozmaitych rzeczach, o których ani śni się wiejskim dziewczętom. Jakaś pożądliwość wiedzy objawiała się w niéj gwałtownym, gorączkowym niemal sposobem i panna Ewa mimowolnie musiała ją zaspokajać.

Lecz opuśćmy Hrynenki, o których nic już nowego nie mamy powiedzieć, a przenieśmy się z listem panny Ewy do Kijowa. Nie opiszemy jednakże wędrówki listu. Doszedł on w całości i nienaruszoności na miejsce przeznaczenia. Doszedł i zastał Jana w złym humorze. Bohatér nasz wrócił właśnie od państwa Dolańskich, gdzie zwiódł z panem Porońskim nader żywy o powołaniu literackiém spór.

Pana Porońskiego stronę wzięli wszyscy obecni. Jan był sam przeciwko wszystkim.

Gniewny więc chodził Jan po swojéj stancyi i rozmawiał sam z sobą myślą, a niekiedy i głosem. Czoło jego było zachmurzone, oko zafrasowane, a było to już czoło i oko młodzieńca w sile wieku, w dobie pełnego życia.

Wtém wszedł pocztowy listonosz i podał mu list.

Czarna pieczątka strwożyła Jana. Wziął drżącą ręką list i spójrzał na kopertę. Na kopercie było pismo nieznanéj ręki.

Rozerwał kopertę, rzucił okiem na pismo, przebiegł myślą początkowe wiersze i list wypadł mu z ręku.

W oczach mu poczerniało, w uszach zadzwoniło. Na twarz spadły raptem smutek i żal — i sfałdowały ją w zmarszczki koło oczu i na czole. Oddech zatamował się mu w piersiach. A kiedy po chwilce, wciągnąwszy w płuca duży strumień powietrza, wypychał je na powrót westchnieniem, to wraz z westchnieniem wydarło się głuche, bolesne jęknięcie. A kiedy chciał postąpić, to nogi pod nim zadrżały. Zachwiał się i tyle tylko wydobył z siebie siły, że zwrócił się do łóżka i zwalił twarzą do poduszki.

Listonosz, który na piwo oczekiwał, wyszedł na palcach i zamknął po cichu drzwi za sobą.

Długo Jan leżał nieruchomie. Nie płakał, ale ciągle tłumioném oddychał jęczeniem.

Po niejakimś czasie jęczenie ustało, oddech zwolniał; Jan wstał, złożył ręce jak do modlitwy, wzniósł oczy do góry, i

— Ojcze mój!...— zawołał — bracie!... przyjacielu!... nauczycielu!...

Przeszedł się kilka razy po izbie, i dodał:

— O! gdybym mógł być godnym ciebie!...

Przeszedł się jeszcze kilka razy i podniósł list z podłogi.

Panna Ewa pisała krótko:

«Dnia 25 wrzesnia, o drugiéj po północy, ojciec twój, a mój najdroższy brat, przeniósł się do chwały Boskiéj. Wszyscy pogrążeni tu jesteśmy w głębokim smutku. Przed skonaniem przesłał tobie nieboszczyk błogosławieństwo

«na życie, na pracę, na poświęcenie, na ofiarę.» Na kilka dni przed śmiercią wręczył panu marszałkowi testament, który otworzonym ma być w twojéj obecności. Wolą ojca twego jest, abyś kończył uniwersytet. Och! jakbym ja chciała jak najrychléj uścisnąć ciebie, drogi Jasiu. Ale nie przerywaj sobie. Nieboszczyk zostawił rozporządzenia aż do twego przyjazdu. Zasyłam ci... etc.

«P. S. Państwo marszałkowstwo byli na pogrzebie i nocowali w Hrynenkach. Poznałam panią marszałkowę, tę pannę Zofię, o któréj tyle dobrego nieboszczykowi i mnie mówiłeś. Zacna i światła kobieta. W boleści naszéj taki udział wzięła, jakby nieboszczyk był jéj bliskim krewnym.»

Uspokoił się Jan nieco. Długo chodził po izbie. Zatrzymywał się niekiedy przed oknem i spoglądał na niebo. Usta mu drżały. Oczy często nabrzmiewały łzami, które pojedyńczo dużemi kroplami staczały się po policzkach. Wzdychał głęboko, i znów chodził.

Wieczorem wyszedł na miasto, i udał się do publicznego ogrodu. Stanął na nadbrzeżnéj ulicy i okiem w sinych falach dnieprowych utonął. Jesienny wiatr zżółkłemi miotający liśćmi i szum wody, o urwiste pluskotającéj brzegi, doskonale harmoniowały z nastrojem jego duszy i niosły mu ulgę: bo ulga w smutku leży w tajemnicy podzielenia się smutkiem, a wiatr i fale, zdawało się, jakby górą i dołem toczyły nuty żalu, który mu piersi przepełniał.

Jan nikomu o śmierci ojca nie powiedział. Komużbo miał powiedzieć?... Przyjaciołom?... Wszyscy ci, z któ-

rymi żył, byli przyjaciołmi, poważali go, kochali i dzielili w ogólnych zarysach jego przekonania. Żaden wszakże z kolegów nie zabolałby, tak jak on; żaden z jego serca nie wziąłby na swoje cząstki ciężaru. A nie chciał smutku swego wydawać na zwyczajne pocieszanie, reassumujące się w następnym frazesie:

—Wszystkich nas jednakowy czeka koniec...

On o tém wiedział. I nie tyle może zejście ojca z tego świata go bolało, ile rozstanie się na całe życie, aż do śmierci. Wiedział, że złączy się z nim znowu po kilku, kilkunastu, najdaléj kilkudziesięciu latach. Ale lata te upłyną mu bez niego, lata, które zawrą w sobie całą jego człowieczą działalność. I przez ten czas nikt mu ojca nie zastąpi. I w tém nikt pocieszyć go nie mógł. Wolał więc smutek zamknąć w samym sobie i przeboleć nim w samotności.

Koledzy nie poznali po Janie, że on już sierotą. Po otrzymaniu listu od ciotki, był względem nich takim samym, jak przed otrzymaniem. Nie zmienił się ani na jotę. Uczęszczał jak zwykle na kursa, na których był jednym z najlepszych słuchaczy. Przychodził, jak zwykle, na wieczorne koleżeńskie zgromadzenia, na których młodzież myśląca tworzy projekta do wniosków, z któremi wystąpić ma przed światem.

Towarzystwo młodzieży, od czasu jakeśmy je opuścili, zmieniło się nie do poznania. O takich pohulankach, jakie powyżej opisałem, ani już było słychać. Pseudoburszostwo wyniosło się; dawna tężyzna znikła. Nawet techniczne wyrazy pozmieniały znaczenie. «Tęgim chłopcem»

np. nazywał się już ten, co się lepiej uczył, co rozumniej pojmował rzeczy i umiał się z nich jaśniej przed kolegami wytłómaczyć. Nastała moda na książki, które krążyły, a z niemi zdania i zasady. Walka o te ostatnie na zgromadzeniach kolężeńskich, zajęła miejsce hazardownych gier i mocnych trunków. Nie bez tego żeby nie było łotrów; ale ci chodzili samopas, funkcyonowali ukradkiem, jak przedtém pracujące wyjątki. Role ich zmieniły się: praca wystąpiła na biały dzień, na słoneczne światło; próżniactwo do ciemnych wcisnęło się kryjówek.

Akademickie osobistości, które po imieniu, nazwisku lub przezwisku wymieniłem, albo o których wspomniałem, różnemu uległy losowi.

Henryk pozostał takim jak był: przyzwoitym, eleganckim ‘ dbającym zarówno o dekorum i o reputacyę człowieka dobrego tonu i światowego ułożenia.

Antek, gorliwy niegdyś adjutant Karola, przybrał taką samą rolę przy Henryku, którego sobie wziął za wzór. I w krótkim czasie prześcignął wzór, ale tylko pod względem paznogci, lakierowanych botynków, kroju odzieży i glansowanych rękawiczek.

Kaczór, z fakultetu nauk przyrodzonych przeszedł na medyczny i był pilnym, ale w spaniu. Wyglądał ciągle zaspany, z przymkniętemi oczami i poziewający:— snać odsypiał za swoje. Powiadał, że jeżeli mu się nie powiedzie egzamin, o którym tym razem na seryo mówił (mówił, nie zaręczę wszakże czy myślał) to pójdzie na matematykę. Z tego powodu podejrzywano go o chęć

zostania uniwersalnym uczonym, i przezwano go «Humboltem w jajku.» On pozwalał się podejrzywać i przezywać, i tylko przeciwko «Kaczorowi» protestował. Narzekał jednakże na nowe czasy, a chwalił stare, rozumie się, jeżeli znalazł kogo, co chciał go słuchać.

— Bodaj z piekła nie wylazł — mówił — ten, co to nowe życie wymyślił!

Żartowniś opuścił uniwersytet i wsiąknąwszy w grono obywatelstwa, zrobił z błaznowania rzemiosło, stał się pieczeniarzem *ambulant* i dobrze na tém wyszedł. Według ostatniéj wiadomości jaką o nim miałem, zajechał na cudzéj bryczce do Warszawy i tam udawał z razu magnata z Ukrainy, a w końcu się odłużył i poszedł do kozy. Niektórzy obywatele podolscy wykupili go składkowym sposobem, za cztéry tysięce rubli srebrnych. Hojność ta nie była może za darmo. Była odpłatą za ucywilizowanie. Żartowniś bowiem, opuszczając uniwersytet, pożegnał kolegów mówką, w któréj wyraziwszy wdzięczność za niewdzięczność, zapowiedział, iż idzie w świat, pomiędzy ludzi, jako apostoł cywilizacyi, którą tak określił:

— Bo do czegoż, bracia, cywilizacya prowadzi?... do dobrobytu.. Do czego dobrobyt?... do zadowolnienia.. Do czego zadowolnienie?... do radości... Do czego radość?... do śmiechu... *Ergo* cywilizacya prowadzi do śmiechu... Z czego wypada, że cywilizować ludzi i śmieszyć, to na jedno wychodzi.

Cynik rzucił na Kijów klątwę. Nie poznano się na nim. Piérwszy raz, od czasu jak w rozmaitych bywa-

jąc uniwersytetach i w każdym żyjąc psim swędem, z każdego w końcu został wygnanym, zdziwił się, że go jeszcze bannicya tu nie spotkała. Przypomniał sobie, że w Kałuskiéj gubernii miał matkę, brata i siostry. Spieniężył więc co się dało spieniężyć i ruszył piechotą. Doszedł aż do wzgórza, z którego ujrzał wioskę rodzinną. Spostrzegł i domek matki. Przypomniał sobie lata dziecinne. Rozczulił się. A że tuż była karczemka, więc zaszedł do karczemki, spił się do pół-śmierci, a gdy się wytrzeźwił, ruszył daléj w świat. I nie oparł się, aż gdzieś w aresztanckiéj rocie. Może, gdyby nie ta karczemka, byłby się opamiętał na łonie rodziny; a może też, gdyby nie ta karczemka, byłby rodzinę cynizmem rozpusty zaraził.

Karol, pomimo że od dawna minął już czas, w którym powinien był ostateczny zdawać egzamin, pozostał najdłużéj. Od dwóch blisko lat nie miał on już towarzystwa. Chociaż bowiem towarzyszy mógłby znaleźć, ale jemu jak wybrednemu w obżarstwie smakoszowi doborных potraw, potrzeba było dobréj i dobranéj do rozpusty kompanji. Lada kto mu nie wystarczał. Jemu potrzeba było takich jak Jan, Henryk, zresztą Antek i im podobni. Tych mu zabrakło. Więc począł szukać towarzystwa po za sferą akademicką.

«Szukajcie a znajdziecie!» Karol znalazł godnych siebie towarzyszy. Znalazł i tajemnicze miejsca, do których przypuszczają się sami zaufani i *honorowi*; honorowi dla tego, że nie donoszą policyi schronień faraona, diabełka, sztosa i rulety. To warto zanotować, jako jedno z ciekawszych o honorze pojęć, jakie się wśród nas, wraz z honorowością karcianych długów wylęgło.

W sferze takiego honoru spędzał Karol czas i wciągał w nią kogo mógł.

Razu pewnego trafił się mu przejezdny officer, który umyślnie zajechał do Kijowa dla opłacenia frycówki. Posiadał on dwie zalety: to co nazywają *usage du monde* i wielką ochotę do poswawolenia. Takiego mu było potrzeba. Spotkali się, poznali i zaprzyjaźnili. Karol wprowadził go w tajemniczy świat Kijowa. Officer tego tylko żądał. Miał on na wkupienie się w ów tajemniczy świat swoje pieniądze, których było nie mało; ale miał także osobno w pugilaresie złożone i nie swoje, skarbowe, przeznaczone na kupno remonty. Tych ostatnich nie tykał, a za swoje hulał. Karol mu przewodniczył, był mu ciceronem i quasi-mentorem. Hej! hulaliż — hulali!...

— Ty Karol, musisz być w *husarach!...* — mawiał officer.— Z ciebie będzie *sławny husar!...*

— Wstąpię... — odpowiedział Karol.— W uniwersytecie nie mam już co robić... Uniwersytet się zepsuł... Życie w nim do szczętu wygasło... Dobrzy chłopcy pogłupieli, jakby na nich morowém powietrzem nawiało... Wzięli się do książki, gawędzą, filozofują, jakby prawdziwa filozofia nie w tych trzech zawierała się rzeczach: w kieliszku, dziewczynie i kartach...

— Hej, brat, Karol!... tylkoż pamiętaj nie do żadnego innego, a tylko do naszego zaciągnij się pułku!... Za sześć miesięcy będziesz *kornetem*... Co za *kornet-maładiec!*... będzie z ciebie!...

Karol tak dobrze remontierowi przewodniczył, że mu raz, w obec rulety, posiadającej w banku stosy bomażek i kupę półimperyałów, pozostały w pugilaresie same tylko przeznaczone na kupno koni pieniądze.

— No!...— zawołał zaperzony officer, odstępując od stolika.— Czort wszystko zabrał!...

— Przegrałeś wszystko?...

— Wszystko!.. tylko mi już skarbowe pieniądze zostały...

— I!... to się możesz jeszcze odbić!...

Officer wypił duszkiem szklankę lemoniady, zaprawionej w połowie rumem; wypił drugą, trzecią, czwartą; ochłodził się; powiedział przyjacielowi, że «odwaga zdobi żołnierza» i począł stawiać dalej, zarazem na kolory i numera.

Stawiał grubo. Więc nie długo trwało i połowa bomażek przeniosła się z pugilaresu do banku rulety.

Officer klął dobitnie.

Karol od czasu do czasu podpowiadał mu:

— *Du courage, mon cher!... qui ne risque rien, n'a rien...*

Officer ryzykował.

— Szczęście ci dziś nie służy... Dajno mnie pieniądze... Ze zmianą ręki zmienia się szczęście...

— Bierz!— rzekł officer.

I dodał dziwnym tonem:

— Ratuj!...

Odszedł na stronę, usiadł w milczeniu przy osobnym stoliku i chłodził się lemoniadą z rumem.

Karol stanął na jego miejscu. Grał. Po niejakimś czasie podszedł do officera i podał mu pugilares.

— Wszystko?...— zapytał ten ostatni.

— Wszystko!... Nie było szansy...

Remontier nic nie odpowiedział. Wstał i wyszedł. Widział Karol jakąś zmianę w jego oczach, lecz ją przypisywał lemoniadzie i nie troszczył się o przyjaciela. Nazajutrz jednakże poszedł go odwiedzić.

I znalazł — trupa.

Officer strzelił sobie w łeb.

— Kiep!...— mruknął Karol pod nosem.

I poszedł spędzać dzień jak zwykle, tak, aby jak najweselej najweselszego doczekać się wieczora.

Dnia tego miał szansę. Rozrywki zgromadziły się. Jacyś znajomi mu szlachcice, którzy przyjechali dla pilnowania procesów, przegrali procesa i pocieszali się śniadaniem, zakropionem szampanem. Śniadanie przeciągnęło się do zmroku. Wieczorem trafiła się mała jakaś w dobranem gronie, złożonem z obu płci, orgia, która przeciągnęła się do późna w noc. Późno więc powrócił Karol do siebie, rozebrał się i położył.

Rozebrał się, położył, lecz nie mógł zasnąć. Zgasił świecę. Księżyc w pełni wlewał do izby pół światło, w którem wszystkie przedmioty dawały się widzieć i rozpoznać.

Karol zapalił hawańskie cygaro, i paląc w łóżku, śledził oczami dym rozpływający się w nocnem światłocieniu, i myślał o kontraście śnieżnej białości pereł z hebanową czarnością warkoczy pewnej damy, z którą się przed godziną rozstał, a której życie było dwoistem: w po-

łowie upływało w sferze świata etykietalnego, w połowie w tajemnicach rajskich nocy. Czuł jeszcze na dłoniach aksamitną jędrność pieszczonego jéj ciała; widział jéj uśmiech, unoszący się, niby coś eterycznego, na wyraźnych obłoczkach cygarowego dymu i sam się uśmiechał.

Przed drzwiami jego pokoju pokazała się jakaś postać. Ujrzał ją Karol z nienacka, i wpatrzył się w nią. Postać szła powoli, zbliżała się do jego łóżka. Słyszał głuche stukanie obcasów o podłogę. Słyszał chód i ten szmer, jaki sprawia człowiek idący w nocnéj ciszy. Chciał spytać: kto to?... Ale pytanie zamarło mu na ustach—w téj bowiem chwili poznał— remontiera... Usiłował zerwać się z łóżka; probował krzyknąć;— lecz siły go raptem opuściły, a język skamieniał w gębie. Widział zastrzelonego remontiera tuż przed sobą; twarz miał bladą, trupią, poplamioną zczerniałéj krwi znakami; włosy strączkami lepiły się na czole; usta były ścięte, oczy lodowym świeciły się blaskiem. Nachylił się nieco nad łóżkiem, wyciągnął rękę, i zimną dłonią, palcami, których dotknięcie podobném było do pociągnięcia żelaznych grabi, zgarnął w garść włosy Karola. Pociągnął i szarpnął silnie. Karol uczuł raptowny ból skóry na głowie i tyle jeszcze tylko pamiętał, jak waląc się z łóżka na podłogę, uderzył ramionami o twarde kolana trupa.

Co się z nim daléj działo — nie wiedział. Stracił przytomność.

Domownicy, zbudzeni stukiem i jakiémś szamotaniem w jego pokoju, przybiegli i znaleźli go zemdlałego, leżącego przy drzwiach. Krzesła były powywracane, kanapa odsunięta, komoda zwalona, łóżko tlało od upuszczonego niedogarka cygara i napełniało izbę śmierdzącym dymem pierza, waty, włosieni i gałganów.

— Nie prędko Karol się ocucił, i nie prędko zupełną odzyskał przytomność...

Przez kilka z rzędu dni po tym wypadku, upijał się wieczorami i nie nocował u siebie. A nie rozpowiadał o tém nikomu, bo wstydził się, aby go nie posądzono, że w ten sposób przemówiło w nim sumienie.

Wypadek ten był epoką, od któréj opuściły go szanse rozpusty. Ojciec się go wyrzekł. Koledzy akademiccy nim pogardzali, koledzy nieakademiccy odepchnęli go, jako takiego, który nie miał już czém poniterować. Obciążony długami, na każdym skręcie kijowskich ulic spotykał wierzyciela. Wszystkie jego rzeczy zagrzęzły u Paszczenka. Nawet Kaczor odzywał się o nim, że łajdak. I tylko dzięki uczuciu litości, wrodzonemu naszéj młodzieży, mógł pędzić życie, spychając dzień po dniu, jak niemiły ciężar, który, raz zrzucony znów sam włazi na barki. Tu zjadł obiad, ówdzie napił się herbaty, tam przenocował, gdzieindziéj przesiedział dzień. Pamiętano mu jedną zaletę, a mianowicie: że w czasach, kiedy na horyzoncie uniwersyteckim jaśniał gwiazdą piérwszéj wielkości, był jednym z tych, co to ostatnią z siebie oddał koszulę, jeżeli go kto o nią prosił. Z tego więc powodu cierpiano go tolerowano, i w taki mniéj więcéj traktowano sposób, jakby się mu należał pewien procent od jakiegoś kapitału. W procencie tym dostawały się mu: od tego jakaś sztuka bielizny, od innego jakaś część podchodzonego odzienia, od owego, w rodzaju niby pożyczki kilka złotych.

Litość brała patrzéć na tego świetnego niegdyś Karola, a to jeszcze tém bardziéj, że on nastawiał się, nie tracił bynajmniéj fantazyi, i całą siłą sofizmatów usprawiedliwiał postępowanie swoje, opierając się jak najmo-

cniej przy tém, że to co robił, dobrze robił. Osobistość jego żywym była przykładem zrujnowanej moralności i zaprzepaszczonych bezpowrotnie zdolności.

Litość pobudzała wielu do traktowania go tanią jałmużną morałów. Wówczas Karol śmiał się głośno i szydził.

— O, wy moralni moraliści!...—powiadał.—Wam się zdaje, żeście lepsi odemnie... A różnica pomiędzy nami taka: wy, bez najmniejszych przeszkód, rozczułostkowując się tylko kiedy niekiedy, przepoziewacie wasz żywot; ja zaś przepoziewam mój z przeszkodami, z urozmaiceniem: kolek w boku, bolów w krzyżach, płucach i żołądku, kurczów w ścięgnach i muszkułach, ciężkości w głowie, zaćmień we wzroku i barometru w kościach... Będzie to usprawiedliwieniem mego niedołęztwa, a wy waszego niczém nie usprawiedliwicie... Zdrowi na ciele... wielka mi rzecz!.. ale rzezańcy na duchu, rozpoziewani, będziecie z różańcem w ręku, stali na warcie haremu i pilnowali rozkoszy sułtańskich z najgłupszą wiarą, że na straży waszych własnych skarbów stoicie... Będziecie rozbierali i ubierali huryski, kąpali je w kryształowych fontannach, będziecie się zasłuchiwali w ich śpiewy i podsłuchiwali ich szeptów i westchnień miłosnych; będziecie zaopatrywali je w instrumenta muzyczne starego i nowego fasonu;... będzie to was rozłzawiać, a czasami, gdzieś w ukryciu, tak, żeby sułtan nie widział, rozsrożać... I na tém koniec... Ja tyle przynajmniej wygram, że mnie, z powodu kolek, bólów, kurczów i łamań, nikt na warcie haremu nie postawi... Mam wymówkę; wy żadnej...

A kiedy mu dowodzono, że to nieprawda, odpowiadał:

— Oto.. powiem wam krótko: jeden tylko Jan Jeż pomiędzy wami nie jest eunuchem... Gdybym nie był czém jestem, to chciałbym być Jeżem, ale żadnym z was...

I mógłby być Jeżem, gdyby wcześniej był zechciał. Teraz było już po niewczasie. Nałóg rozpusty wystudził w nim ciepło serdeczne, bez którego najznakomitsze zdolności albo obracają się na złe, jak u samolubów, albo marnieją jak w Karolu.

Z powodu to zapewne dystyukcyi, jaką Jana zaszczycił, zaszczycał go także, częściej niż innych, swoją bytnością.

Dystynkcya ta i odwiedziny nie były Janowi na rękę. Pierwsza wprawiła go w podejrzenie analogii pomiędzy jego a Karola zasadami, drugie były mu przeszkodą, wypadały bowiem często nie w porę. Ale—cóż było robić!.. Wypchnąć za drzwi — nie godziło się, a chociażby się i godziło, to — powiedzmy nawiasem— czuł Jan dla Karola jakiś rodzaj kommizeracyi, łagodzącej surowość jego nawet wówczas, kiedy mówił:

— Na jakiegożeś ty Karolu wyszedł gałgana!..

— Nie na gałgana... — odpowiadał tenże — ale na nieporządnego człowieka... Trzeba dobrze wyrazy rozróżniać... Moje gałgaństwo jest gałgaństwem w odniesieniu do tego, co mogłoby być porządkiem; jest zaś sobie tylko nieporządkiem, w odniesieniu do tego, co jest porządkiem... Ja biorę rzeczy jak są, ale nie jakby być mogły lub powinny... To całe inna kwestya... Mój nieporządek względem porządku ma się zupełnie tak, jak Pac względem swego pałaca: warci jeden drugiego i potrzebni jeden drugiemu... Bez takich nieporządków, jak mój, społeczność zachorowałaby na monotonność, na angielski *spleen*, i skończyłaby na tem, że szukałaby sposobów, jakby sobie najoryginalniej gardło poderznąć... Zawróciłaby się biedaczce głowa... Oczadziałaby od kadzideł, któreby sobie sama palić musiała... Wyobraź sobie tylko, co to

byłaby za rozpacz dla moralistów np., gdyby nie mieli kogo moralizować!..

— A mogłeś być użytecznym!..—przerwał Jan.

— Mogłem, to prawda, ale jużem się zmógł na nieporządku...

— Dla czego?..

— Hm!.. Albo ja wiem!.. Stało się, i kwita!.. Inaczej snadź jakoś niż ty na świat popatrzyłem, kiedy po raz pierwszy otworzyłem oczy...

Karol nie umiał się z tego wytłómaczyć i po tłómaczenie należałoby chyba udać się do jego ojca, który od kolebki przyświecał synowi pochodnią karyery i przez to i umysłowi jego, i wyobraźni, i woli, i charakterowi fałszywy nadał kierunek. Starał się wprawdzie zająć go artyzmem. Karol grał i malował. Dla innego, trwożliwszego, cichszego, możeby to wystarczyło;—dla niego—nie. Jemu potrzeba było takiego ojca, jakim był Jegomość; takiego, któryby się o niego nie bał i śmiało, otwarcie, bez ogródek, nazwał mu po imieniu prawdziwą cnotę.

Nieraz zejść się dawali Jan i Karol w Janowéj stancyi, siedzący we dwójkę na pogadance. Nie było to już niebezpiecznem dla bohatera naszego towarzystwo. Jana nie można już było sofizmatami zepsuć. Wiedział on już—jak Hryhor powiadał—w którym kościele dzwonią. Karol służył mu, jak trup dla młodego medyka, ćwiczącego się w anatomii, jak żywa książka, w któréj czytał o upadku człowieka. Starał się go z razu poprawić, lecz poznał że napróżno, że trupa nie wskrzesić; więc dał temu pokój.

Karol opowiadał o licznych wypadkach swego niedługiego życia z takiém zamiłowaniem, jak weteran o bojach

stoczonych i trudach doznanych. W opowiadaniach tych miłostki główną grały rolę. Podowiadywał się Jan o takich skandalicznych historyach, z których możnaby dwunasto przynajmniej tomowe a wielce interesujące napišać dzieło, pod tytułem: Tajemnice. Wszystko to było dla niego bardzo zajmującém i korzystnem, oznajomiało go bowiem z ludźmi, dawało mu poznać świat, uwalniając od potrzeby narażania się w świecie na tego rodzaju próby, jakiemi debiutował w uniwersytecie.

Co go jednakże najbardziej interesowało, to tajemnica miniatury. Téj Karol nie wyjawiał. Niedyskretny względem wszystkich bez wyjątku panienek, panien i pań z wielkiego i małego świata, z którémi miał stosunki, obchodził milczeniem jednę tylko pannę Zofiję, dzisiejszą marszałkowę. Jan zaś, nasłuchawszy się o poniewieraniu, jakiego się kobiety same na sobie dopuszczają, nie śmiał o nią zapytać. Zachodził go więc ogródkami w taki sposób:

— Gdy mówisz o kobietach, to zdaje się, jakby już żadnéj pod słońcem nie było cnotliwéj... A może też przecie znalazłaby się jaka...

— Znalazłaby się, ale taka, któréj cnota zależy na upieraniu się przy «nie»,—na odpychaniu pokusy rękami i nogami, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dla czego odpycha... Przełam upor, upor słaby i bardzo łatwy do przełamania, i już po cnocie... Co po takiéj cnocie!.. Znałem tylko jednę...

I nie kończył. Jan prawie był pewnym, że ta jedna była Zofiją Otocką.

— O! jakże mi teraz potrzeba kilku rubli!..— rzekł razu pewnego Karol.

— Zdałoby ci się i więcéj...— z przekąsem odpowiedział Jan.

— Hm!.. To prawda... Potrafiłbym i kilku tysiącom podołać, ale w téj chwili dziesięciu karbowańcami opędziłbym trzyletni procent...

Od czego?..—zagabnął Jan.

— E!.. Od téj miniatury, którą widziałeś...

Jan drgnął lekko. Udał jednakże obojętność i odezwał się:

— Co ci tam po miniaturze!..

— To prawda... — odparł Karol. — Głupie wspomnienie!.. Najgorzéj, jeżeli człowiek do wspomnień wartość przywięzuje...

— Więc on o nią nie dba...— pomyślał Jan i rzekł znienacka:

— Chodźmy do Paszczenka!.. Procent opłacę i miniaturę wykupię, ale pod warunkiem, że u mnie w zastawie zostanie...

Karol zawahał się, a po chwili uśmiechnął.

— E!.. bo i tyś się bratku podobno złapał...—powiedział do Jana.

— Tém dla ciebie lepiéj... Tém większą masz gwarancyę poszanowania dla tego wspomnienia...

— Poszanowania!..—zawołał Karol i zaśmiał się szydersko.—Ja go nie szanuję!..

— A cóż?..

— A!.. Chciałbym je sponiewierać i nie mogę... Bo to wspomnienie jedynego upokorzenia, jakiego w życiu doznałem...

— Dziwny jakiś psychologiczny fenomen...—rzekł Jan niby do siebie.

— Bynajmniéj nie dziwny...—odrzekł Karol.— Bardzo

podobny do tego, jaki przytrafia się antreprenerowi menażeryi z oswojoną lwicą... Wchodzi człowiek do jej klatki, pieści ją, kładzie jej w paszczę głowę i jest jej zupełnie pewnym, a najpewniejszym w chwili, w której lwica, przez proste z karesów zębami ściśnienie, odgryza mu łeb... I antreprener pozostaje z wspomnieniami miłości lwicy, ale bez łba... Prawda, że w tem nie ma nic dziwnego!...

— Niech i tak będzie...— odparł Jan.— To jednakże nie przeszkadza, abyśmy poszli do Paszczenki.

Karol namarszczył się, pomyślał przez chwilę, pokiwał głową, machnął ręką i rzekł:

— Pal diabli!... Chodźmy!... Sprzedam ci miniaturę na własność za trzydzieści srebrników... Przynajmniej spiję się porządnie, *in gratiam* głupiego wspomnienia....

Tym sposobem przyszedł Jan do miniatury, a zarazem, co było dla niego milszém, do przeświadczenia, że w intrydze romansowej, jaka się pomiędzy Karolem a Zofiją nawiązała, ta ostatnia odegrała jakąś czystą i imponującą rolę. Nasuwało się samo przez się pytanie: kiedy i gdzie to było?... Musiało to być bardzo dawno— może w czasach, kiedy panna Zofija, odbywając edukacyę w Kijowie i mieszkając u wujostwa, rozkwitała w pierwszy pączek dziewictwa. Bo ani w Łąkach, ani u Państwa Dolańskich nic nigdy o Karolu nie mówiono. Więc albo tam nieznano, albo od lat już kilku zerwano z nim. Ostatni ten domysł wydawał się prawdo-podobniejszym. Panna Otocka mogła go poznać mieszkając w Kijowie. Może nawet uczyła się u niego muzyki albo rysunków. Z młodymi professorami tak łatwo zawiązują się romanse... Od Karola dowiedział się Jan, że miniatura była własnej jego roboty. Musiał więc bywać niegdyś przynajmniej u wujostwa panny Zofji.

Na domysłach tych poprzestał Jan. O nic bo mu już zresztą nie chodziło. Kontent był, że obraz kobiety, którą czcił jak świętego, wydobył i z rąk lichwiarza i z rąk Karola. A prawdę powiedziawszy, nie miał nawet czasu bawić się w przypuszczenia i domysły i z nich budować romanse: bo przed nim było już tylko trzy niespełna miesiące czwartego kursu. Trzeba więc było myśléć o zdaniu sprawy z tego, czego się przez cztéry lata nauczył.

Kto zdawał egzamina, ten wie jaką w nich miłość własna odgrywa rolę, z jakiem poświęceniem zdrowia a nawet życia młody człowiek wskazuje ciało na bezsenność i umysł na gwałtowne natężenie, byle tylko przynajmniéj nie powstydzić się.

I nasz Jan, któremu miłości własnéj nie brakło, wziął się do egzaminów całemi siłami. Pracował i sam i spólnie z kolegami. Przedmiot przychodził po przedmiocie, i on do każdego stawał śmiało. Śmiałość przy egzaminach dobrym jest znakiem. Owóż, rezulatatem jéj było, że Jan wyszedł jednym z piérwszych kandydatów, co znaczyło, że przed nim świat karyery na ścieżaj się otworzył. Mógł powiedzieć sobie to, co wielu myśli, wstępując do uniwersytetu:

— Jestem tedy na szerokiéj, bitéj drodze... Wszelkie przeszkody usunięte... Pozostaje mi tylko iść i iść, przyśpiewując...

Jan jednakże nie to sobie powiedział:

— Jestem tedy na drodze trudnej, przykréj i niepewnéj... Dotychczas prowadzono mnie za rękę... Teraz mam iść sam...

Przyszedł mu na myśl ojciec. Wpadł w zamyślenie. Jakiś niewysłowiony smutek go ogarnął.

Zamyślenie jego i smutek kontrastowały z radością, jakiéj oddawali się koledzy.

— Czy ty nie uśmiechniesz się do świata, który jest już twoim?— pytał go jeden.

Jan wzruszył ramionami.

— Ale przyjdziesz przecie dziś wieczorem?...

— O... a jakże...— odparł Jan.

Ostatnie to zapytanie odnosiło się do uczty pożegnalnéj, jaką sobie rozchodzący się w świat koledzy dawali.

Nazywam ucztą to, na nazwanie czego taki jakiś potrzebaby wynaleźć wyraz, którymby dokładnie można oznaczyć: skromność w jadłach i napojach połączoną z wielką, posuniętą nieledwie do zbytku obfitością zadowolenia. Ciasta, bułki, mięsiwa na zimno, herbata, kilka butelek wina, parę butelek araku, frukta— oto wszystko. To wszystko wyglądało bardziéj, jakby przeznaczeniem swojém miało zaspokojenie głodnych żołądków, nie zaś łechtanie podniebień bawiącym się ludziom. I lokal odpowiadał téj uczcie. Był to dom z sadem, położony za miastem, za botanicznym ogrodem, w pobliżu uroczyska zwanego metropolicim laskiem. Sad porastał rozsochatemi drzewami. Domu tego nikt nie wynajął na mieszkanie, i z tego powodu doskonale się nadał. Za kilkanaście rubli pozwolił go właściciel użyć na jeden wieczór. Dla właściciela było to korzystném, dla akademików dogodném.

Akademicy, za pośrednictwem wybranych *ad hoc* gospodarzy, urządzili i ustroili dom na ucztę. Oświecili go wewnątrz stearynami, zewnątrz latarkami, porozwieszanemi na gałęziach drzew ogrodowych. W największym pokoju zastawiono stoły, w przyległym kipiały samowary, w innych zaś można było dowolnie siedzieć lub chodzić.

Urządzenie domu i przysposobienie uczty kosztowało

summa summarum trzysta dwadzieścia sześć rubli, zebranych sposobem składki, której *minimum* stanowiło zero, to jest: kto mógł co dać to obowiązanym był dać, a kto nie mógł, to obowiązanym był przyjść. Datkujący więc dawali i po złotemu i po sto złotych,— ile kto mógł— i zebrali się w liczbie półtorakrotnej prawie w stosunku do summy rubli.

Byli tam nie tylko sami kończący akademicy, ale i tacy, którzy zostawali jeszcze w uniwersytecie i oprócz nich, zaproszono jeszcze i kilkanaście osób reprezentujących ten świat, względem którego uniwersytet grał rolę rozsadnika.

Zgromadzili się tam przeto trojakiego rodzaju ludzie: ci co należeli jeszcze do uniwersytetu, ci co stali na granicy pomiędzy szkołą a światem i ci co należeli już do świata.

Pomiędzy tymi ostatnimi było kilku naszych znajomych. Ten łysy starzec, uśmiechnięty dobrotliwym uśmiechem, wesoły, odmłodzony niejako w gronie młodzieży— to Henryka ojciec. Ten drugi, człowiek średnich lat, siwiejący, poważny, z wyrazem rozumu na twarzy — to pan Dolański adwokat. Ten trzeci, także poważny i nawet okazały, noszący niby na sobie wielkiemi wyrazami wypisany wyraz *obywatel*— to marszałek Skrzybicki. Ten czwarty— o! ten najlepiej nam znany— otoczony szacunkiem, uprzedzany nadskakującą grzecznością, to pan Józef Ambroży Poroński.

Jedli, pili, lulkę palili i rozmawiali, a nadewszystko rozmawiali: oto jak w krótkości określić się da ta uczta. Brak wino-płynu zastępowała wino-pieśń, jeżeli przyjmiemy że «że piosenka jest dla duszy winem. Rozległa się ona kilkakrotnie, chóralnie, pod konarami sadu i upoiła

dusze biesiadników. Wszyscy byli weseli: starzy dla tego że się widzieli wśród młodych, młodzi dla tego że się widzieli razem.

Około pana Józefa Ambrożego formowały się zawsze gruppy, i on im prawił. O czém on mówił, tego powtarzać nie będę; powtórzyćbym musiał bowiem to, z czém go już kilkakrotnie, w ciągu niniejszéj powieści, słyszeliśmy odzywającego się.

Pokoje i sad były pełne. Młodzież snuła się. Raz zebrała się była za stołem, ale na krótko, na to tylko aby wypić jeden toast, zdrowie tych, którzy opuszczali szeregi akademickie. Kilkaset rąk wzniosło się do góry, kilkaset piersi huknęło serdecznym, grzmotnym okrzykiem. I na tem koniec. Potém nastał gwar rozmów, podobny z daleka do brzęczenia pszczół w ulu.

Trudno opisać tę ucztę ze szczegółami, w całym jéj przebiegu. Nawet o to kusić się nie będę. Wezmę jeden jéj moment, ten *w którym dwie wrogie sobie osoby stanęły* jedna wobec drugiéj, jak dwaj przeciwnicy rzucający sobie rękawicę.

Któreż to osoby były sobie wrogiemi?...— zapytacie.

Wrogiemi?... Może ja źle wyraziłem się. Zatrzymuję jednakże wyraz, bo nie mam innego na oddanie uczucia ludzi odmiennych przekonań, ludzi, którzy niczego złego sobie nie życzyli; nie chcieliby np. jedno drugiego w łyżce wody utopić, ale woleliby, ażeby jednego z nich nie było, z téj przyczyny, że rozumieli obydwa, iż jeden drugiemu przeszkadza w ten sposób jak «*tak*» i nie, «*nie*» lecz «*ale*».

Ludźmi tymi byli:—nasz Jan i nasz pan Józef Ambroży.

Około pana Józefa Ambrożego, jakem powiedział, gromadziły się gruppy.

Zatrzymał się znakomity literat pod szeroko rozkona-

rzoną jabłonią. Przy nim stał stary sędzia i pan Dolański, jakby na świadczenie mu. Byli oni środkowym punktem wianka słuchaczy, który coraz bardziej gęstniał, i powoli, powoli wsiąknął w siebie całą prawie młodzież obecną na uczcie.

Każdy wie, jakim jest czar wymowy. Jest to jedna z potęg, która chwyta za serca i obchodzi się z rozumami jak z miękkim woskiem. Kogo nią Opatrzność obdarzyła, *może* jej użyć jak się mu podoba:— na złe i na dobre.

Pan Józef Ambroży używał wymowy swojej po swojemu. Krągłe, dźwięczne peryody, niby wyimprowizowane, niby głęboko obmyślane, płynęły mu z ust jak woda, i wlewały się w uszy, serca i rozumy potakujących mu słuchaczy. Ani jedno *nie* w niczyjej myśli nie postało, tak wskroś przenikała idylliczno-praktyczna moralność, głoszona przez kapłana pisanego słowa. Przeciwko tej moralności— zdawało się — jeden tylko chyba Karol mógłby powstać. Ale Karola nie było na uczcie.

Pomiędzy słuchaczami nie było Jana. On unikał pana Porońskiego i w tej właśnie chwili przechadzał się z marszałkiem Skrzybickim w innej stronie sadu. Rozmawiali ze sobą. Marszałek opowiadał o swojej żonie.

—Szczęśliwy jestem...— mówił— bardzo szczęśliwy... To anioł, nie kobieta.... Ona raj z Chomenek zrobiła.... Zobaczysz... Przekonasz się...

Jan nic nie mówił.

— Chciała przyjechać...— ciągnął Marszałek— dla Henryka i dla ciebie, ale nie mogła... Powiła syna... Ale obligowała mnie, abym ciebie zabrał z sobą i przywiózł wprost do Chomenek...

— Muszę być pierwej w Hrynenkach...— odparł Jan. Chcę najprzód ciotkę i moich i grób ojca powitać...

— Jak chcesz...— rzekł Albin.— Spodziewam się jednakże, że o nas nie zapomnisz... My tam zjedziemy się do ciebie, z testamentem nieboszczyka twego ojca... Już zamówiłem obywateli...

Wtém zatrzymał się, obejrzał i powiedział z akcentem zdziwienia:

— Cóż-to!... my sami!... gdzie inni?...

— Zbiegli się około Porońskiego— odrzekł Jan— który ich andoktrynuje...

— Chodźmy i my!...— zawołał Albin.

Jan powstrzymał się z razu, jakby ociągając się, lecz poszedł za Albinem, który go wyprzedził. Poszedł i stanął za obrębem słuchaczy. Zwiesił głowę i słuchał.

Tak przestał z kwadrans. Wyrazy pana Porońskiego dzwoniły srebrzyście po nad tłumem. Było cicho. Jan podniósł głowę, wyprostował się i przybrał postawę człowieka słuchającego z natężeniem.

— Tak, bracia, tak!...— kończyła się przemowa pana Porońskiego.— Takiemi, nie innemi, są nasze obowiązki!.. Takiém, nie innem, jest życie po Bogu!...

— Prawda!..— ktoś się odezwał.

— Prawda!..— powtórzyło kilkadziesiąt głosów.

— Prawda!..— odezwał się gwarem tłum.

— Nie prawda!..— krzyknął Jan.

Gwar ucichł raptem. Wszyscy obejrzeli się na Jana, zdziwieni i zgorszeni.

Takie wrażenie wywrzeć musiało na słuchaczach najpierwsze *veto!* Sicińskiego.

Jan darł się przez tłum, rozpychał kolegów, przedarł się, i stanął przed panem Porońskim.

Ten ostatni był z razu jakby zdekoncertowany.

— Nie prawda!..— powtórzył Jan głośno i wyraźnie,

lecz z pewnem drżeniem w głosie, jakby pochodzącem od wewnętrznego wzruszenia. —Nie, panie!... Pan śpiewasz piosenki do snu, kołyszesz ludzi ziewanym rytmem... Nie tego życiu potrzeba... Rytm senny załaskocze duszę na śmierć, jak rusałka...— A śmierć duszy jest wieczną... Po niej nawet pogrzebu nie będzie... Rozpłynie się na tonach pogrzebowej piosenki, którą sobie sama z góry wyśpiewa.

I jakby się zmógł temi kilkoma frazesami, zamilkł, i dysząc mocno, patrzał panu Porońskiemu w oczy.

Do koła głuche panowało milczenie.

Pan Józef Ambroży nie mógł znieść jego wzroku. Podnosił oczy, to spuszczał. Spoglądał to na Jana, to wyżej, na konary jabłoni okrywającej ich liściauem sklepieniem, to niżej na ziemię. I począł chrząkać zabierając się do jakiejś odpowiedzi. Lecz Jan go uprzedził.

— Bądź zdrów, śpiewający i deklamujący grabarzu!.. —rzekł Jan z uśmiechem.— Nie podaję ci ręki, bo nie ty mnie pochowasz...

— Śpijcie, niemowlęta, pod kołysanką słodkiego «luli»!.. —rzekł zwracając się do sędziego, adwokata i kilku obywateli stojących razem.— Budząc się, budujcie sobie chińskie pagody i kurniki z kolumnami... Bądźcie zdrowi!...

Przerwał mu gwar, w którym to tylko dało się zrozumieć, że był niechętnym dla Jana.

Wkrótce potem Jan opuścił zgromadzenie.

Po jego dopiero odejściu oburzenie wybuchło.

Kaczor mówił, że to głupiec, i utrzymywał, że miałby rozum wówczas tylko, gdyby z matematycznego przeszedł na medyczny fakultet, i jeszcze przez pięć lat w uniwersytecie pozostał.

Antek dowodził, że go zepsuł Karol, któremu, jak twierdził, trudno się oprzéć.

— Trzeba— powiadał— wielką posiadać moc charakteru, aby się wydrzéć wpływom Karola... My wszyscy teraz Karolem pogardzamy i nie słuchamy banialuków, które on wyplata, a Jan był z nim ciągle za pan brat...

Tu Antek pociągał białe rękawiczki i zapinał nowiutki frak, w którym piérwszy raz wystąpił, i wkładał ostrożnie na głowę cylindrowy, czarny kapelusz.

Pan Dolański opowiadał obywatelom, że oddawna dostrzegł w tym młodym człowieku wielką dozę zarozumiałości.

— Zle był, słyszę, wychowanym...— mówił.— Dziwak ojciec, chował go z chłopami... Słyszałem o tém od Henryka.... Wszak tak, panie Marszałku?...— zapytał Albina.

— Tak.«.— odrzekł Albin z westchnieniem.— Ojciec jego bardzo był poczciwym człowiekiem, ale...

— Otóż-to, to «ale»...— przerwał pan Dolański— zrobiło z młodego Jeża nieznośną figurę... Nieboszczyk ciężko odpowie przed Panem Bogiem, że takim świetnym zdolnościom... bo zdolności mu zaprzeczyć nie można... dał za grunt zarozumiałość...

Henryk przepraszał pana Porońskiego za grubiaństwo kolegi i przyjaciela.

Pan Józef Ambroży zaklinał się, że się bynajmniéj nie gniewa, że z góry Jan miał jego przebaczenie, i powtarzał żałośnym tonem:

— Szkoda go!... wielka szkoda!...

— Moja obraza!...— mówił— Nie ma o niéj co nawet wspominać!... Ja mu ją przebaczyłem... Ale takich zacnych, poważnych, zasłużonych i szanownych obywateli nazwać niemowlętami!... To nadto...

I dodał, zwracając się do sędziego i biorąc go za rękę.

— Muszę panów dobrodziejów przeprosić, że moją gawędą stałem się mimowolnym powodem takiego smutnego wypadku...

Sędzia wymawiał się i uspokajał pana Porońskiego, odwołując się do swoich siwych włosów, do których — jak się wyraził — «przystać nie może żart lada młodzika.»

Długo jeszcze rozmawiano o Janie. Oburzenie znikło pod przewagą pana Porońskiego: «szkoda go»... Miejsce oburzenia zajęła — litość.

Jan opuściwszy pożegnalną ucztę, udał się wprost do siebie. Dochodząc, spojrzał z ulicy na piętro, na okno swojej stancyi, którą miał nazajutrz opuścić, i zdziwił się ujrzawszy tam światło. Wbiegł po schodach, otworzył drzwi i zastał Karola.

Domowników bynajmniej nie zdziwiło, że Karol bez Jana przesiaduje w pomieszkaniu tego ostatniego, zdarzało się to bowiem bardzo często.

I Jan często zastawał go u siebie, szczególnie wieczorami. Obecność więc jego nie powinna go była dziwić.

Tym razem jednakże, zdawało się, jakby się zdziwił. Zatrzymał się we drzwiach, zmierzył Karola wzrokiem od stóp do głowy, postał przez chwilę i zapytał:

— Ty tu co robisz?...

— Przyszedłem do ciebie z interesem...— odrzekł Karol z uśmiechem.— Z innymi się żegnasz, ze mną się przywitasz...

Jan postąpił kilka kroków i pokazując palcem na drzwi, groźnie i głośno zawołał:

— Precz!...

— Czy tak?...— zapytał Karol.— To, jak widzę, z tobą inaczej brać się trzeba do interesów...

To mówiąc, wydobył z kieszeni pistolet, odwiódł kurki i szydersko się zaśmiał.

Jan opuścił rękę.

— *Argumentum ad hominem*...— rzekł Karol pokazując pistolet.— Siarka i ołów miewają jeszcze i tę własność, że bywają pocieszycielami w utrapieniu, karmicielami w głodzie, i posiadają wiele innych tym podobnych cnót i zalet... Siarka i ołów, to małżeństwo, przymusowe wprawdzie, ale wzorowe... Małżonek ołów ślepo jest posłusznym małżonce-siarce... Owóż, ja mam szczerą i niezmyśloną intencyę poprosić pani siarki, aby kazała panu ołowiowi przejść na wylot przez mój mózg, jeżeli ty odrzucisz moje żądanie...

Tu zatrzymał się. Jan sięgnął ręką do kieszeni. Karol spostrzegł ten ruch, zaśmiał się i powiedział:

— Nie o to chodzi... Nie potrzebuję twojej sakiewki... Cóżbym z nią zrobił?... Upiłbym się parę razy?... I... to głupstwo!... psu mucha!... Chcę ci proponować, żebyś mnie wziął z sobą... Chcę los mój z tobą złączyć; nie dla tego, żebym przewidywał pewną i spokojną w Hrynenkach pieczeń... O! nie!... Wiem ja co cię czeka... Będziesz potrzebował pomocy mojej filozofii, bo skończysz tak samo jak ja... Bo wiedz, że i ty jesteś nieporządkiem... Będziesz wycierał cudze kąty... Odepchną ciebie... Pogardzą tobą... Będą się z tobą wdawać z jałmużny, przez litość... Dziękuj Bogu, że ci ojciec umarł, bo onby ciebie, jak mój mnie, się wyrzekł...

Na te ostatnie słowa, coś Jana jakby podniosło. Skoczył i tak szybko gwałtownie i niespodzianie rzucił się na Karola, że mu pistolet wypalił i wypadł. Kula przeszła Janowi pod ramieniem i ugrzęzła w ścianie. Huk wystrzału wprawił go niejako w wściekłość. Porwał Karola za

piersi, wstrząsnął nim, obrócił, schwycił go za kołnierz jedną ręką, podniósł do góry, postąpił kilka kroków i wyrzucił przez drzwi na schody.

Na odgłos wystrzału i łoskot spadającego po schodach ciała, zbiegli się do Janowéj stancyi domownicy. Jan był blady, zirrytowany; powiadał im, że to nic, że on wyrzucił od siebie nieproszonego gościa; i oni musieli temu uwierzyć, bo zresztą, oprócz wystrzału i łoskotu, nie było żadnego śladu, na który należałoby naprowadzić policyę.

Jan w samotności uspokoił się i położył spać. Czy spał? o tém nie wiem. Wiem, że nazajutrz wstał zdrów i spokojny. Około ósméj z rana zaszła trójka pocztowa. Pożegnał się z gospodarstwem, którzy mu długiego życia i wszelkich pomyślności życzyli, wsiadł na wózek i pojechał.

XII.

W Hrynenkach panna Ewa wyglądała synowca z upragnieniem.

Wiedziała ona którego dnia może on z Kijowa wyjechać,, a zatém wiedziała kiedy przyjedzie do Hrynenek. A jednakże, na tydzień przed jego przyjazdem już go wyglądała. Swojém snadź upragnieniem mierzyła pośpiech synowca. Zdawało się jéj zapewne, że on w stanie skrócić czas pobytu swego w uniwersytecie, przyspieszyć termin skończenia.

Co dnia wieczorem widzieć ją można było na ganku, który podniesieniem kilku schodów górował nad podwórzem i odkrywał widok na groblę i drogę za groblą, zkąd spodziewała się Jana. Siedziała do późna z pończochą w ręku i z wlepionemi na drogę oczami. Na piérwszym schodku siadywała zwykle Jerynka. I ona spoglądała ku drodze.

— Nie widać?...— pytała się po raz setny panna Ewa.

— Nie, pani serce... Na drodze trzoda wzbiła tuman..— po raz setny odpowiadała dziewczyna.

— Może on dziś nie przyjedzie...

Dziewczyna milczała.

— Jak się tobie zdaje: przyjedzie, czy nie przyjedzie?...

— Mnie się zdaje, że przyjedzie...— mówiła zapytana i cicho wzdychała, bo jej serce, jakby z trwogi, szybszém uderzało tętnem.

Równo ze zmrokiem, w chwili kiedy nietoperze uwijać się poczynają, przyjeżdżał Bublewicz, przywiązywał kasztanowatą u płotu i przychodził po dyspozycye.

Pannie Ewie zdawało się, że on może coś wie, że może wracając z pola, zajrzał gdzie przejeżdżającego dalszą drogą Jana. Zapominała, że opasłą kasztanowatę pana Bublewicza można było najdalszą drogą wyprzedzić. Najpierwéj więc zapytywała:

— A co, o naszym Jasiu nic nie słychać?...

— Nie, pani...— odpowiadał ekonom.

Panna Ewa wzdychała i jakby echo jéj westchnienia wtórowała jéj po cichutku Jerynka.

— Może nadjedzie w nocy...

Późnym wieczorem odchodziła Jerynka do domu. Nie bała się ani topielca na grobli, ani ciemności nocnéj. Szła przez groblę i często się zatrzymywała, bo jéj się nieraz przysłyszał turkot szybko jadącéj bryczki. Był to turkot kół młyńskich, które czasem furczały, jakby bryczka jechała. Jerynka je znała, a jednakże teraz nie poznawała.

Za groblą leżał cmentarz, a od cmentarza zaczynał się las. Cmentarz ten i las były postrachem dziewcząt wiejskich. W dzień nawet nie śmiały chodzić tamtędy. Jerynka się i tego nie bała. Sama jedna szła mimo, za-

trzymywała się i spoglądała w stronę cmentarza, bo tam przechodziła droga.

W wigilię przyjazdu Jana czekała go Panna Ewa do późna. Cała wieś spała już głęboko, tylko ona i Jerynka czuwały na ganku.

— Ty dziś już nie pójdziesz, moje dziecko, do domu... Przenocujesz we dworze... Może on w nocy nadjedzie...

— Dobrze, pani duszko...— odrzekła dziewczyna.

Około północy poszły spać, ale przez całą noc oka zmrużyć nie mogły. Ciągle zdawało się im, że ktoś jedzie. Wydawało się im niekiedy, że ktoś idzie.

— Może to Jaś... — mówiła panna Ewa zrywając się z pościeli— Czyś słyszała?...

— Słyszałam, pani serce... ktoś idzie...— odpowiadała dziewczyna.

— Przyjechał zapewne po cichu, żeby nas nie pobudzić... Trzeba zobaczyć...

I wstawała. Ale Jerynka uprzedzała ją. Wybiegała. I powracała z wiadomością, że nie ma nikogo.

O świcie Jerynka wstała i poszła w pole gromadzić.

Pannę Ewę zmógł sen. Słońce zeszło, zajaśniało całym czerwcowym blaskiem,— ona spała.

Mimo łąki, na której zeszli się gromadzielniki, opodal przechodził trakt z Kijowa. Można było widzieć przejeżdżających po nim, lecz nie dobrze znajomych nie można było rozpoznać.

Jerynka gromadziła i spoglądała ku traktowi.

Jeszcze słońce nie ubiegło pół ćwierci porankowéj swojéj drogi, gdy dał się słyszeć z daleka pocztowy dzwonek i ukazał się najprzód tuman kurzawy, a w tumanie czwałująca trójką. Na wózku siedział jeden podróżny, przed nim, na koźle, pocztylion.

— Panicz!...— gruchnęło pomiędzy gromadzielnikami.

Grabie i widły z rąk im wypadły, szyje się wyciągnęły, serca radośnie zapukały. Czy serce Jerynki mocniej pukało od innych — nie umiem powiedzieć. Wszyscy radzi byli młodemu dziedzicowi, bo cała go gromada kochała.

Snać pocztylion sutego spodziewać się musiał tringieltu, bo konie szły wiatrem. Dzwonek nie dzwonił, nie miał czasu kołysać się regularnie, ale jęczał ciągłym zgrzytliwym jękiem. Jana nie możnaby rozpoznać bez pomocy przeczucia — tak spopielaciał od kurzawy, która jego twarz, włosy i suknie grubą obsiadła warstwą.

Przejechał i zniknął. Gromadzielniki jeszcze patrzyli za nim. Widzieli tylko, jak nawrócił do Hrynenek.

W Hrynenkach trójka zwolniła biegu. Przez groblę przeszła stępem. Na dziedziniec dworski wbiegła małym truchtem. Dzwonek odezwał się głośno i regularnie.

Zbudziła się panna Ewa, jednym skokiem zerwała i wybiegła na ganek.

Na pocztowym wózku siedział tylko pocztylion. Jana nie było.

Pannie Ewie serce mówiło, że powinien być i Jan.

— Gdzież Jan?...— zawołała.

Pocztylion coś odpowiedział, ale go nie zrozumiała.

— Gdzie Jan?... Gdzie ten pan, co z Kijowa jedzie?.. —dopytywała się.

Ze stajni, z piekarni, ze dworu zbiegli się domownicy i otoczyli pocztyliona. Zapytywali go:

— Gdzie pan?... gdzie panicz?...

On coś odpowiadał, ale nikt go zrozumieć nie mógł. Przywiązał lejce do koła i wydobywał z wózka tłómoki.

Tłómoki wszyscy poznali, i płaszcz i dywanik były Janowe. Więc dalej znów do pocztyliona z zapytaniami:

— *De panycz?... De pan?...* Gdzie panicz ?... Gdzie pan ?...

Zniecierpliwiony pocztylion zawołał głośno:

— *Ostałsia na kładbiszczie!...*

I snać myśląc, że powtórzywszy kilka razy, da się w końcu zrozumieć, powtarzał:

— *Na kładbiszczie!... na kładbiszczie!... na kładbiszczie!...*

Daniło, kozacy stajenni, dziewki i panna Ewa powtarzali wyraz *kładbiszczie*, nie wiedząc co on znaczy.

— Pójdźcie po księdza i do p. Jastrzębskiego— zawołała panna Ewa— poproście ich, aby przyszli i rozmówili się z tym człowiekiem.

Dwóch kozaków ruszyło natychmiast.

— A ty, Daniło, wsiądź na konia i pojedź drogą, którą panicz przyjechał... Może go gdzie spotkasz...

Daniło skoczył do stajni i za chwilę ruszył z kopyta.

Tłómoki tymczasem zniesiono. Panna Ewa, pełna niespokojności, wyszła aż do bramy, a z nią wszyscy domownicy, oczekując bądź Jana, bądź powrotu wysłanych.

Z wysłanych najpierwszy wrócił Daniło. Jak czwałem odjechał, tak czwałem przyjechał, a przejażdżka jego nie trwała i pięciu minut. Zatrzymał w bramie konia i zeskoczył.

— Cóż ?...— zapytała panna Ewa.

— Jest...— odpowiedział.— Na cmentarzu... Modli się na grobie nieboszczyka Jegomości...

— Biedne dziecko...— rzekła po cichu i łzy jéj w oczach się zakręciły.

— I powróciła na ganek.

Przyszedł ksiądz i pan Jastrzębski. Rozpytali się pocztyliona, który potwierdził wieść Daniła. Powiedział, że

Jan zsiadł przy cmentarzu, kazał mu jechać do dworu i czekać na siebie.

Więc czekali.

Nikt nie śmiał pójść witać go na grobie ojca. Delikatność uczucia powstrzymała każdego. Każdy zrozumiał tę potrzebę serca i wylania się w samotnéj, synowskiéj modlitwie. Uszanowali więc jego samotność i czekali.

Czekali dłużéj jak pół godziny, zanim Jan przyszedł. *Był opyłony*. W warstwie kurzu, który mu twarz przykrył, od ócz ku brodzie znać było ślady jakby potoków, które przez policzki przepłynęły. Snać płakał. Ale zresztą był spokojny i nawet wesół. Z uśmiechem witał wszystkich i uspokajał ciotkę, która uścisnąwszy go i długo nie puszczając z objęć swoich, rzewnie się rozpłakała.

Nad wieczorem zeszła się gromada ze starcami na czele, niosącymi chléb i sól na powitanie młodego dziedzica. Jan nie potrzebował ich zapewniać, że nie zmieni na złe ojcowskich urządzeń, dla tego, że wszyscy już wiedzieli jakiemi były najpiérwsze jego w Hrynenkach odwiedziny.

— Będziecie mi radzić, dobrzy ludzie...— mówił do nich Jan.— Nic nie zrobię bez waszéj porady... Będziemy robić wspólnie, tak aby nikomu nie było krzywdy.... Nie wiem jeszcze jakim jest testament Jegomości nieboszczyka, ale jakimby nie był, to myślę, że można będzie z razu wszystko zostawić w takim porządku jak było, a potém, jeżeliby się okazała potrzeba, polepszać i poprawiać...

— Nawet...— dodał— z początku nie będę się mieszał... Uproszę ciotki żeby prowadziła gospodarstwo, a sam będę się przypatrywał i uczył...

Starcom łzy w oczach stanęły. Cała gromada radością i rozczuleniem przeniknioną była do głębi.

— Istka w istkę, kostka w kostkę Jegomość — powiadali we wsi.— Tylko że młody... Ale za to trzeba Bogu dziękować, bo będzie z nami dłużéj...

Pod tym ostatnim względem mylili się. Lecz kiedyż-to i w czém nie mylili się ludzie!... Wszak *errare humanum est.*

W parę dni po przyjeździe Jana pojechał kozak z listem do Chomenek, i przywiózł od marszałka odpowiedź, w któréj ten oznaczał dzień przyjazdu swego z zaproszonymi obywatelami.

Panna Ewa porobiła potrzebne przygotowania do przyjęcia licznych gości. Przygotowania te ograniczały się na napieczeniu znacznéj ilości ciast i sucharków, bo zresztą niczego nie brakło. Mięsa dostarczył rzeźnik z pobliskiego miasteczka; drobiu podostatkiem było w kurnikach, ryb i raków w stawie, omasty, legumin i przypraw w spiżarni, warzywa na ogrodzie, fruktów w sadzie, nabiału w lochu. Piwnicy tylko nie było ani śladu: Jegomość bowiem, pomimo że był staréj daty człowiekiem, zapomniał o niéj zupełnie i w Hrynenkach ani kropli wina znaleźć nie było można. Gorzałka trzymała się w apteczce, lecz bynajmniéj nie dla domowego, zwyczajnego użytku. Stała w kwadratowych wysokich flaszach, szczélnie zatkanych i takiemi ozdobionych etykietami: Spirytus kamforowy, Jałowcówka, Kminkówka, Gorzałka z mydłem, Spirytus miętowy, i t. p. Te gościom, wyjąwszy tylko wypadku, służyć nie mogły.

W oznaczonym dniu, prawie razem, podwórze hryneńskiego dworu napełniło się bryczkami, nejtyczankami, szarabanami i koczami rozmaitego fasonu i wielkości, przywiezionemi paru, czterma lub pięciu końmi. Z każdéj bryczki i nejtyczanki, z każdego szarabana i kocza wysiadł je-

den, najwięcej dwóch panów. Wszyscy to byli ludzie podżyli, zażywni i mniej więcej poważni. Żaden jednakże nie dorównał powagą najmłodszemu pomiędzy nimi marszałkowi.

Jan przyjmował ich jak gospodarz. Czynił honory domu przyzwoicie, grzecznie i z taktem. Mogę mu to przyznać, bo sam na to patrzyłem, reprezentując moją osobą przy akcie odczytania testamentu familiję, i dziwiłem się, zkąd on nabył manier światowych. Pokazuje się, że maniery te łatwemi są do nabycia. Nie potrzeba się ich uczyć.

Gdy się wszyscy zjechali— co nastąpiło około pierwszej po południu— podano obiad. Na pierwsze danie wystąpił barszcz z rurą, na ostatnie kurczęta pieczone, nadziane drobną kaszką z koperkiem i sałata ze śmietaną. Pomiędzy barszczem i kurczętami były kotlety i kalafiory. Panna Ewa zadysponowała jeszcze i leguminę, ale ta, z powodu, iż od niepamiętnych czasów nie robiła się w Hrynenkach, nie udała się.

— Godziłoby się wypić zdrowie nowego dziedzica Hrynenek a naszego spółobywatela...— przymówił się przy obiedzie jeden z gości, spoglądając po innych z uśmiechniętą miną.

— Chęć przyjmuję za skutek i z góry dziękuję...— odparł Jan obojętnie.

W parę godzin po obiedzie, po którym wszyscy byli niegłodni ale trzeźwi, przystąpiono do otwarcia testamentu.

Jan przywołał Kociubę i dwóch najstarszych gospodarzy. Trochę to nie w smak poszło przybyłym, że musieli z chłopami zasiąść— ale musieli. Jan tak to zrobił grzecznie, tak kilku wyrazami wykazał potrzebę te-

go, że nie można się było sprzeciwić, Niektórzy tylko wysunęli krzesła w taki sposób, aby siedzieć do chłopów plecami.

Odczytanie testamentu rozpoczęło się krótką przemową jednego z obywateli, tego samego, którego w sprawie o pobicie przez bryneńskich poddanych jakiegoś panka na publicznej drodze, zdefiniowałem wyrazem: dyplomata. Mówił on:

— Spełniając wolę nieboszczyka Chorążego, Ksawerego Jeża, którego wielce poważaliśmy i szanowali, zjechaliśmy się do domu syna jego, pana Jana Jeża, nie czekając nawet, aby pan Jan, jako najmłodszy pomiędzy nami wiekiem i położeniem towarzyskiém i jako wstępujący w nasze grono, zaszczycił nas pierwszy bytnością swoją...

Był to komplement dla ojca i przymówka do syna. Zrozumiał Jan jedno i drugie, skłonił się i odrzekł:

— Dziękuję... Umiem ocenić intencye panów dobrodziejów...

Marszałek pokazał najprzód kopertę Janowi i prosił go, aby obejrzał pieczęć. A gdy ten to uczynił i uznał pieczęć za ojcowską, rozerwał ją Albin i wydobył testament.

Powstała kwestya: kto będzie czytał.

Charakter pisma Jegomościnego był wyraźny, ale nie bardzo. Aby je płynnie czytać, potrzeba było pewnéj wprawy. Najlepiej mógłby z tego wywiązać się Jan, lecz jemu, jako bezpośrednio interesowanemu, nie wypadało. Powstało wahanie się: Proponowano to temu, to owemu.

— Ja znam dobrze Jegomościne pismo...— ktoś się odezwał— Proszę mi je dać— ja przeczytam...

Obejrzano się. Był to stary Kociuba.

Jan, nic nie mówiąc, wziął testament z rąk zdziwionego nieco marszałka i podał go staremu wójtowi.

Starzec wysunął się na środek, włożył na nos duże okulary, chrząknął i pewnym, śmiałym głosem rozpoczął czytanie, zatrzymując się i oglądając do koła za każdym paragrafem.

W postawie tego starca, poważnego, ogorzałego, z białą brodą, z białemi włosami, w prostéj siermiędze, otoczonego gronem panów-słuchaczy, było coś patryarchalnego. Był pięknym w téj swojéj siermiędze, z nagą szyją, z otwartą na piersiach koszulą. Tak jak był, mógł żywcem posłużyć za model dla rzeźbiarza i wyciosany w marmurze, zachwycić iście posągową postacią. Niechżeby jaki rzeźbiarz zechciał fabrykować posągi z dzisiejszych naszych postaci we frakach i bonżurkach!..

Od pierwszych zaraz słów testament zainteresował słuchaczy.

Nie będę go powtarzał. Był bowiem długi i nadto wchodził w takie szczegóły, że przytoczenie jego w powieści, z powieści zrobiłoby zamaskowaną polityczną ekonomiję i statystykę. Powiem więc tylko o podstawach, na których rozwiniętą była cała treść testamentowa.

Testament ten był starannie opracowanym i zdrowo obmyślanym, a wspartym gdzie niegdzie stosownem rozumowaniem, projektem spółki rolniczej, zawiązanéj w Hrynenkach pomiędzy Janem i gromadą. Jan wchodził do niéj z warsztatem ziemi i z kapitałem narzędzi rolniczych, inwentarza, pieniędzy i umysłowéj pracy. I każdy gospodarz wchodził także z warsztatem ziemi (własnego kawałka, który jeszcze za życia Jegomości nale-

żał do niego) i z kapitałem narzędzi, inwentarza, fizycznej (zamiast pieniędzy) i umysłowej pracy. Zasadą tej spółki było połączenie warsztatów i kapitałów w celu wzajemnej pomocy, połączenie, mocą którego nikt ani jednych, ani drugich ze spółki samowolnie wycofać nie mógł. Każdy członek spółki rozporządzał dowolnie owocami swojej pracy, czystym dochodem — dywidendą, jakbyśmy to technicznie nazwali — ale nie fundamentalnym, wkładowym kapitałem. Ten ostatni nie tracił swego charakteru, ani przy przechodzeniu z rąk do rąk (w razie sprzedaży, spadku na potomstwo, darowizny, wydzierżawienia), ani przy rozdrobnieniu pomiędzy spadkobiercami. W razie rozdrobnienia np. jeden warsztat-ziemia rozpadał się na dwa, trzy, dziesięć, i każda z tych cząstek wchodziła jako jednostka do składu całości. To samo działo się i z kapitałem. Ziemię i kapitał oderwać od całości nie można było. Należały one do wszystkich i zależały od wszystkich, związane solidarnością interesów i podległe powszechnej kontroli. Ciężary, jako to: podatki, zsypki, utrzymanie cerkwi, szkółki, szpitala, apteki, dotykały proporcyonalnie wszystkich członków spółki. Skutkiem kontroli, jeżeli które z mniejszych lub większych gospodarstw źle było prowadzoném, to spólnicy naznaczali administracyę. Przy rozdrobnieniu małych cząstek na jeszcze mniejsze, spółce posługiwało prawo przysądzenia wkupna w większe, zaczynając od największych, to jest: jeżeli gospodarz umierając zostawiał np. dwóch synów, dla których jego udział, podzielony na dwa, nie wystarczał, to jeden z synów zostawał na gospodarstwie ojcowskiem, a drugi wkupywał się w gruncie dworskim i zakładał nowe gospodarstwo. Na ten cel założonym był bank gromadzki, wzrastający

co roku procentami od dochodów, którego przeznaczeniem było udzielanie pożyczek, bądź na wkupno, bądź na ulepszenia rolnicze, bądź na ratunek w razie ognia, zarazy na bydło, powodzi, nieurodzaju i innych nieszczęść. W razie bezpotomnej śmierci, wydalenia się lub utraty za złą konduitę prawa władania majątkiem jednego ze spólników, gospodarstwo jego stawało się własnością gromady, która mogła bądź administrować na rzecz ogólną, bądź sprzedać, dochody z administracyi i sprzedaży wkładając do banku. Zastrzeżonem było, że jeżeliby prawny spadkobierca lub właściciel odnalazł się, albo powrócił, to miał prawo żądać zwrotu dochodów i gospodarstwa, jeżeli takowe nie zostało sprzedanem, a w razie sprzedaży, summy za takowe uzyskanej. Znajdowało się jedno zastrzeżenie, które wydawało się niesprawiedliwem, a mianowicie: spadkobiercami po Janie naznaczonemi były jego dzieci, a gdyby takowych nie było— *spółka*, z wyłączeniem braci, dzieci jego braci i wszelkiej bliższej i dalszej kollatoralnej familii.

Ostatni paragraf brzmiał jak następuje:

«Testament niniejszy staje się prawomocnym w takim tylko razie, jeżeli go dowolnie i rozmyślnie podpisze syn mój, Jan, w obecności sześciu świadków, których uprosi o stwierdzenie podpisu. Proszę go jednakże, aby przed położeniem swego podpisu, poradził się świadków i dobrze się namyślił. Zostawiam mu całe prawo przyjąć lub odrzucić. Oświadczam, że on, syn mój, Jan Jeż, a nikt inny, jest jedynym moim spadkobiercą, jedynym właścicielem Hrynenek, i wszystkiego co się na gruncie Hrynenek znajduje, i wszystkiego co do Hrynenek należy i do osoby mojej należało. Żadnych nikomu legatów nie czyniłem i nie czynię; żadnych długów do zapłace-

nia nie zostawiam. Długi zaś do odebrania wyliczone są w przyłączonym do niniejszego spisie.— Kończę udzieleniem błogosławieństwa ojcowskiego memu synowi, Janowi, i wezwaniem dla niego błogosławieństwa Boskiego. Oby Najwyższy miał go w swojéj świętéj opiece!...

Ksawery Jeż.«

Testament ten rozwiniętym był statystycznemi danemi, odnoszącemi się do każdego w szczególności z gospodarstw istniejących na gruncie Hrynenek. Z tego pokazywało się, że nie był on pośmiertnym projektem, zadaniem zostawioném synowi do rozwiązania, ale wprowadzonym był w życie za życia jeszcze Jegomości. Był więc ujęciem w formy prawomocności, skrystalizowaniem— że tak się wyrażę— na papierze tego, co się już praktykowało. Dowodził on przytém głębokiéj pracy umysłowéj, jakiéj się Jegomość oddawał.

Odczytanie testamentu odbyło się wśród głuchej ciszy. Kociuba czytał powoli i wyraźnie, i z takim akcentem, jakby sam był onego autorem, wiedział bowiem naprzód, gdzie jaki ustęp wygłosić z przyciskiem, a jaki recytowanym sposobem. Jan słuchał go z pochyloną głową, nie okazując na sobie najmniejszego wrażenia.

Gdy Kociuba skończył, zdjął okulary, podniósł się i położył papier na stole, cisza nie przestała jeszcze panować. Przerwał ją dyplomata:

— Cóż, panie Janie ?..— zapytał.

Jan podniósł głowę i odrzekł, obracając się z lekkim ukłonem do koła:

— Stosownie do woli nieboszczyka mego ojca, proszę panów dobrodziejów o radę...

Słowa te stały się hasłem żywéj krytyki.

Okazano najprzód ogromne zdziwienie.

Dziś projekt podobny nie byłby dziwnym; ale wówczas był on dla dziewięciu dziesiątych słuchaczy taką nowością, o której się ani śniło. Ci jednakże nie krytykowali. Ci znaleźli go nawet dobrym, i tylko dziwili się, że taka jasna i prosta rzecz nie przyszła im nigdy do głowy. Krytykowali tacy, dla których on nie był nowością, którzy już wiedzieli albo słyszeli, że tego rodzaju idee wałęsają się po świecie, szukając u ludzi gościnności a nastraszeni warunkami gościnności, dla której trzeba fatygować rozum i brać się nie żartem do pracy, odpychali całemi siłami idee, ochrzczone rozmaitemi przerażającemi przezwiskami.

Ci ostatni nazwali testament aktem wywłaszczenia Jana.

— Podpisawszy testament— mówił jeden— stajesz się pan poddanym własnych poddanych... Wiążesz sobie ręce i nogi... Mniejsza już o grunta gromadzkie, które, jak twierdzi nieboszczyk, a twierdzenie to jest mylném, chłopi jeszcze naszym przodkóm opłacili..... Mniejsza, mówię, o to.... Ale grunt dworski, twoja, wedle wszelkich, praw, własność, nie dość, że obciążona największemi ciężarami szkółek, szpitali, cerkwi i Bóg wie czego— ale jeszcze nie zależna od ciebie... Zechcesz wydzierżawić, kto wydzierżawi!.. Nikt nawet takiej darowizny nie przyjmie!..

— Spółka!.. spółka!..— mówił inny. — Rozumiem spółkę, ale w równych kondycyach... Zawiąż ją pan ze mną, z marszałkiem, z panem X., z panem Y., to nie mówię... Na co panu tu spółka, kiedy możesz sam prowadzić i rozrządzać z większą swobodą działania, z większą możnością robienia dobrze...

— Radzę panu nie podpisywać testamentu... — mówił inny — bo uprawomocnienie onego może bardzo źle, jako przykład, podziałać... Dla dobra powszechnego, obywatelskiego, powinieneś pan od tego kroku się wstrzymać, tém badziej, że i nieboszczyk Chorąży bynajmniéj pana nie zmusza... W tém niezmuszaniu widzę wielki dowód rozumu i umiarkowania nieboszczyka... Możesz pan nic nie zmieniać jego urządzeń, jego sposobu postępowania — ale testamentu nie podpisuj...

W téj ostatniéj opinii zreassumowała się opinija wszystkich świadków, tych nawet dziewięciu dziesiątych, którzy projekt spółki rolniczéj znaleźli dobrym. Zrobić coś a nie wykończyć, porwać się za pierwszym popędem dobrego, ale nie pójść, uznać dobre, ale go nie praktykować — jest ogólną, właściwą charakterowi naszemu zaletą.

Do opinii téj przychylił się i Albin, i nadał jéj sankcyę marszałkowskiéj swojéj powagi i zdrowego rozsądku, którego skarb niewyczerpany w jego głowie podejrzywano. O tym jego «zdrowym rozsądku« to powiedzieć należy, że kierował się następującém zdrowém prawidłem: »*na pered ne wyrywajsia*, *z zadu ne zistawajsia.*« Z wyjawieniem opinii swojéj bywał wstrzemięźliwy i nie występował z nią póty, póki nie objawiło się kilka opinij, i wówczas przychylał się do najpowszechniejszéj. Tym sposobem zawsze większości dogądzał. Więc gdy oświadczono się za powstrzymaniem się z podpisem, to i on się za tém oświadczył, dodając:

— Na co masz się śpieszyć!.. Poczekaj rok, dwa, trzy..... Pogospodaruj..... My znów zjedziemy się do ciebie... *Niechajno* się rozpatrzysz... *Niechajno* pomy-

ślisz... Wszak nieboszczyk nie wymaga, abyś się natychmiast zobowiązywał... *Niechajno...*

— *Niechajno...*— odezwał się dyplomata— Marszałek dobrze mówi... *Jakoś to będzie*, panie Janie, a tymczasem zastosuj się pan do rady obywatelstwa... Nikt nademnie nie szanuje bardziej pamięci nieboszczyka Chorążego, ale siła okoliczności jest temu, że pan nie możesz testamentu podpisywać...

Te słowa, w guście konkluzyi, wyrzeczonemi były nazajutrz po odczytaniu testamentu. Rozprawy nad nim zatrzymały gości w Hrynenkach na noc i ciągnęły się aż do chwili, w której Jan poprosił ich o wyrzeczenie stanowczego zdania. Wyrzekł je Albin. Dyplomata przypieczętował.

Jan nic na to nie odpowiedział. Wstał, zbliżył się do stolika i podpisał testament.

A odwracając się do najbliżej siedzącego obywatela, którym był przypadkiem Albin, grzecznie i spokojnie powiedział:

— Proszę o potwierdzenie mego podpisu...

Albina prawidło »*na pered ne wyrywajsia...*« na przykrą wystawionem zostało próbę. Z głuchego milczenia, jakie postępek Jana pokryło, nie mógł żadnej opinii wyciągnąć. Podpisać czy nie?.. Nie wiedział co począć, a że nie wiedział, więc— podpisał.

Za przykładem marszałka poszło pięciu innych obywateli.

I testament nieboszczyka Chorążego stał się prawomocnym. Pozostawało tylko, dla zabezpieczenia i ostatecznego ulegalizowania, zaoblatować go w urzędzie, od czego Jan, po tem co już zrobił, nie mógł się uchylić.

Po podpisaniu testamentu, jakby nożem uciął, rozprawy nad nim i krytyka ustały. Jan poweselał i z uprzejmością zapraszał na obiad chcących wyjeżdżać gości. Był uprzejmy, grzeczny i aż nadskakujący.

Nie wszyscy jednakże zostali. Jeden z pierwszych wyjechał marszałek, który śpieszył się z powodu jakichś interesów i natychmiast po śniadaniu wyruszył, wziąwszy od Jana uroczyste przyrzeczenie przyjechania do Chomenek.

Oprócz marszałka wyjechało kilku jeszcze innych obywateli i zaledwie dziesięciu pozostało na obiedzie.

Po-obiedzie i ci opuścili Hrynenki.

I w Hrynenkach wszystko do zwykłego powróciło trybu.

»Do zwykłego— powtarzam— trybu«, bo okazało się, że zastosowując się ściśle do brzmienia testamentu, nic w urządzeniach i gospodarstwie nie potrzeba było na razie dodawać, zmieniać lub ujmować. Z zakładów gromadzkich: cerkiew, szkółka i szpital istniały, bank funkcyonował— wszystko szło, jak zegarek dobrze nakręcony, oczekując spokojnie chwili, w której go na nowo trzeba nakręcić. Chwila ta wypadała w jesieni, po żniwach i obsiewach, kiedy ustanawiał się bilans operacyj spółkowych i skreślał się niejako program na cały następny rok, aż do przyszłej jesieni.

I we dworze wszystko do dawnego powróciło porządku, wyjąwszy jednéj rzeczy, a to, że Jerynka przestała bywać.

Kapryśnem bo też jest serce dziewicze!.. Ona, co tak wyglądała Jana; ona, co pierwsza dosłyszała dzwonek pocztowy i dojrzała na trakcie kibitkę wiozącą go z Kijowa; ona; której najpierwszéj ze wszystkich gro-

madzielników, na widok przelatującego pędem miłego podróżnika, grabie z rąk wypadły; ona, która gdy on przyjechał podjęła grabie i nie mogąc pohamować się w radości, głośno w śpiew uderzyła:

Sino'm sobi hromadyła,
Chłopcia'm sobi prynadyła;
Pidu jeszcze hromadyty,
Szczoby bilsze prynadyty.

Ona, gdy wyglądany i oczekiwany przyjechał, ani zajrzała do dworu. Dla czego to?.. Bijcie mnie i zabijcie, nie odpowiem. Dla czego?— bo nie wiem.

Wiem, że Jerynka nieraz zbierała się do dworu, ale nigdy zebrać się nie mogła.

Wiem, że kilka razy rozpędziła się już była i raz aż do grobli zaszła, i wróciła się.

Wiem coś jeszcze więcej: że ona kochała panicza.

Wysoko oczy podniosła; wysoki próg chciała przestąpić; ale— czyż ona temu winna?

Nie mogła oczom rozkazać: ociemnijcie!.. Nie mogła sercu rozkazać: milcz!..

Wzleciało jej serduszko wyżej jak innych, jak ten skowronek, którego Pan Bóg stworzył na to, aby wzlatywał po nad wróble, pod obłoki.

Miłość ta z nią razem wyrosła. Ona ją wyhołubiła, wygrzała w swojej piersi dziewiczej od kolebki prawie, a najdalej od tej chwili, kiedy wyjeżdżającemu po raz pierwszy z Hrynenek Jasiowi otwierała wrota.

Od owej chwili upłynęło już jedenaście z okładem lat.

Gdybyż Jan nie opuszczał był nigdy Hrynenek, byłby może spowszedniał, i chociażby go Jerynka kochała,

to jak towarzysza lat dziecinnych, jak brata, i wyszłaby za mąż z obowiązku, jak każda inna, ani podejrzywając swoje serce o jakieś inne, nie siostrzane, dla panicza uczucie. Ale on wyjeżdżał i wracał, wyjeżdżał i wracał— wyjeżdżał czule żegnany, wracał niecierpliwie wyglądany, i za każdym powrotem lepszy, rozumniejszy, słuszniejszy, mężniejszy i ładniejszy. Za każdym więc jego powrotem serce jéj coraz mocniéj lgnęło do niego. I nakoniec tak przylgnęło, że już ona za mąż iść nie mogła. A dla czego?— z tego ona ani sobie, ani nikomu dokładnie zdać sprawy nie mogła.

— Ot, tak sobie...— odpowiadała.

— Za mąż!...— odezwała się kilka razy— A, toć lepiéj zimnym nożem serce mi przekłuć!... Nie chcę za mąż!...

I parobcy, którzy się jéj dawniéj bali, jeszcze bardziéj z daleka trzymali się od niéj, wymyślając na nią, że ona ba taka, ba owaka, że nie gospodarna, że wielka pani, że nie ładna.

Jak ona była niegospodarną, to o tém sądzić można było w obejściu i chacie Kociuby, gdzie się nie leniła przyłożyć ręki chociażby do najcięższéj roboty; a jak nie ładna, to kiedy szła od krynicy i niosła na ramieniu wiadra na koromyśle napełnione wodą. Od tych ciężkich wiader, chwiejących się na sprężystém koromyśle, najlepiéj jakoś odbijała jéj smukła i wyniosła jak topoli postać, wypełniona prześlicznie we wszystkich przegibach i zaokrągleniach ciała. Od lekkiego zmęczenia pierś się jéj wzdymała, usta otwierały i z za nich wyglądały sznurki perłowych zębów, a na zapłonione leciuchnym rumieńcem czoło spadało kilka kosmy-

ków złotych włosów i cudnie kontrastowało z czarnemi jak węgiel oczami. Była ona piękną, ale nie podobała się hryneńskim parobkom. Cóż z gustem poradzić!..

Od jakiegoś jednakże czasu jeden Kondrat Bezprozwyska — ten co długo pocieszyć się nie mógł po harbuzie, jaki dostał od Hapki Zakoleśnikówny, która już od dawien dawna była mołodycą i szczęśliwą żoną, ten co był najpierwszym we wsi mołojcem, ten co ani sobie mówić pozwalał o Jerynce—jeden, powiadam, Kondrat Bezprozwyska przestał o niéj źle się odzywać. Nie powiadał już «ihi na was!», kiedy mu o Jerynce mówiono.

Ale dla Jerynki było to wszystko jedno. Ona kochała panicza. Kochała go całą potęgą niezepsutego serca, całém swojém życiem, wszystkiemi myślami i rojeniami. Zbawić się z nim, potępić się ,z nim, raz go w życiu uścisnąć—raz tylko, raz jeden—i stopnieć w tym uścisku, jak śnieg na słońcu: oto był sens jéj myśli i rojeń. Nie mówiła o tém nikomu, ani nawet sobie saméj cichym poszeptem, bo się bała, aby uczucie jéj, przechodząc przez usta w dźwięki wyrazów, nie uroniło jakiéjś cząsteczki swojéj mocy, nie pokalało się w powietrzu.

Tak kochać — to fenomen w naszym wieku, fenomen który mógł się przytrafić jednéj tylko Jerynce i w jednych tylko Hrynenkach, które Jegomość zapłodnił ziarnem ducha swego, umoralizował przykładem czynnéj, wytrwałéj cnoty i przysposobił do wydania kwiatka dziewiczéj, prawdziwéj miłości. Miłości takiéj napróżnobyś szukał w sercach salonowych lafirynd, albo w biednych sercach zahukanych wiejskich dziewcząt. Ona jak poezya — wielu się jéj czepia, wielu nią się popisuje, ale prawdziwa jest rzadką. Dla niéj, jak dla poezyi, potrzeba odpowiednich

warunków, stosownego ciepła i światła, aby mogła wygrzać się i w pełny kwiat rozkwitnąć.

O! gdyby też o niéj wiedział był Jan w epoce, w któréj poszukiwał miłości, kiedy kołatał do serc niewieścich...

Jemu przytrafiło się wbrew temu: «szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworzono.» Szukał, i znalazł Justynkę Golc; kołatał i otworzyła mu Loli; przestał szukać i kołatać, i zatrzymał się, jakby dla spoczynku i spotkał się z panną Zofiją, która mu tę miłość nazwała powszednią i wytrąciła z serca na zawsze. I znalazł ją, kiedy już ani myślał o niéj.

Ale on o tém nie wiedział.

A gdyby wiedział, to co mu wypadało robić?

Pozostawiam to pytanie pięknym czytelniczkom do rozwiązania. Niech one zdecydują jak bohater nasz powinien się był znaleźć, gdyby wnuczka starego Kociuby, z tym akcentem, co to na wskroś serce przenika i od razu przekonywa, powiedziała mu:

— Paniczu! kocham ciebie!..

I niech mnie o swojéj decyzyi uwiadomią, jeżeli zechcą. Przydałaby mi się ona na drugi raz.

Ja opowiem, jak się on znalazł, nie wiedząc o tém, że było serce — serce czyste, dziewicze — które nim tylko żyło.

Oto, po wyludnieniu się Hrynenek z gości, nie miał nic pilniejszego do zrobienia, jak najprzód, zaoblatować testament, a powtóre pojechać do Chomenek, uprosiwszy — jak zapowiedział — ciotki, aby tymczasem administrowała jego majątkiem.

W Chomenkach przyjęto go z otwartemi rękami. Marszałek wyściskał i wycałował go potężnie i od razu, w uściskach, zapowiedział, że od «obiadku» nie puści. Mar-

szałkowa wybiegła do niego z taką samą serdecznością, jak wybiegała, kiedy była jeszcze panną Zofiją.

Wyglądała ona trochę bledziej jak zwykle—zwyczajnie jak po odbytej niedawno słabości—ale nic na tém nie traciła. Bodaj nawet czy nie zyskiwała. Była bowiem jakby lżejszą i powiewniejszą.

— Jakże ja się z pana cieszę!..—rzekła po zwykłych powitaniach, ściskając Janowi rękę.—Albin zdał mi szczegółową sprawę i z uczty pożegnalnej i z podpisania testamentu... W jedném i drugiém poznałam pana, i odgadłabym z góry, że postąpisz, jakieś postąpił... Trzeba było tylko być trochę względniejszym dla tego biednego Porońskiego, i dla mego — dodała ciszéj i z westchnieniem— dobrego ojca... O! jakżebym chciała, żeby mój Karolek podobnym był do pana!..

— Co za Karolek?..—wyrwało się Janowi.

Marszałkowa lekko się zapłoniła; lecz natychmiast odpowiedziała:

— Mój synaczek!.. mój aniołek...

— Niech-że go wyniosą, jeżeli nie śpi... — odezwał się Albin.

— Trzeba pana Jana z nim poznajomić... — dodała pani.

I wybiegła. I za chwilę powróciła w towarzystwie niańki, niosąc na poduszce zawinięte i ubrane w cieniutką bieliznę parumiesięczne dziecię, pieszcząc się z niém po drodze.

— Patrz-no pan—to mój syn... Chcę go na dzielnego męża wychować...

— Sama go karmi...—rzekł Albin.

— Lolo... Loleczku... Lolineczku...—przemawiała ma-

tka do uśmiechającego się dziecka i całowała je w rączęta, które ono do niej wyciągało.

«Lolo» nie mile zabrzmiało w uszach Jana.

— Ach!.. nie przezywaj go też tak, pani... — powiedział.—Jeżeli go pani na dzielnego chcesz wychować męża, to nie trzeba na niego pieszczonemi, zdrobniałemi wyrazami wołać...

— A pana nie pieścili!..—odparła marszałkowa.—Nie wołali na pana: Jasiu!.. Jeszcze i teraz ciocia Jasiem pana nazywa, chociaż pan już jesteś w całem znaczeniu Janem, i do tego niebezpiecznym.

Albin się zaśmiał, pani Zofija uśmiechnęła.

Jan się bronił:

— To źle!.. Będę cioci prosił, żeby mnie Janem nazywała... Gdybym miał syna, to bym go tak nazwał, że niepodobna byłoby spieścić jego imienia...

— Jakże naprzykład?..—zawoła marszałkowa.

— Barnabą... Barabaszem... Byłoby śmiesznem przezwać go Barnabciem albo Barababciem...

— Toby go żona pańska przezwała: Babciu albo Basiu...

Śmiano się, rozmawiano. Pokazało się, że nie ma sposobu ustrzedz imion od pieszczotliwości matek, dochodzącej do tego stopnia przekarykaturzań, że nawet Bolesława przerabiają na Bysia, Mieczysława na Mysia, Konstantego na Kocia, Zygmunta na *Dziuńdzia*, Sewyryna na Szusia i t. p.

Rozmawiano następnie o tem niczem, co to toczy się, biegnie, wiąże, jak girlandka z różnych kwiatków, obracana szybko w kołko.

Przybyło kilka osób. Już to w Chomenkach żaden dzień

nie przeminął bez gości. Poczciwa szlachta, jak krucy na żer, ciągnęła na obiady marszałka.

Każdemu z przybywających marszałkowa rekomendowała Jana:

— Pan Jan Jeż, nasz przyjaciel...

Wyraz «przyjaciel» wymawiała z przyciskiem, który dawał powód do serdeczniejszych uścisków Janowej dłoni i oddawania mu zawiesistszych ukłonów.

Pomiędzy przybyłymi był jeden opasły kilkuwioskowy dziedzic, jeden w okularach i fraku powiatowy dandys, jeden z językiem na ustach o głupowatem oku i znudzonej minie średnich lat hrabia i jeden zamaszysty właściciel miotu białych gończych i sławnego charta, zwanego Łapcap.

Każdy z nich przywiózł zadawalającą wiadomość o zdrowiu, najprzód swojem (wyjąwszy hrabiego, uskarżającego się na migrenę), a potém swojej żony, matki, ojca, dzieci, braci, siostr, o ile niemi obdarzyła go Opatrzność. Właściciel gończych nie omieszkał opowiedzieć ze szczegółami o chorobie Wisły, która «chwała Bogu» ozdrowiała i szczęśliwie powiła dziewięcioro gończaków, «białych jak mleko». Opowiadał z zapałem i jąkał się trochę, co sprawiało hrabiemu szerokie ziewanie.

— Ten pan z salonu pani robi bez ceremonii *hunting-club*..—rzekł ten ostatni po cichu do marszałkowej —Lubię polowanie i o psach rozprawy, ale na swojém miejscu... W Paryżu i Londynie niktby jego *baliwernów* nie słuchał...

— Co kraj to obyczaj...—odrzekła marszałkowa.

— *Vous avez parfaitement raison*...—Ale trzebaż się co rychlej pozbywać barbarzyńskich obyczajów, szcze-

golnie w salonach dobrego tonu... *Il paraît*, że nasz kochany marszałek lubi takie gawędki...

— Hejże, Łapcap!..—krzyknął właściciel białych gończych w najwyższym zapale, stojąc nieco pochylony przed Albinem i opasłym dziedzicem i giestykulując wyraziście rękami—I papapa...aaa...nie... za..aaaa...jąc juuż w pyy...

Tu zaciął się z zapału i dokończył giestem, chwytając rękami za kolano hrabiego. Miało to oznaczać, że w ten sposób Łapcap uchwycił zębami zająca.

Hrabia skoczył jak oparzony. Spadło to bowiem na niego niespodzianie, gdyż w tej właśnie chwili, zwrócony do marszałkowej, zajętym był z nią rozmową o barbarzyństwie w polskich salonach.

Właściciel białych gończych nie zważał na to i ciągnął dalej jąkając się:

— Bez obrotu...

A gdyby był zważał, to widziałby, jak twarz hrabiego pokryła się oburzeniem. A gdyby przyłożył był rękę do hrabiowskiego serca, to uczułby jak ono szybko pukało.

Marszałkowa przeprosiła go grzecznie i ten wypadek żadnych smutnych nie wydał następstw.

Po drugiej stronie marszałkowej siedział Jan.

— Pan u nas pierwszy raz...—rzekła do niego pani domu.—Nie znasz jeszcze naszego gniazda.. Trzeba je panu pokazać...

To mówiąc, przeprosiła hrabiego, wstała i wyszła z Janem.

Znamy już Chomeński dwór. Nie mamy więc potrzeby iść krok w krok za marszałkową i naszym bohaterem, obchodzącemi powoli rozliczne salony, gabinety i pokoje. Zaszli aż do biblioteki i tam się zatrzymali. Tu marszałkowa zapytała:

— Cóż pan na to, panie Janie?.. Nie jestże to akademija?..

— Od jak dawna istnieje?..—odparł Jan.

— Od dwóch lat...

— Jakie owoce przyniosła?..

Marszałkowa wzruszyła ramionami, jakby dla okazania niewłaściwości zapytania, i odpowiedziała:

— Trudno mi o tem sądzić... Zjeżdżają się, przypatrują, przysłuchują... Niepodobna, żeby przez oczy i słuch nie zaroniło się jakieś dobre ziarnko do ich serc i dusz...

— Jak komu...—odrzekł Jan—Jak kto jakie posiada serce i duszę... Ten hrabia, zaręczam pani, nie ma ani jednego ani drugiego... Ten myśliwy ma serce, ale dla swego Łapcapa i swoich białych gończych... Ten opasły pan kocha swój brzuch nad wszystko na świecie... Ten elegant nie odzywał się, więc nie wiem co on za acz... Czy u państwa bywają inni?..

— Bywają . . . — odpowiedziała marszałkowa i cicho westchnęła, a jéj śliczna twarz osmutniała.

— Ale Albin ma wpływ..... jego słowo wiele znaczy... —dodała.—A Albina łatwo przekonać, uprosić....

— Zobaczemy...—odparł Jan.

— Proszę do stołu!..—odezwał się lokaj, który wszedł w téj chwili i przerwał rozmowę.

Przy obiedzie znalazło się parę osób więcéj od tych, które zostawiliśmy w salonie. Wszyscy jedli z apetytem, wyjąwszy hrabiego. Ten kosztował potrawy od niechcenia i uskarżał się na los, zmuszający go dla jakichś interesów pozostawać w tym *sezonie* w kraju.

— *Et justement*... — cedził przez zęby — *j'avais une partie* z zięciem księcia Metternicha... Słyszeli państwo o zięciu księcia?..

A gdy mu nikt nie odpowiedział, ciągnął dalej:

— Wyborny człowiek..... hrabia Szandor..... waryat.... Z nim się znudzić nie można..... O nim tyle by było do opowiadania, co o Harunie-al Raszydzie. Książe się serdecznie z jego figlów śmieje... Sam słyszałem go opowiadającego i widziałem, jak się śmieje.... Doskonały książe... *La canaille* niestworzone rzeczy na niego wygaduje... Ale trzeba go znać... Co to za człowiek!..

Jan to bladł, to czerwieniał. Przeżuwane frazesa niecierpliwiły go. Stracił apetyt.

Marszałkowa to spostrzegła. A podejrzywając Jana o gwałtowność i obawiając się jakiegoś wybuchu z jego strony, starała się rozmowę nawrócić na inny przedmiot.

Nieszczęśliwy hrabia ciągle wtrącał swoje trzy grosze i to zawsze w taki sposób, że za każdym razem warto mu było w oczy plunąć.

Jan jednakże znajdował się bardzo przyzwoicie. Milczał po większej części i słuchał, a sam mało jedząc, robił postrzeżenia nad »obiadkiem« Albina i nad jedzącymi.

Ciekawe to były postrzeżenia. Obiadujący, za wykluczeniem hrabiego i pani, którzy okazywali wstrzemięźliwość, rozpadli się na dwie kategorye: smakoszy i żarłoków. Dla pierwszych i drugich znalazły się podobieństwa pomiędzy domowemi zwierzętami. Pierwsi jedli jak......, drudzy jak...... Smakosze obracali języki powoli i pocmokiwali z cicha ustami, przygotowując kęsy do uroczystego przełknięcia. Żarłocy nie zabawiali się żuciem, ładowali żołądek. Pomiędzy pierwszymi celował Albin, pomiędzy drugiemi opasły dziedzic.

Poobiednia sięsta, przy czarnéj kawie i cygarach, nie zabawiła Jana. Kazał zaprzęgać konie.

— Jakto, Janie!...— zawołał Albin, gdy się o tém dowiedział.— Zaraz po obiedzie?...

— Najadł się i ucieka...— szepnął elegant do hrabiego.— Po to tylko przyjechał...

— *Demi sauvage*...— odrzekł hrabia.

— Ale zostań-że na noc... To późno... Do Hrynenek daleko...— nalegał Albin.

Jan nie dał się uprosić. Poszedł do marszałkowéj pożegnać się i zastał ją we łzach.

— Panie Janie!..— mówiła, trzymając go za rękę.— Co też ja nieraz cierpię!.. Nie możemy robić wyboru... Musimy przyjmować wszystkich i być dla wszystkich grzecznemi...

— Jest-że co wybrać?..— zagabnął Jan.

— Jest... o!.. jest...— odpowiedziała.— Nie tak to jeszcze z nami źle...

— Widziałem zebrane obywatelstwo u mnie; widziałem próbkę u państwa... i... i... przyznać sobie musimy, że nie ma czém się chwalić... Poroński byłby tu ideałem doskonałości... W sercach pusto, a jeżeli w któréj głowie coś się znajduje to przenicowane, na wywrót....

— Nie... nie... nie jest tak źle...— odpowiedziała marszałkowa.

— Zobaczemy...

Pożegnał ją i odjechał.

Żegnając się z mężczyznami, hrabiemu ani głową nie kiwnął.

— Jak się *to* nazywa?... zapytał ten ostatni eleganta.

— Jeż...— odpowiedział zapytany.

— *Drôle de nom... Il parait que c'est un nom d'animal... Il lui sied à merveille...*

Elegant się zaśmiał, hrabia uśmiechnął.

Jan pojechał, ale nie do Hrynenek. Wizytą u marszałkostwa rozpoczął szereg wizyt u wszystkich sąsiadów, bliższych i dalszych, bogatszych i uboższych, starych i młodych. W promieniu mil sześciu biorąc Hrynenki za środkowy punkt, objechał i odwiedził wszystkich, dziedziców, posessorów, rządców, nawet ekonomów. Do domu zaglądał raz na tydzień, zmieniał konie, nabierał świeżej bielizny, i ruszał dalej. Trwało to dwa miesiące z okładem, aż do rocznicy śmierci Chorążego. Daniło który go woził z początku, powiadał, że nigdy w życiu tak dużo nie jeździł.

Wszędzie, gdzie przyjechał, rekomendował się Jan sam.

— Jestem Jan Jeż...— powiadał— Wszedłem świeżo w grono w obywatelstwa i uważam za obowiązek zabrać z sąsiadami znajomość...

Wszędzie go mile a w niektórych domach z ciekawością przyjmowano. Z nazwiska bowiem i z reputacyi nieboszczyka cała go znała okolica. Osobista więc rekomendacya aż nadto wystarczała. Wiedziano z kim ma się do czynienia.

Zaledwie potrzebuję dodawać, że celem wizyt Jana było nie proste »tak się godzi«, ale pukanie do serc i głów.

— Zapukam...— mówił sam do siebie— w sposobie próby... Jaki też dźwięk wydadzą!...

I im dłużej jeździł, tém coraz bardziej smutniał i smutniał. Dźwięk, jaki głowy i serca wydawały, nie był wesołym.

Powiadają, że aby człowieka poznać, trzeba z nim beczkę soli zjeść. Nie koniecznie. Tyczy się to człowieka chcącego się z góry maskować, przebiegłego i rozumnego. A maskowanie się, przebiegłość i rozum nie były zaletami, któremi mogliby Janowi sąsiedzi się pochwalić. Bohater nasz znalazł serca otwarte i głowy przezroczyste, w których uczucie i rozum można było jak najdokładniej zważyć i ocenić.

I znalazł dużo dobrego: taką poczciwość, którą się dość nazachwycać nie można; ale ślepą, słomianą, owczą, gołębią, bardziéj instynktową niż ludzką, która w biernéj ślepocie, często w najlepszéj wierze, ani domyślając się tego, w niepoczciwość przechodzi.

Znalazł poczciwość ambitną, dbającą przedewszystkiém o to, co o niéj ludzie mówią, i gotową dogodzić ludziom, nawet gdyby dobre ich mówienie trzeba było niesprawiedliwością jakąś kupić.

Poczciwości i rozumu, ożenionych ścisłym, nierozerwanym węzłem, nie znalazł nigdzie. Ależ bo, wyznać należy, był on pod tym względem trochę za trudnym, za nadto wymagającym. Za wzór bowiem, do którego przymierzał sąsiadów, służył mu ojciec.

Poczciwców było najwięcéj, szczególnie pomiędzy uboższymi. Większa jednakże, ogromnie większa ich część, w stosunku dziewięciu do dziesięciu, czegoś chciała, ale nie wiedziała czego; reszta zaś wiedziała czego, ale nie wiedziała jak. Niewiedza była ogólném, charakterystyczném znamieniem, które grubą powłoką oblegało serca i rozumy, i wprawiało w jakiś rodzaj ospałości, ociężałości, niedeterminacyi, oślego uporu, wołających wielkim, żałośnym głosem: »niech się co chce robi, byle

mnie nie tykano!.. mnie niewinnego, jak nowonarodzone jagnię!..»

Znalazł i niepoczciwców. Tych było nie wielu. Ale oni głośniej mówili, byli śmielsi i ruchliwsi i porywali z sobą ogół w wirowy taniec, w którym się biednym poczciwcom głowy zawracały, do tego stopnia, że nieraz znienacka zapytani, nie umieli odróżnić dobrego od złego. Często cnota wydawała się im występkiem; często coś zwyczajnego, nie złego, wynosili pod niebiosa, a niekiedy nawet wyraźny występek mienili cnotą.

— Co za chaos!..— powiadał sobie Jan.— Jaki zagmatwany węzeł!.. Rozwiązać go można tylko jak gordyjski... Inaczej, próżna praca, Danaid robota.

Najmocniej zirytowała go młodzież. Najpilniej jej szukał i prawie nie znalazł. Młodych panów i paniczów nigdzie w domach nie zastawał. Albo ich nie było, albo mu się nie pokazywali. A spotykał się tylko z takimi, z których kropli sensu lub uczucia nie można było wycisnąć, pomimo że paradowali i jednym i drugiem. Kilku z nich, wielkoświatowych, przez ramię spoglądali na naszego bohatera, dla tego, że nie posiadał ułożenia. Wprawdzie nie układał się on psim sposobem, ale żadnej nieprzyzwoitości w żadnym dworku ani salonie nie popełnił.

Najlepiej znalazł kobiety. I byłyby one zupełnie dobremi, gdyby nie próżność, przemieniająca niektóre na istne monstrua, na społeczno-moralne karykatury, na salonowe lafiryndy, małodworkowe koczkodany, gęsi, sroki, żaby, jaszczurki, głupie matki, złe żony, bezmyślne siostry, nieznośne córki, interesowne kochanki etc. etc. Ze wspomnień przejażdżki swojej mógłby Jan, gdyby ze-

chciał, sformować sobie kollekcyę westchnien i czułych spojrzeń, jakiemi go panny na wydaniu obdarzyły.

Zajechał i do Niemirowa. Przypomniał sobie Szlomę i Ruchlę. Chciał ich odwiedzić. Ale już ich nie było. Oboje już od dawna spoczywali na okopisku, a domostwo ich przestało być zajezdnèm. Odwiedził więc kilka znajomych sobie osób, dowiedział się, że państwo Mimowołowie gdzieś się wyprowadzili (podobno do Odessy) i powrócił do Hrynenek.

Powrócił w wigilię rocznicy śmierci ojca, w ostatni dzień żałoby panny Ewy. Nazajutrz odbyły się egzekwie w kościele i na cmentarzu, którym cała gromada assystowała. Jan był przy całem tèm żałobnèm nabożeństwie i ostatni oddalił się z cmentarza. Coś go trzymało, jakaś siła przykuwała go przy grobie ojca. Gdy wszyscy odeszli, ukląkł, potèm pochylił się do samej ziemi i przylgnął do niej czołem, jakby wzrokiem na wskroś, aż do ojcowego trupa chciał przeniknąć.

Wszyscy odeszli, a odchodząc oglądali się z uszanowaniem na smutek młodego pana. Oglądali się z cmentarza, oglądali się z za wrót i z drogi idącéj mimo. I nakoniec nikt nie został, tylko jedna Jerynka, która, jakby ją czar jakiś zmienił raptem w posąg zachwycenia, stanęła przed cmentarnemi wrotami i stała zapatrzona na panicza-kochanka. Jéj uczucie ku niemu w sympatecznèm jakiémś znalazło się nastrojeniu do jego uczucia ku zmarłemu ojcu.

I widziała jak Jan długo klęczał pochylony, jak wstał i oczy obcierał, jak znów klęknął, jak znów wstał i postawszy jeszcze chwilę, nie poszedł ku wrotom, ale w przeciwną stronę, ku lasowi.

Za cmentarzem, przypierając do ogrodzenia, rosła rozłożysta grusza, z tego grusz rodzaju, co to wydają frukt mały i cierpki, będący jednakże wielkim, w stanie ulęgałek, dla dziatwy wiejskiéj specyałem. Stała ona jakby na straży lasu, jak wysuniona naprzód wedeta. Konary jéj w połowie wyciągały się po nad cmentarz, w połowie po nad pusty plac za ogrodzeniem.

Jan poszedł pod gruszę i usiadł. I zamyślił się.

Jerynka stała z bijącém sercem, z wpółotwartemi ustami, z wlepioném okiem, nieruchoma, w zapomnieniu. On snadź jéj nie widział, bo byłby może zdziwił się, podszedłby do niéj i zapytał:

— Czego stoisz?..

A jakkolwiek było to daleko, widziała ona, że twarz jego głębokim powlekła się smutkiem. Gładził sobie powoli młody wąs, niekiedy zakrywał oczy ręką, jakby go światło raziło, niekiedy wzdychał i myślał.

— Sokole mój!..— szeptało coś w Jerynce miłośném wykrzyknieniem.— Jakżeżbym ja chciała wyleczyć wszystkie twoje bole!... Jakżeżbym ja chciała swoje własne serce wyjąć z piersi i oddać na zagojenie ran twoich!..

I widziała, jak on wstał, przeskoczył przez cmentarne ogrodzenie, poszedł w las i zniknął. Pierś się jéj wzdęła jakimś niewysłowionym żalem, oczy łzami nabrzmiały, załamała drobne rączki, spuściła głowę i odeszła.

Od tego czasu, jak przedtém rozpędzała się do dworu i wracała, tak teraz wybiegała ku cmentarzowi i nie zwracała, bo często pod gruszą widywała z daleka swego panicza-kochanka. Przepędzał tam godzinę, czasem więcéj, samotny, zadumany. Czasami widywała go leżącego twarzą do ziemi. Wówczas długo nie ruszał się.

We dworze domownicy, we wsi chłopi nie dostrzegli na nim żadnej rażącej zmiany. Że nie zbytkował, jak niegdyś, z dziewczętami, że nie chodził po wieczornicach, to wydało się wszystkim bardzo naturalném. Co wolno było *Jasiowi*, następnie *paniczowi Jasiowi*, to nie przystało młodemu *panu*, (tytułowano go panem, pomimo że był nie czém inném tylko spólnikiem z największym kapitałem). Że zaś nie trudnił się bezpośrednio gospodarstwem, to przypisywano temu, że chce się naprzód dobrze rozpatrzeć.

Oko jednakże panny Ewy dostrzegało w nim smutku więcej, jak w pierwszych chwilach powrotu jego z Kijowa. Mało mówił, zapominał się niekiedy, bywał roztargniony. Wydawało się jéj także, że on zbyt pracował. Dużo czytał i często pisał. Nieraz po północy widzieć się dawało światło w jego pokoju, i można było zajrzéć, jak siedział bądź nad książką, bądź nad ojcowskiem »*Silva Rerum*«, bądź z piórem w ręku nad papierem. A pokój jego był ten sam, który zajmował niegdyś Jegomość, i w którym wszystko w dawnym pozostało porządku.

Sąsiedzi, których Jan obwizytował, oddawali mu rewizyty. Dla nich był grzeczny i uprzejmy, ale nie jechał już do nich powtórnie. Pannie Ewie wydało się, że mu potrzeba towarzystwa.

— Jedź, Jasiu... — namawiała go. — Rozerwij się z ludźmi... Nie zakopuj się tak w pracy umysłowéj...

Gdy mu to parę razy powtórzyła, posłuchał Jan rady ciotki, kazał sobie pewnego doświtku osiodłać konia i pojechał do Chomenek.

I od tego czasu często odwiedzał Chomenki. Wyjeżdżał przed świtem i wracał nad wieczorem. I niekie-

dy, zanim przyjechał do dworu, zajeżdżał pierwéj pod gruszę, przywiązywał konia u płotu i siadał niby na odpoczynek, za cmentarzem.

Cmentarz stał się dla niego miejscem ulubioném, jak dla rozromansowanéj kobiety jakaś ustronna altana, lub pozycya ze strumykiem, kwiatkami i skałami.

Ulubionym stał się on i dla Jerynki. Co dnia prawie, o ile pogoda dozwalała— a jesień w owym roku była bardzo pogodną— znajdowała ona chwilę czasu na to aby wybiedz i popatrzéć. Nie zawsze zastawała panicza. Więc zbliżała się do samych wrót, potém obchodziła ogrodzenie, coraz dalej, co raz daléj, aż zaszła pod samą gruszę. I usiadła. I jakoś jéj tak dobrze, tak lubo było siedziéć na miękkim pokładzie opadłych liści pod pręciastém sklepieniem konarów. Parę razy uprzedziła Jana, a ujrzawszy go z drugiéj strony zbliżającego się przez cmentarz, zrywała się jak ptak spłoszony i kryła w lesie.

Tak płynęły jéj dnie i tygodnie. Oswoiła się z tym stanem, jakby już inaczéj być nie mogło. Kochała Jana coraz mocniéj, a to dla tego, że widywała go coraz smutniejszym. On ani domyślał się, jakiego ma świadka samotnych swoich przechadzek.

Jesień, jak wiadomo, jest u nas porą wesel po wsiach. Dziewczętom na myśl swatów i przyszłego biją serca niespokojnie, parobcy sadzą się, aby jak najlepiéj, jak najzamaszyściéj się wydać. Dziewczęta liczą ostatnie chwile swego dziewictwa, parobcy używają ostatnich chwil parobczego stanu. Przeliczają się wprawdzie niekiedy i piérwsze i drudzy, ale to nie przeszkadza, że przepędzają jesień w pewnym niepokoju, to radośnym to

nie radośnym, jeżeli nie na swojém własném to na cudzém weselu.

Minęło już trzy lata od czasu jak Jerynka dorosła na dziewczynę na wydaniu. Minęły dwie jesieni; jéj rowieśniczki prawie wszystkie już powychodziły za mąż, a ona, córka najbogatszego i wnuczka najpoważniejszego w Hrynenkach gospodarza, nie widziała jeszcze swatów w swojej chacie. Nawet nie gadano po wsi, że ten lub ów parobek zamyślał ją swatać. A staremu Kociubie, gdy doczekał się wnuczki dorosłej, zachciało się strasznie prawnuka.

— Ot— mówił— gdybym jeszcze, przed położeniem się na spoczynek w trumnie, oglądał żywemi oczyma prawnuka; tożbym Panu Bogu podziękował... tożby mi lekko było umierać...

Swaty jednakże, jakby ich coś odstręczyło, nie przychodzili do Kociubowéj chaty.

Pomiędzy kobietami chodziła mowa, że czarownica coś *zadała* Jerynce. Starsze przypomniały nawet, że kiedy ona była jeszcze w pieluszkach, przywlekła się do wsi niewiedzieć zkąd jakaś stara schorzała cyganka, i włóczyła się od chaty do chaty, prosząc aby ją przyjąć. Wszędzie odprawiono ją z jałmużną, ale obawiano się wpuścić pod dach. Przyjął ją jeden Kociuba, przygarnął; dzieci jego doglądały ją w chorobie; ona u niego przez zimę i wiosnę przesiedziała; latem ozdrowiała i poszła w świat; i ona to odpłaciła mu za gościnność i dobre serce *zadaniem* jego wnuczce.

— Tak to...— powiedziały.— odgrzewaj żmiję za pazuchą... Ona *odejdzie* i ugryzie...

Aż nareszcie, wbrew wszystkim gadaniom, domysłom i czarom, zawitali swaty do Kociubowéj chałupy. Było

ich aż sześciu, a wszystko byli najpierwsi gospodarze, a naczelnym był Łucko Lusznia, najpoważniejszy po Kociubie. Gdy szli przez wieś, to wieś się cała zatrzęsła, z chałup powybiegali ludzie i gawronili się na nich. Szli powoli, jakby umyślnie na to aby się im przypatrywano, a za nimi wszyscy, gdzie jaki był muzyka—ze skrzypkami, cymbałami, basetlami, bębnami nawet z ulem, co ryczał jak buhaj i piszczałką, co szczebiotała cieniutkim głosem— i grali wszyscy na raz.

— Do której oni idą?..— pytali jedni drugich.

— Do Kociubowej wnuczki.

— Kto ich posyła?..

— Kondrat Bezprozwyśka.

Była to wielka dla gromady niespodzianka. Dziewczęta nie chciały oczom wierzyć. Bo zkądże!.. jak-że!.. Nikt o tem naprzód nie mówił. Nikt nie słyszał, żeby się Kondrat do wesela zabierał.

— E!..— domyśliła się wreszcie jaka taka.— Dla tegoż to on przestał się źle o Jerynce odzywać... Nic nikomu nie mówił, żeby świat zadziwić, żeby ludzie gęby rozdziawiali... Jakież to będzie wesele, kiedy takie swatanie!..

Za swatami, wywabiona z chat huczną muzyką, pogarnęła się kupa dziatwy i odprowadziła ich przez wieś, przez groblę, aż na Kociubowe podwórze. Swaty weszli do chałupy; muzyka i dziatwa pozostali na dworze.

Weszli i zastali wszystkich kogo było potrzeba: starego Kociubę, Jeryneczynego ojca i matkę i Jerynkę. Ta ostatnia wybiegała do drugiej izby, jak przystoi na dziewczynę po którą przychodzą. Swatowie pokłonili się w pas rodzicom i dziadowi i zażądali ręki Jerynki dla mołojca-parobka, Kondrata Bezprozwyśka.

Dziadek i rodzice przyjęli swatów i podziękowali im jak należy. Matka poszła po córkę i po chwili wyprowadziła ją do świetlicy.

Łucko już się uśmiechał i gładził siwą brodę. On wsławił się tém, że szczęśliwą miał rękę. Jemu się każde swatanie powiodło, a to dla tego, że które nie miało się powieść, to on z góry przewidział i odradził udającemu się do niego parobkowi.

Jakież było jego zdumienie, gdy Kociubowa wnuczka od pierwszego słowa zaraz z tém wyjechała:

— Nie chcę za mąż!... nie pójdę...

— Co tobie!... Jerynko!...— zawołali jednym głosem ojciec i matka.

Kociuba, zdziwiony, nic nie powiedział, tylko rękę wyciągnął i jakoś boleśnie na wnuczkę spojrzał.

— Nie pójdę!..— powtórzyła dziewczyna stanowczo.

Rodzice dalej że jéj perswadować, wysławiając parobka, któremu równego nie ma, i przypominając dziadka, który przed śmiercią na jéj szczęście tylko czeka.

Dziewczyna w płacz.

Rodzice się pogniewali.

Stary Kociuba, gdy mu zdziwienie przeminęło, odezwał się z mądrém słowem:

— Powinnaś mieć, moja dziecino, wzgląd na siebie... Masz już ośmnaście skończonych lat... Nic nie wskórasz, gdybyś dłużéj czekała: nikt lepszy nie może ci się trafić...

— O mój dziaduniu-gołąbku!..— zawołało dziewczę.— Czyż ja już tak tobie dokuczyła, że mnie chcesz wypędzić jak niepotrzebną, że chcesz mnie oddać niemiłemu!...

Na to nie było co odpowiedzieć. Sam Łucko Lusznia wytłómaczył rodzicom, że nie godzi się zmuszać.

— Bo— powiadał— lepiej-że parobkowi parobkować a

dziewczynie dziewiczyć całe życia, niż aby jedno z nich nieprzyjazną ręką wiązało węzeł małżeński...

I jak przyszli swatowie, tak odeszli, tylko muzyka im już nie grała. Po wsi gruchnęła wieść:

— Kondrat bez Prozwyśka dostał harbuza...

Była ona większą od swatania dla gromady niespodzianką. Nie mogło się bowiem ludziom w głowach pomieścić, jak Łucko Lusznia mógł wyjść z harbuzem!... jak Kondrat mógł go dostać drugi raz w życiu!...

— Nie zawsze to, jak widać, żaba dobrą jest na mamkę...— powiadano.

A Jerynka płakała i płakała i miała czego— bo rozgniewała na siebie rodziców, bo zasmuciła starego dziadka, bo... sama zresztą nie wiedziała czego. Nad wieczorem wyszła po wodę do krynicy i jakoś łzy oschły, ale smutek nie zwiał się z serca. Więc wybiegła na chwilkę pod gruszę.

Nigdy ona jeszcze, o tej dnia porze, pod gruszę nie chodziła. Gdy pod nią usiadła i do pnia się przytuliła, to jej zaraz jakoś lepiej i lżej się zrobiło. Zrobiło się jej tak, jakby z długiej wędrówki do cichej, ciepłej i swojej dostała się chaty. Jesienny wiatr szumiał w gałęziach, szumiał jeszcze mocniej w bliskim lesie, skrzypiał krzyżami cmentarza, miotał zżółkłem liściem i wykręcał niem tumany, i jęczał gdzieś w dali, a jej było dobrze, tak jakby ten wiatr ją kołysał i śpiewał jej wtór piosenki z samych marzonych strof złożonej. Przytuliła się do pnia gruszy i zamarzyła dziewczyna.

Któż nie wie, że w rozmarzeniu można się zapomnieć, można zasnąć na jawie, przestać widzieć i słyszeć. Nic więc dziwnego, że w tym stanie nie słyszała Jerynka tententu konia, zbliżającego się wprost ku niej tęgim kłusem,

i nie widziała jak jeździec osadził go na miejscu o kilka kroków od gruszy, zeskoczył z siodła i zarzucił cugle na kół od płota. Odzyskała ona władzę widzenia dopiero, gdy przed sobą ujrzała Jana. A gdy go poznała, to wydał się jéj na razie z ziemi wyrosłém lub z nieba rzuconém zjawiskiem. Przejęła ją niby trwoga, że się zerwać nie mogła i, jak kuropatwa przed nalatującym jastrzębiem, pochyliła się tylko i ukryła głowę za gruszę.

Jastrząb-Jan jednakże nie był strasznym. Postał on przez chwilę patrząc na dziewczynę i usiadł obok niéj. I łagodnym głosem zapytał:

— Co tu robisz Jerynko?...

Jerynka ochłonęła z raptownéj trwogi, ale powstać nie mogła, albo raczéj nie chciała. Coś ją przytrzymywało, coś mocniejszego nad wszelkie względy przyzwoitości, zakazujące jéj być sam na sam, w ustronném miejscu, wieczornym zmrokiem, z paniczem. Nie mogło być jednakże nieprzyzwoitém sam na sam o kilka kroków od grobu Chorążego.

— Co tu robisz?...— zapytał Jan powtórnie, jeszcze łagodniéj.

Dziewczyna podniosła głowę i odpowiedziała:

— Nic.

Odpowiedź bardzo naturalna i właściwa. Mógł się Jan jéj spodziewać. Więc zamilkł i patrzał jéj w oczy. I może dostrzegł w nich ślady łez, bo znów zapytał:

— Czy ty smutna, Jerynko?...

— Smutna, paniczu...— odpowiedziało dziewcze.

— Czego?...

— Gniewają się i skarżą na mnie...

— Kto?...

— Dziadek i rodzice...

— Za co?...

— Bom ich nie posłuchała...

— Czemu?...

— Chcieli mnie za mąż wydać...

Jan zamilkł i po chwili znów rozpoczął indagacye, którą prowadził dla tego, że nie miał o czém inném mówić z niespodzianą towarzyszką pod gruszą.

— To ty nie chcesz za mąż?...

— Och!... nie chcę!...

— Czemuż-to?...

Dziewczyna popatrzyła na niego, złożyła z powolnym przyciskiem obie ręce na piersiach i odrzekła:

— Bo ja kocham, serce paniczu...

Ton i akcent, z jakiemi te wyrazy wymówiła, były takiemi, jakby je wyrwała z serca i podała Janowi z błagalną prośbą.

Jan jednakże nie odczuł tonu, nie dosłyszał akcentu. On stracił instynkt miłości, zagłuszył go w sobie nazawsze. Pozostało mu tylko politowanie dla kochających się jeszcze ludzi. Dobrze i to, bo inni mają dla nich sarkazm, ironiję, szyderstwo. Pomilczał więc, popatrzył na Jerynkę i zapytał ją tonem spółczucia:

— Kochasz?... kogo?...

Przez czas jego milczenia dziewczyna przeżyła wiele. Wszystkie uczucia zawrzały w jéj piersi. Nadzieja, radość, gniew, żal, zazdrość, nienawiść, gorączkowa miłość, nareszcie rezygnacya i spokój przemknęły przez nią w kilku sekundach i zostawiły takie ślady, jak innéj po całém życiu, miotaném różnemi namiętnościami, z jednego pochodzącemi źródła. Gdy Jan zadał powyższe zapytanie, Jerynka była już spokojną i spokojnie odpowiedziała, jakby kazkę na wieczornicy mówiła:

— Kocham, paniczu, latawca, tego co po niebie spływa i ma jasne oczy a złote włosy... Śliczny kochanek!... O nim wszystkie dziewczęta rozpowiadają i śpiewają, a ja jedna go kocham... Wyglądam go i czekam... Chciałabym mu choć raz w życiu, choć raz jeden tylko, poczesać złote włosy, które on roztrząsa i roni po niebie.

Zamilkła, wpatrzyła się w Jana i zapytała po chwili:

— Nie prawdaż, dziewczyna co takiego ma kochanka, już nigdy za mąż iść nie może?...

Jan nic nie odpowiedział. Słuchał jéj wyrazów, jak się słucha szemrania strumyka.

— Czy nie kochacie się wy paniczu w spadającéj gwiazdzie?...

— Nie!...— odparł Jan, jakby z zadumy rozbudzony— Nie!... Moja kochanka jasna, wielka, świetna i prawdziwa, jak słońce... Ja ją kocham mocniéj niż ty latawca...

— Mocniéj?... może!...— wtrąciło dziewcze tonem wątpienia.

— Ja się dla niéj gotów na wolnym ogniu spalić...

— A ja...— przerwała Jerynka— A ja...

I uderzyła w płacz.

— Nie płacz Jerynko...— odezwał się Jan— Chodź!... Czegoś ty tu przychodziła?...

To rzekłszy wstał, wziął konia za cugle i odszedł z Jerynką, przeprowadzając ją aż do zawrotu drogi ku Kociubowéj chacie. Po drodze rozpytywał ją o dziadka, o rodziców, o wieczornicy, o dziewczęta, o jéj rodzeństwo.

Po tém spotkaniu rzadziéj zachodził pod gruszę, a wkrótce zupełnie przestał chodzić; wkrótce bowiem przyszła zima, a z nią śniegi i zawieje.

Zimą życie bohatera naszego rozpadło się na dwa rodzaje: życie samotnéj pracy umysłowéj, w któréj mu po-

magała liczna, doborowa biblioteka ojcowska, i życie rozrywkowe, które pędził na częstych wycieczkach konno do Chomenek.

Z gości rzadko kto już zaglądał, bo on sąsiadów nie odrewizytował. Więc mu nie przeszkadzano czytać i pisać, pisać i czytać. Wówczas to powstać musiał ten plik zapisek, złożony z arkuszy, ćwiartek, świstków i udzierków, o którym rozpisałem się w pierwszym rozdziale. Dodać muszę, że bardzo pilnie czytywał gazety i nigdy nie wydalał się z domu, ile razy kozak przynosił je z poczty. Pomnożył nawet ich ilość, bo oprócz polskich, zaabonował się jeszcze i na francuzkie i niemieckie.

W wycieczkach do Chomenek zima nic a nic mu nie przeszkodziła. Mróz nie mróz, wiatry, zawieje, on na to nie zważał. Był jezdcem doskonałym i człowiekiem zahartowanym. W pogodę pomykał rzęsistym kłusem po wygładzonéj saniami drodze, w niepogodę kopał się przez śniegi, i zawsze tak z Hrynenek wyjeżdżał, aby nigdy w Chomenkach nie nocować, a nawet aby nie zostać na obiad. Nieraz zdarzało się, że z powodu zawieruchy przyjechał przed samym «obiadkiem», na czczo od samego rana. Pomimo to jednakże, nie jadł; dał tylko wytchnąć koniowi i odjeżdżał, i wracał około północy do domu. To o rozpacz przyprawiało Albina.

— Mój Janie!..— prosił — na miłość Boga! pokosztujże choć barszcz*yku*, choć talerz kapuśni*aczku*... Przeziąbłeś... Rozgrzej się!...

— Daj mi pokój z twojemi barszcz*ykami* i kapuśni*aczkami!*...— odrzekł raz zniecierpliwiony Jan— Wystraszysz mnie niemi od siebie, że nigdy nie przyjadę...

— A przecież to nasze... narodowe potrawy!...

— Któremiśmy sobie, przez wielkie do narodowości przywiązanie, porozpychali kiszki, i przez miłość dla niéj tuczemy się jak wieprze...— dokończył Jan.

Gdyby nie stopa zupełnéj poufałości, na jakiéj z sobą Albin i Jan żyli, to zapewne nie uszłoby to temu ostatniemu na sucho, było bowiem palcem namacalną do marszałka przymówką.

— A przecież...— odparł Albin— to lepsze, jak cudzoziemskie przyprawy i pieprzyki...

— I tamto złe i to złe... Czyż to ostatnie ma być lepszém dla tego, że jest narodowém!... Wady nasze narodowe są dla nas strraszniejszemi nawet jak cudzoziemskie... Trudniéj się ich pozbyć... Szampinionowe, pieprzykowe i szampańsko - winowe obżarstwo i opilstwo dotyka tylko błyszczące śmiecie publiczności, a kapuśnia*czkowe* i zra*zikowe*, gorzałczane i miodowe wszystkich.

W duchu téj ostatniéj Janowéj odpowiedzi były wszystkie rozmowy, jakie on w towarzystwach, które u marszałkostwa zastawał, zawięzywał. Wypowiadał wady bez ogródek i podawał sposoby ich leczenia. Sposoby te były energiczne, tak energiczne, że się aż goście w trwodze po sobie oglądali, i przypatrywali się drzwiom i oknom, jakby o ucieczce zamyślając. Wielu się to niepodobało i głośno w okolicy mówili, że obiadki marszałka, z przyprawą pana Jeża, stają się coraz niestrawniejsze, pomimo to wszakże na obiadki ciągnęli. Więcéj jednakże było takich, co potakiwali Janowi, podzielali jego przekonanie, i gotowi byli na wszystko, pod warunkiem, gdyby to można jakoś przekonanie oddzielić od żołądków: z przekonaniem pójść naprzód, choćby na stos, a żołądki pozostawić w nietykalnéj całości.

Marszałkowa, całemi siłami młodéj, pięknéj i wysoko

wykształconéj kobiety, podtrzymywała naszego bohatera. I szło im dwojgu jako tako przez zimę. Goście bywali, zainteresowywali się mocno rozmową, jedli obiad, szli na cygara, zachodzili do biblioteki, zachwycali się obrazami, zbiorami, starożytnościami, wychwalali marszałka jako wzór najdodatniejszéj cnoty, marszałkowę podziwiali jako wzór niewiasty, nawet Jan w nieobecności swojéj (co bardzo ważne) obrywał pochwały, jako pełen nadziei i energii człowiek... i, czegoż chcieć więcéj!... Wszystko było dobrze.

Najmiléj Janowi schodził czas z marszałkową sam na sam, w obecności niemowlęcego świadectwa Karolka. Bodaj czy nie dla tych sam na sam kopał się on przez śnieg i gonił przez zawieruchy... Ona kładła mu w uszy wyrazy:

— Nie tak to źle...

On odpowiadał jéj:

— Zobaczemy...

I oto był cały sens ich zwierzań się, zwierzeń, które nie uszły baczności sąsiadów i sąsiadek, zjeżdżających się na barszczyki Chomenkowskie. Cieszyły one ich niezmiernie, jak tego astronoma, co najpierwszy ku powszechnemu uczonych zdziwieniu, odkrył plamy na słońcu, cieszyła ważność tego odkrycia. Mówiono sobie:

— W tém nie ma nic złego... Bo cóż oni winni, że pani piękna, a pan Jeż młody!...

— A marszałek ślepy...— dodawali złośliwsi.

Posądzenia jednakże nie szły daléj. Gadało się o tém, dla przepędzania czasu, dla tego, że o czém lepszém albo inném nie było co gadać. Niektóre nawet z krasomowniejszych pań udzielały tych spostrzeżeń samemu marszałkowi, obwijając je w bawełnę alluzyi i złocąc pozorami żartów. Marszałek się z tego śmiał.

Zima przemijała i przeminęła. Jan ciągle jednaki tryb życia pędził. Jeździł do Chomenek raz na tydzień, a w domu pisał i czytał książki i gazety. Dla domowników i mieszkańców Hryneńskich pełen był dobroci, dla ciotki pełen uszanowania. Ale mówił mało i był ciągle jakby przygnieciony jakiemiś smutnemi myślami, czy przeczuciami.

Raz—a było to na wiosnę, jakoś na wiosnę i natura poczęła okazywać pierwsze zaczątki ruchu roślinnego..—Raptem drzwi od jego pokoju, gdzie długo czytał jak zwykle, otwarły się, odrzucone gwałtownem, niecierpliwem pchnięciem, i on wypadł. Promieniał radością i jakiemś dziwnem upojeniem szczęścia.

Panna Ewa nigdy go w takim stanie nie widziała. Więc przelękła się.

— Co ci jest, Jasiu?...— zapytała niespokojna.

— Moja ciociu!..— zawołał.— Moja droga ciociu!...

I poskoczył ku niéj, pochwycił jéj rękę i począł całować.

Panna Ewa przytuliła go do siebie. On jéj coś mówił urywanemi frazesami, wpół dokończonemi wyrazami. Ona się rozpłakała.

— Niech mi natychmiast zaprzęgają konie!... Powiedzcie Daniłowi, żeby się wybrał na kilka, może kilkanaście dni!...

Ktoś ze służących, co to wołanie zasłyszał, pospieszył udzielić Daniłowi rozkazu, a panna Ewa, obcierając łzy, wyszła zaopatrzyć synowca na podróż.

Jan tymczasem chodził szerokiemi krokami po pokoju, i chodząc uspokoił się powoli. Ale zawsze w oczach jego świeciło wesołe usposobienie, a zarazem przebijało się w nich coś, jakby zuchwalstwo i hardość, dwie zalety—

dwie wady jeżeli chcecie— z któremi młodemu człowiekowi bardzo do twarzy.

Zaszły konie, upakowano tłómok, Jan pożegnał się z ciotką, wsiadł do bryczki i pojechał.

I pojechał znów z wizytami, jak przed dziewięciu miesiącami, z tą różnicą, że już nie do wszystkich bez wyjątku, ale do wyborowych zajeżdżał ludzi, i z tą jeszcze, że nie ograniczał się na otaczającém Hrynenki sąsiedztwie, ale ciągnął dalej, rozszerzał koło znajomości, sięgał na Ukrainę i aż na Wołyń, zwiedził stołeczne miasta, Kamieniec, Kijów i Żytomierz, zwiedzał i historyczne miejsca i uroczyska.

— Przez całe życie tylem się nie nawłóczył... — powiadał Daniło— Jegomość siedział w domu, a pan Jan, to tylko na koniu albo na wózku...

—Niech jeździ...— powiadał Hryhor.— Pozna świat i ludzi. Jak postarzeje, to będzie miał czas siedzieć w domu.

Podróż ta, albo raczej jeżdżenie, w ciągu którego trzy czy cztery razy zajrzał do Hrynenek, trwało przeszło trzy miesiące. Zdawało się, że bohater nasz korzysta z wiosny i suchej drogi, aby znów na jesień i zimę zamknąć się nad książkami.

O jeżdżeniu tém powiedzieć się da to samo, co o pierwszém: im dłużéj jeździł, tém bardziej smutniał. Czemu?— Na to trudno odpowiedzieć. I nie będę odpowiadał, bo— przez kaprys może autorski— nie chcę się liczyć do gatunku tych powieścio-pisarzy, którzy charaktery bohaterów swoich rozświecają dla czytelników do najdrobniejszych szczegółów.

Owóż Jan powrócił smutny. A powrócił do Hrynenek, przenocował, równo ze świtem kazał sobie osiodłać konia,

i pojechał do Chomenek. O dziewiątej przed południem był już pod dachem marszałkostwa.

Marszałek jeszcze spał. Marszałkowa już wstała, i usłyszawszy tentent konia, poznała czyj on, i wybiegła aż na ganek, z uśmiechem na twarzy, z radością w oczach i z serdecznym dla Jana uściskiem delikatnej swojej dłoni. Pierwszem jej słowem było:

— Śniłeś mi się pan co nocy... Wyglądałam pana jak zbawienia...

Jan miał twarz surową. Oddał jej powitanie, ale nic nie powiedział. Więc zapytała:

— Cóż?...

— Nic... — odrzekł. —Albin...

Marszałkowa zbladła usłyszawszy wymówione imię swego męża, wzięła Jana za rękę, poprowadziła go do salonu ozdobionego w wizerunki najsławniejszych ludzi i posłała prosić męża.

Nie długo dał na siebie Albin czekać. Wyszedł w szlafroku i pantoflach, i — czy nie spodziewał się zastać Jana, czyli też nie życzył sobie spotkać się z nim— okazał jakieś jakby zatrwożenie na widok bohatera naszego i swojej żony. Od pierwszych słów przerwał Janowi i począł się przed nim szeroko rozwodzić nad położeniem swojem i znaczeniem, nad obowiązkami i zasługami. Z szczególnym przyciskiem wyraził się o bibliotece, zbiorach, o wspieraniu piśmiennictwa i zakładów. Mocno nastawał, że trzeba je pielęgnować, strzedz jak świętego Znicza i chronić od niebezpieczeństwa zatraty. Nazywał siebie strażnikiem, odpowiedzialnym przed Bogiem i światem. Wymowa płynęła mu, jakby wcielił się w niego pan Józef Ambroży i wkładał mu w usta wyrazy i zaokrąglał peryody.

Marszałek stał po środku, przed nim Jan, a obok marszałkowa. Ta była blada. Jan słuchał cierpliwie, patrząc Albinowi w oczy, tylko mu policzki drgały, jakby szczękowe muszkuły chciały wyskoczyć z miejsc swoich. Oko jego patrzało groźnie, a na czole jakby brzemienna piorunami chmura wisiała.

— Rozkochałeś się w swoim dworze i wygodach...— powiedział powoli, gdy Albin skończył. — Opasłeś się... Niedołęgo!...

Ostatni wyraz, który wymówił mocno i dobitnie, wywarł na niego wpływ iskry rzuconej na proch. Widać było jak zapłonął gniewem. Ramiona jego drgnęły, ręce skoczyły do góry, porwał Albina za piersi, wstrząsnął nim silnie i pchnął od siebie. Albin zatoczył się i runął na podłogę. Marszałkowa krzyknęła spazmatycznym głosem i schwyciła Jana za ręce.

Wszystko to chwilę trwało, i chwilę jeszcze trwała bytność Jana. Pozostał tyle tylko, aby powiedzieć, ukazując palcem na leżącego, zbladłego, ciężko dyszącego Albina:

— Widzisz, Zofijo, oto twój zacny, pełen najlepszych chęci człowiek!... Bengalski ogień ci się nie podobał.... Lękałaś się śmieszności.

— Janie!...— zawołała upokorzona kobieta.— Janie!... —powtórzyła wyciągając za nim ramiona.

Ale go już nie było w salonie. Za chwilę koń jego tętniał kłusem przez podwórze.

Marszałek podniósł się powoli i usiadł w fotelu; marszałkowa postąpiła kilka kroków, usiadła i znieruchomiała. W salonie panowało milczenie.

Albin ochłonąwszy, począł myśléć. Nad czémś się za-

stanawiał, coś snać sobie przypominał, bo pocierał ręką czoło i w końcu tak się odezwał:

— Rozumiem już o co chodzi.... Potrzeba aby jeden z nas ustąpił drugiemu. Śmiałem się z alluzyi i żartów, któremi bawiono się moim honorem. Te wykrzykniki wyjaśniły mi rzecz... Trzeba jak najrychlej zakończyć...

Marszałkowę, jakkolwiek zgryzioną i rozżaloną, zdziwiły wyrazy, których nic a nic nie zrozumiała. Więc zapytała:

— Co?...

— Dobra dla pani nowina...— odrzekł Albin.— Ułatwiłaś mi kompromitacyę; ułatwię ja pani sam na sam z Janem... Wyzwę go... On dobrze strzela...

Spazmatyczne wstrząśnięcie, a potém śmiech przeraźliwy były odpowiedzią na tę dobrą nowinę. Albin się zerwał przerażony. Służący wbiegli. Odniesiono marszałkowę do jéj sypialnego pokoju.

Pojedynkowa jednakże pogróżka Albina spełniła się, ale nie natychmiast. Przeszkodą na razie stał się stan marszałkowéj. Zachorowała, lecz w parę dni przyszła do zdrowia, ale wpadła w jakiś rodzaj snu magnetycznego z jasnowidzeniami, w którym pozostaje dotychczas. W piérwszych symptomatach téj powolnéj choroby mówiła dużo o Janie. Albin się na chorobie nie poznał, a wziąwszy ją za gorączkowe w malignie wyznania żony, tém mocniéj utwierdził się w postanowieniu rozprawiania się z Janem o swój honor z orężem. W kilka więc dni po ostatniéj jego bytności posłał do Hrynenek kartel z wyzwaniem, bez względu na to, że ryzykuje życie swoje, życie «strażnika, odpowiedzialnego przed światem i Bogiem.» Taką to bywa logika odwagi!...

Tym razem jednakże to drogie życie nie uległo żadne-

mu niebezpieczeństwu. Kartel bowiem nie zastał już Jana. Tego jeszcze samego dnia, w którym powrócił z Chomenek, ruszył on w świat.

Gdzie się on obraca?— Nie wiadomo.

Daniłowi kazał okulbaczyć najlepszego konia.

Ciotce, żegnając ją, powiedział:

— Niech ciocia będzie o mnie zupełnie spokojną.... Odjeżdżam na długo, ale powrócę...

Hryhor zeszedł go na wsiadaném, kiedy już miał nogę w strzemieniu.

— A toż gdzie?...— zapytał.

— Daleko...

— Po co?...

— Poznać świat i ludzi...

— To dobrze...— mruknął starzec.— Niechże was ten krzyż prowadzi...

I pożegnał go znakiem krzyża w powietrzu.

Najdłużéj żegnał się Jan z grobem ojca. Koń stał przywiązany u wrót cmentarnych, a on klęczał i modlił się. A gdy już zmrokiem wsiadał na konia, to widział jakąś postać, która zdaleka przeprowadzała go oczyma.

Tyle o pra-pra-pra....wnuku.

Jak Bóg da doczekać, to z zapisków Janowych obrobimy powieść i o pra-pra-pra....dziadku.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁOW

Tomu II-go.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Tomu II-go.